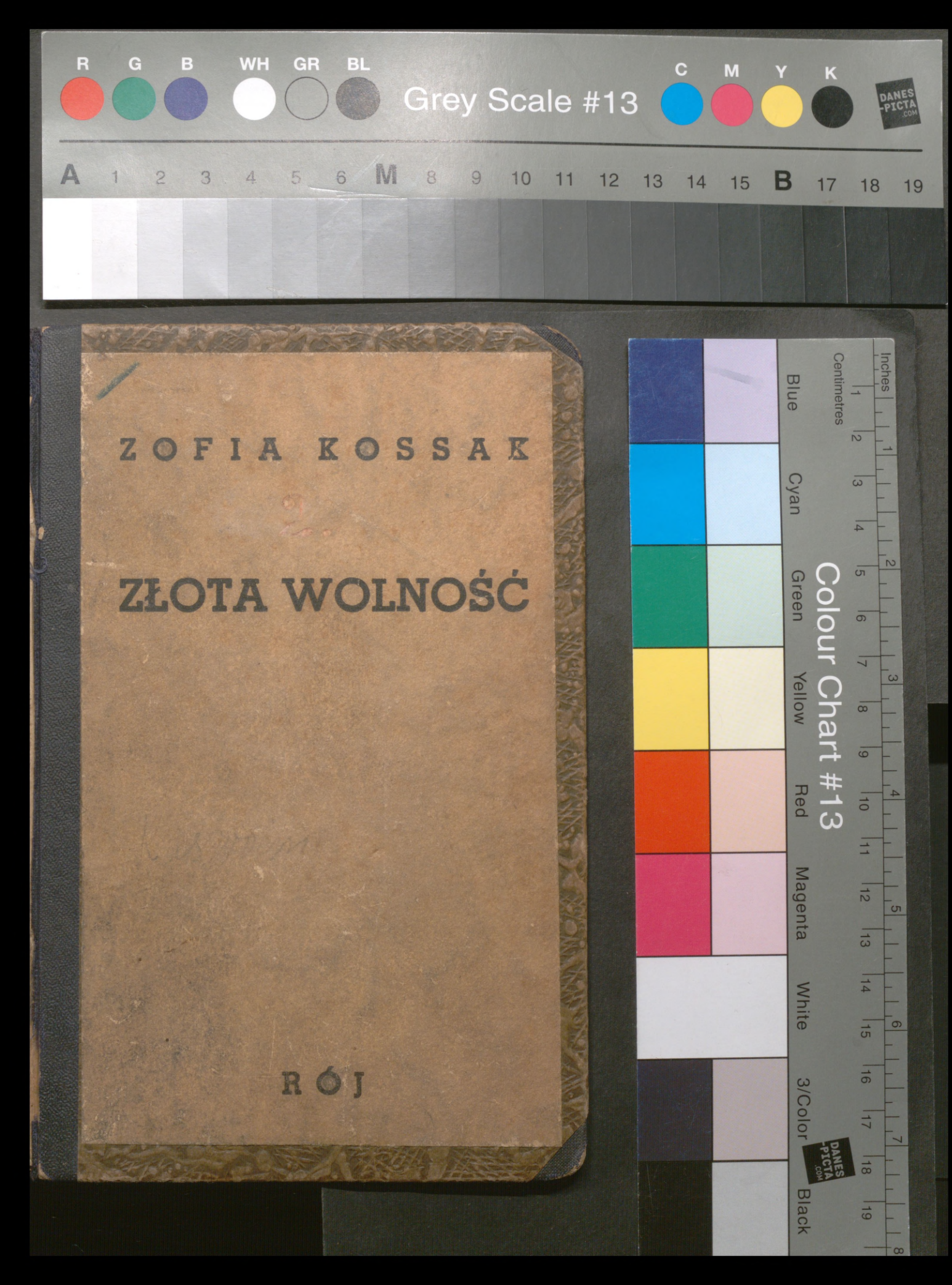

R G B WH GR BL
Grey Scale #13
C M Y K
DANES-PICTA.COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19
ZOFIA KOSSAK
ZŁOTA WOLNOŚĆ
RÓJ
Colour Chart #13
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
Inches
Centimetres
DANES-PICTA.COM

ZOFIA KOSSAK

ZŁOTA WOLNOŚĆ

RÓJ

ZOFIA KOSSAK

ZŁOTA WOLNOŚĆ

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

1252
4888.
5602
BIBLIOTEKA WOJSKOWA
REMBERTÓW
Centr. m. Wyszk. Piech.
1014.

WYDANIE DRUGIE

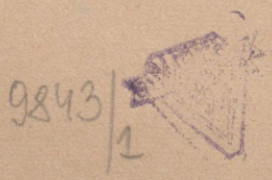
Z księgozbioru
Lecha Zygmanowskiego

WYDAWCA
TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ" SP. Z O. O.
WARSZAWA, KREDYTOWA 1

884-3 : 8(09)

Copyright by Towarzystwo Wydawnicze „Rój", sp. z o. o.
Warsaw 1939

1781



Printed in Poland
Zakłady Graficzne „FENIKS", Warszawa

ROZDZIAŁ I

OBROŃCY PRAWA.

Pan Żółkiewski wysiadł z kolaski na turniejowym wawelskim dziedzińcu, i szedł ku głównemu wejściu. Zniżające się już słońce zalewało blaskiem cudny dworzec Zygmunta Starego, złociło smukłe kolumny. Grały barwami freski na górnej galerii. Dziedziniec, zarastający od paru lat trawą i opuszczony z racji coraz to dłuższych i częstszych pobytów króla w Warszawie, pełen był dzisiaj dawnego życia i gwaru. Parskały, tupiąc nogami niecierpliwie, trzymane przez stajennych konie. Gdy trzęsły łbami, broniąc się od natarczywych much, dzwoniły ostro, przenikliwie złote wisiory uździenic. Kołysały się kity z barwistego pierza. Błyszczącą frędzlą oszyte kropierze spływały prawie do ziemi. — Rój dworzan, służby i pośledniejszej czeladzi mrowił się pod arkadami, jak pszczoły przy ulu. Alabartnicy strzegli odrzwi nieruchomo. Kuchciki, dziewki dworskie, służebne pachołki, przebiegali raz po raz dziedziniec. — Nie biorąc udziału w ogólnych pogwarach, Wojtaszek Długoraj, przesławny niegdyś muzykant, brzdąkał z cicha na lutni, oparty o słup. Ulubieniec trzech królów z kolei, osypywany przez nich faworami, dożywał tutaj opuszczonej i zapomnianej starości. Miejsce królewskiego lutnisty zajął Włoch Claboni, cieszący się aktualnie wielkimi łaskami u dworu. Nie był w kunszcie swym bieglejszy, lecz cudzoziemiec... I młodszy! — myślał z goryczą Długoraj. Nikt już nie przystawał, by go grającego słuchać. Gdy go zbytnia tęskność zdjęła, grywał sa-

memu sobie w opuszczonym zamku, zapatrzony w porastającą dziedziniec murawę.

Pchnąwszy przodem pokojowca, hetman szedł zwolna na górę. Zamyślona dłoń wsuwała się sama w chłodną rynnę kutej w marmurze poręczy. Naraz przystanął i obejrzał się wokoło, z pełną pietyzmu miłością.

— Niech król Jegomość jako chce warszawski stroi — pomyślał, — nigdy się temu nie zrówna.

— Wasza Dostojność — objaśniał uniżenie czekający nań marszałek dworu, — o osobliwej audiencji u Miłościwego Pana dzisiaj ani marzyć... I jutro wątpliwe, gdyż Miłościwy Pan srodze jest zajęty... Ninie z mistrzem Sędziwojem praktykami uczonymi się zabawia, którego gdy odprawi, asystować będzie z całym dworem ekstraordynaryjnym produkcjom imci Niegoszewskiego...

Hetman z trudem pohamował ruch zniecierpliwienia.

— Raczże wszakże, miły waszmość panie, zameldować moje przybycie Miłościwemu Panu, przydając, iż o rychłe posłuchanie silno proszę.

— Spróbuję — rzekł sceptycznie marszałek, i odszedł do izby zwanej pospolicie Alchemią.

Hetman pozostał, czekając. Owładnęły go wspomnienia, z każdego załamu gmachu bijące. Zza drzwi zawartych sunęły korowodem widma, cienie wielkie, niezapomniane, a zmarłe...

— *Impossibile* — rozkładał z konfuzją ręce powracający marszałek. — Jutro po południu najwcześniej... — A widząc, że pan Żółkiewski zabiera się do odejścia, dorzucił szybko: — Miłościwy Pan wielce radzi z przybycia Waszej Dostojności, życzą sobie, byś Wasza Dostojność produkcje imć pana Niegoszewskiego obaczył...

— Co zacz? Kuglarz? fizyk?

— O, Wasza Dostojność, uczony, jakiego dotąd świat nie widział. *Mundi miraculum,* cudem przyrodzenia zwany... Świeżo z Wenecji i Paryża zjechał. Na zapytania,

z zakresu wszelkiej sciencji pochodzące, odpowiada bez namysłu wierszem heksametrowym, nigdy miary ni sensu nie chybiając...

— Gdzie dwór zebrany?

— W Poselskiej.

Hetman powolnym krokiem poszedł na drugie piętro. Z sali dolatywał gwar niemiecko-łacińskiej rozmowy. Pod stropem, z którego poglądał milczący tłum głów rzeźbionych, czekało już sporo ludzi. Lśniące, fałdziste togi profesorów Akademii, wezwanych dla zadawania pytań cudowi przyrodzenia, imci Niegoszewskiemu, połyskiwały w purpurowych blaskach zachodu. Płonęły wrzącą czerwienią szaty dostojników Kościoła: kardynała Maciejowskiego — prymasa, ale oraz i krakowskiego biskupa — i Piotrowskiego, biskupa przemyskiego, kanclerza. Andrzej Schoneus, matematyk i astrolog, słuchał z niedowierzaniem opowiadania o mądrości uczonego Sędziwoja alchemika. Uczony jezuita Argentus z Modeny dyskurował z jezuitą Barsciusem, spowiednikiem króla, o stosunki religijne w Polsce wypytując. Pan Gostomski, wojewoda rawski, świeży neofita, dowodził zapalczywie konieczności wygnania z kraju wszystkich kacerzy, czemu oponował nieśmiało łagodny ksiądz Gissa, spowiednik królowej. Znakomitej sławy malarz Tomasz Dolabella, pierwszy raz w Krakowie będący, z udaną obojętnością rozpatrywał zdobiące salę freski wielkiego Dürera. Samo *prodigium*, fenomenalny imć Niegoszewski, przechadzał się po sali w pompatycznym odosobnieniu, wlokąc za sobą z szelestem drogocenną togę, dar Rzeczypospolitej Weneckiej. Profesorowie ścigali go wzrokiem z niechęcią, gotując w myśli co najzawilsze pytania. — Wielki marszałek koronny, margrabia Gonzaga Zygmunt Myszkowski, wszechwładny ulubieniec króla, krążył wśród zebranych, siejąc słowa łaskawe. Lśnił niby słońce od bezcennych ozdób. W połyskliwym świetle klejnotów, ograniczona, pysz-

na jego twarz zdawała się być jeszcze bardziej wyniosła i odpychająca. Przymrużał oczy, olśniony własnym blaskiem. — Niby cień posłuszny, krok w krok za możnym stryjem posuwał się bratanek jego, Piotr Myszkowski, na omnipotencji krewniaka-opiekuna budujący nadzieje kariery.

Na widok wchodzącego hetmana margrabia ruszył naprzeciw z uprzejmą godnością. Przywitali się oziębłe; nie było między nimi cienia amicycji.

— Z obozu Wasza Dostojność przybywasz?

— Z obozu... Z Miłościwym Panem rad bym co rychlej mówić... Wczoraj byłem w Pokrzywnicy.

— W Pokrzywnicy! — powtórzył margrabia, — u onych zdrajców, Judaszowi równych! Wasza Dostojność gadałeś z nimi?! Podziwienia godna ludzkość dla zbrodniarzy a nieczułość na obrazę majestatu!... Na cudotwórcze relikwie św. Floriana! Sam widok tych łotrów, dłoń na świątobliwego Pana naszego podnieść gotowych, do ekscesów by mnie ostatecznych pchnął, do krwie przelania, bodaj z własną zgubą!...

Hetman uśmiechnął się mimo woli, bo marszałek koronny uchodził ogólnie za tchórza.

— Gadziny niewdzięczne! hydry głowiaste! monstra bezecne! ojcobójcy! — prawił patetycznie Myszkowski. — Na takiego Pana! Dobru ojczyzny i sławie Bożej całe oddanego! Potwarcy! Ale — *in se spuit, qui in caelum spuit!* Wzniesiony przez nich miecz spadnie na ich głowy!... Nie gadać z nimi! nie paktować! Jako od zapowietrzonych uchodzić, a orężnie natrzeć i wytępić! Żywa noga nie winna ujść z tych psubratów, których ścierwa ziemia naisto przyjąć k'sobie nie zechce, ani psi nie ruszą...

— Ja zaś uważam, że za wszelką cenę nie lza dopuścić do rozlewu bratniej krwie, i w ten tenor mówić będę z Miłościwym Panem — przerwał zimno hetman.

Margrabia przymrużył złośliwie oczy.

— Czyżby istotnie prawdą miało być, co niegodne wiatry pyskaczów roznoszą, że Wasza Dostojność trudną do wyeksplikowania słabość czujesz ku onym hultajom? Z racji może mnogich familiantów, wśród rebelii rej wodzących? Takowa benewolencja w stosunku do arcyłotrów poczytaną być musi za osobliwą, a zacudować każdego...

— Choć Wasza Miłość familiantów w onym gronie, gdzie same starsze rody się zebrały, nie masz, bardziej osobliwą musi się wydać zawziętość, z jaką do wojny domowej namawiasz — odparł krótko hetman, i odwróciwszy się na pięcie, poszedł, zostawiając margrabiego czerwonego z gniewu. Dotknął go w najczulszą strunę.

Pan Żółkiewski rozejrzał się po sali. Zagubieni wśród tłumu cudzoziemców i księży, nieliczni senatorowie usuwali się spod jego spojrzenia, nieradzi doń podchodzić. Był w niełasce, wiadomej powszechnie. Jako przyjaciel zmarłego kanclerza i szczery republikanin, pozostawał u dworu w podejrzeniu, a świeża wymiana zdań z marszałkiem nie wróżyła odmiany na lepsze. Przechodzącego ktoś pociągnął za rękaw; odwrócił się i uśmiechnął przyjaźnie, pierwszy raz od wejścia na zamek. W jowialnej krągłej twarzy małe oczki błyskały sprytem i żywością spod wystającego czoła. Był to jegomość Marcin Wadowita, kanonik krakowski, profesor Akademii, luminarz w całej Rzeczypospolitej głośny. Słynął zarówno z wiedzy, jak rubaszności. — *Ars angelica, vox diabolica, mores rusticani* — mawiał o nim papież Klemens VII. Nie dziwota, uczony mąż bowiem był synem kmiecym z Wadowic, gdzie pacholęciem świnie pasał. Straciwszy raz wieprza, w strachu przed karą zbiegł do Krakowa, gdzie niezwykłą pojętnością zwrócił na siebie uwagę uczonego Zieleniewicza vel Herbesta, który mu nauki ułatwił. Nie wstydząc się tych początków, kanonik rad o sobie mawiał: *Si non iste porcus, non fuisset Vadovius doctus.*

— Do stóp się ścielę Waszej Dostojności — mówił teraz szybko. — Rzadki gość! *rara avis!*... Oj, dobrześ rzekł faworytowi! Ażem się za brzuch chwycił z kontentacji, patrząc, jako on kabalarz w złości ślinę własną łyka. Bo to sam pryncypialny intrygant! A jaki dufny! Ma chleb rogi, ma! *Satietas ferociam parit*... Słyszałem co prawił: Żywej nogi nie puścić!... Ha, trudno! Komu Bóg rozumu nie da, kowal mu go nie ukuje... Margrabiemu pono nie dał, że zaś co się łyso rodzi, łyso ginie, tedy do śmierci głupim pozostanie, chyba że się wcześniej zatchnie własną pychą. Jakaż żałość przeniknęłaby *universum* na tak niefortunną wieść! Tuszę, iż nawet nieczułe góry a skały tkliwymi spłyną ślozami... Ja zaś epitafium niepodłe ułożę, w tym sensie:

Bezpotomnieś pomarł, margrabio Gonzaga, —
Osły same się rodzą, — siać ich nie wypada.

Odsapnął głęboko i spoważniał nagle.

— Siła tam luda pod Sandomierzem? — zapytał, zniżając głos.

— Do stu tysięcy zbrojnych...

— Do diabła! To nieźle! A co robią?

— Póki — nic. Odgrażają się, gadają...

Kanonik poweselał na nowo.

— Gadają, Wasza Dostojność? Chwała Bogu! Tedy nic z tego nie będzie! Na gadaniu się skończy... Ja to mówię! Obaczysz panie, czy Wadowitowa gęba cholewa... *Proverbium* powiada: Abo pij, abo się bij, *aut bibe, aut abi*, — u nas przedsię wolą pić i gadać... Niech gadają! Skorzej się nie wygadają, jak przez parę niedziel... A tu żniwa nadejdą. Siłaż ich wtedy zostanie? Po siewach zbiorą się znowu, wszakże zanim każdy zdąży swą rzecz wypowiedzieć, mróz ściśnie... Dobra zima! Jak przysłowie mówi: By nie mróz na złe pokrzywy, byłby ten chwast

wiecznie żywy... Kto by tam w zimę wojował! Chyba z babą doma, abo pyskiem na sejmie. Do wiosny spokój pewny. Nie ma się co strachać. Zali uważałeś Wasza Dostojność, że u nas, gdy się co dzieje, to jeno za sprawą pojedyńczych ludzi, a przez powszechność, jako indziej, nie... Chyba nam coś nie dostaje *in consilio,* że krom sporów a gadania nic krzepkiego a gruntownego z narady nie wyjdzie... A tam człeka osobliwego, co by ich powiódł, nie mają?

— Nie.

— I tu też nie; przeto spać możem, rokoszem się nie troskając...

— Trudno się nie troskać, gdy i tak siła on złego uczyni.

— Oj, uczyni niejedno! Nie wiem, co Wasza Dostojność masz na myśli, ale *quidquid delirant reges, plectuntur Achivi* — powiada Horacy. „Czego panowie nawarzą, tym się poddani poparzą", — a gdzie szlachta za łby się wodzi, tam u kmieci włosy trzeszczą... Znam ja to dobrze, pamiętam...

— O czym mówicie dostojni panowie? — zapytał, podchodząc ku nim, pan Amenda, Włoch, kopalniami królewskimi srebra i ołowiu zawiadujący, zwany śtygarem olkuskim.

— O fenomenie owym, mającym nas rychło zadziwić! — roześmiał się Wadowita, ukazując okiem stojącego opodal Niegoszewskiego, — szacunek mu wielki oddając, bo: *honores grandes,* czcij kantorze mistrza; ośmielę się zauważyć, że ptaka po pierzu, a po mowie chłopa znać... Obaczym mowę, bo pierze widzi mi się farbowane, toga złocista po wierzchu, a pod nią portki cycowe... Czyli w umyśle inaczej? *Proverbium* jest, które mówi: „By nie cudze płatki, nie miałby krawiec karwatki", a imć Niegoszewski...

Przerwał, bo na salę wszedł mistrz alchemii Sedziwój,

w czarnej aksamitnej, złotymi gwiazdami usianej szacie. Panowie Montwiłł i Rudomina, dworzanie królewscy, nieśli przed nim ostrożnie na wielkiej tacy maleńką bryłkę lśniącego kruszcu.

— Dostojni Panowie! — rzekł głośno pan Montwiłł.— Miłościwy Pan polecił mi oznajmić, iż eksperiencja udała się najfortunniej, świetne rokując nadzieje, zaś urodzony mistrz Sędziwój między pierwsze *celebritates* świata słusznie winien być poczytany. W przytomności Miłościwego Pana i pana podkomorzego 250 uncyj ołowiu, prawem tajemnym transmutacji zmieniło się w te oto 10 uncyj najczystszego złota...

— Krawiec, igły szukając, za grosz świec spalił — mruknął Wadowita.

Zgromadzeni skupili się z ciekawością wokół tacy.

— Złoto sprawiedliwe!

— Z ołowiu!

— Nie suponuje Wasza Wielebność czarów w tych arkanach?

— Skoro sam świątobliwy Pan nasz bierze w nich udział, nie wątpię, iż działają tu jeno siły przyrodzenia, wolne od ingerencyj nieczystych — uspokajał wojewodę rawskiego biskup Pstrokoński.

— Takiego cudotwórcę mamy, a skarb pusty! — roześmiał się hetman.

— Za rok nie będzie pusty, obaczysz Wasza Dostojność! — dowodził z zapałem pan Montwiłł. — W mojej obecności mistrz Sędziwój eksplikował Miłościwemu Panu, iż za cztery, pięć niedziel najdalej, będzie *in possibilitate* przemieniać ołów na złoto w wielkich ilościach, sztabami.

Wadowita splunął głośno.

— Takci eksplikował?... Bodajby pamiętał, że łgarze Pan Bóg karze, jeśli nie mrozem, tedy powrozem...

Sędziwoj spojrzał w jego stronę i odszedł bez słowa

w drugi koniec sali. Szczupła myśląca twarz mistrza alchemii zdradzała szczerą udrękę. Przyczynę jej znali niektórzy: Wbrew doświadczeniom i ogólnemu mniemaniu, nie posiadł tajemnicy przemiany metali. Zratowany przezeń od śmierci wielki wynalazca Seton, dał mu wprawdzie przygarść cudownego proszku, ołów w złoto przemieniającego, lecz istoty jego nie wyjawił. Umarł zazdrosny o swą tajemnicę. Sędziwój daremnie szukał formuły proszku. Gdy wyczerpie skąpy zapas, — wiedza, którą błyszczał przed światem, rozwieje się niby dym...

— Tak z nim będzie, jako ze sławnym medykiem Bartholdim — prorokował Wadowita. — Ten z ciała wisielca mumię *pissasphaltum* spreparowawszy, po cząsteczce onej mumii do leków dodawał. Skuteczne były nad wyraz, i Bartholdus rósł w poważanie a w pierze. Lecz mumii w końcu zabrakło, a wraz ustała pomocność leków i sława...

— Czemuż drugiej nie spreparował? Wisielców nie braknie!

— Specjalne tam były koniunktury gwiezdne, metamorfozie osobliwie przyjazne...

Łoskot otwieranych drzwi przerwał rozmowę. Król nadchodził. Wszyscy zmilkli. Przez otwarte na ścieżaj podwoje wszedł błazen królewski, Włoch, z Bononii rodem, nazwiskiem Rialto, eks-komediant i rymopis, poliglota i kobieciarz, w ciągu tułaczego życia kolejno astronom, polityk, muzykant, sztukmistrz, a na koniec trefniś. Cięty bywał i zjadliwy, póki się nie roztył.

Za błaznem, dwu paziów, bokiem idących, z lichtarzami zatlonymi w ręku, poprzedzało króla, za którym, zamykając pochód, szedł podkomorzy koronny Bobola, o ascetycznej, wyposzczonej twarzy. Król Zygmunt miał na głowie niewielki beret z kosztowną zaponą, sztywną, układaną krezą dokoła szyi i materialny kaftan zszywany

z kolorowych pasów. Zmęczonymi oczami powiódł po obecnych.

— Gościa pono mamy?

Hetman już szedł ucałować rękę pana. Król witał go uprzejmie, chociaż zimno, z pewnym zakłopotanym przymusem. Wymowę miał skąpą, nieskładną, akcent cudzoziemski.

— O sprawach publicznych pomówimy jutro — rzekł szybko, jakby uprzedzając, i zasiadł na swoim krześle.

W tejże chwili z przeciwnej strony ukazał się fraucymer Królowej Jejmości. Przodem, za oświecającymi drogę paziami, szła ochmistrzyni, Fräulein Urszula Meierin, szpetna, przebiegła, obleśna i wszechmocna. Rywalka Myszkowskiego Gonzagi, z którym spoglądali na siebie niechętnie, lecz znacznie od niego silniejsza, bo mędrsza. Rządziła *de facto* całym dworem. Wszystkie stronnictwa i frakcje zabiegały o jej łaski. Znając nieograniczony wpływ ochmistrzyni na króla, królową i królewicza, sam Ojciec Święty przysłał niedawno do niej Złotą Różę. Teraz szła pokornie, spuszczając oczy, — z włosami zczesanymi gładko w tył i nakrytymi długim faceletem. Za ochmistrzynią, pośród panien dworskich, między którymi cudem niezwykłej urody błyszczała młodziutka Izabella Daniłówiczówna, podskarbianka, — postępowała zwolna królowa Konstancja. Kreza, podobna mężowskiej, okalała jej długą, bladą twarz. Oczy miała niewielkie, bezbarwne. Złotolita suknia z lamy chrzęściła za każdym krokiem. Przed zajęciem miejsca spytała niespokojnie księdza Gissę, zali w zamierzonych produkcjach nie znajdzie się nic przeciwnego wierze. Była bowiem nad wyraz pobożna i o swoje sumienie lękliwa. Pomyślność domu Habsburgów i obawa grzechu stanowiły dwie zasadnicze troski jej życia. Uspokojona przez spowiednika, usiadła.

Szeleszcząc wenecką togą, wysunął się imć Niegoszewski. kłoniąc się nisko królestwu:

— Z dalekiej Italii do lubej ojczyzny pomyślnymi zefirami przygnany — rozpoczął swoją orację, — za szczęśliwszego niźli Odyssej Itakę oglądający, niźli angielski Ryszard z więzienia powracający, niźli Orfeusz lubą Eurydykę witający, słusznie poczytywać się będę, w okoliczności Najmiłościwszych Państwa moich, pod fortunnymi ich auspicjami, skromną moją sciencję mogąc sprezentować... Nie uchybiając wrodzonej modestii, z samej miłości prawdy wyznać muszę, iż w szlachetnej Republice Wenecjańskiej, przez dwie niedziele wszyscy co najprzedniejsi adepci kunsztów mentalnych i mistrze — sam sławny Aldus Manutius w ich gronie — skonfundować mnie usiłowali, z umiejętności teologicznej, filozoficznej, matematycznej, kabalistycznej, medycznej, tudzież wojskowej i politycznej, kwestie arcyzawiłe zadając. Opatrzność łaskawa dozwoliła, że mizerny mój umysł wcześniej u źródeł wiedzy zasiliwszy, a dowcip dobrze naostrzywszy, nie pochybiłem niżadnej, na każdą *expromptu* pięciomiarowym wierszem odpowiedź moją wykładając...

— Tęgo o sobie trzyma — mruknął Wadowita; — bym był trefnisiem, nie wydzierżyłbym...

Siedzący na stopniu przy królewskim krześle Rialto zerknął w stronę kanonika. Setnie mu się nie chciało gadać, ni baraszkować, chorym na żołądek od paru dni będąc, — uznał jednak, że trzeba zabłysnąć, by reputacji nie stracić. Stęknął w duchu, lecz sprężyście (biedne, wychudzone nogi wędrownego komedianta!) wyskoczył przed króla:

— A teraz dla mnie oracja! — zaskrzeczał.

— Nie przeszkadzaj asan — mruknął wzgardliwie Niegoszewski, owijając się rzymskim gestem w togę, by ciągnąć dalej swój dyskurs.

— O, nie ujdziesz mi jegomość! Nie znasz, żem równy Najmiłościwszemu Panu? Nam jeno dwom osobliwe i ekscepcjonalne, choć różne, przynależą przywileje... Moje bo-

daj że większe: Miłościwemu Panu wolno wprawdzie z błazna zrobić choćby marszałka, ale mnie jednemu tylko wolno się zbłaźnić, wiela razy chcę... Miłościwy Pan nie odstępuje swych przywilejów nikomu, gdy ja moje chętnie zdaję na *usus* waszmościn, nie wątpiąc, że się w dzisiejszej demonstracji zdadzą...

Rozległy się ciche pośmiechy. Marszałek Myszkowski, do żywego urażony, mruknął cale głośno, że zuchwałego błazna warto by ochłostać. Pan Niegoszewski był siny.

— Ejże, to przedni trefniś! — rzekł niby wesoło, — nie poznałem się zrazu na tak znakomitej personie.

— Ha, ja byłem domyślniejszy, poznałem waści od oka — odparł Rialto z powagą, siadając z powrotem.

Dworki królowej wpychały sobie chusteczki do ust, by nie śmiać się głośno. Nawet obojętny i niemrawy zazwyczaj Król Jegomość raczył się uśmiechnąć półgębkiem. Wadowita nieznacznie cisnął dwa talary, które błazen w lot pochwycił. Za marszałka jeden, za spostponowany fenomen wenecki drugi.

Nie zwracając na to zajście zbytniej uwagi, hetman przeglądał badawczo oczami orszak królowej, a nie widząc kogo szukał, nachylił się ku wojewodzie rawskiemu:

— Jegomości księdza Skargi nie masz? — szepnął.

— Owszem, przyjechał z królestwem z Warszawy.

— Nie widno go...

— Pewnikiem jakimś dzieckom dziadowskim trza było nosy usmarkać, więc nie przyszedł — roześmiał się Gostomski. — Nie znaszże Wasza Dostojność obyczajów księdza Skargi?

Uniwersalny mędrzec imć Niegoszewski zdążył już ochłonąć z gniewu.

— W onej to wspaniałej Republice Wenecjańskiej — podjął przerwaną przemowę, — gdy przeczytawszy z nieznanego mi autora poema, tysiąc wierszów liczące, bez omyłkim je ozdobnie powtórzył, w złotą księgę wpisany,

togą obdarzony i wieńcem bobkowym, glorię poetycką figurującym, zwieńczony zostałem. Słonecznego Feba i wdzięczne córy Jowisza, szlachetne Muzy, o *auxilium* skuteczne prosząc, śmiem się spodziewać, iż w obliczności Najmiłościwszych Państwa moich nie sprezentuje się podlej... Za czym, za łaskawym zezwoleniem, wzywam prześwietnych mistrzów Akademii do zadawania mi kwestyj...

Stanął nieruchomo, w posągowej pozie, oczekując. Zaszeleściły togi profesorów, sunących naprzód. Zebrani wstrzymali oddech w najwyższym zaciekawieniu...

Z góry, z misternie belkowanego stropu, tłum rzeźbionych głów spozierał na zgromadzenie milcząco, wymownie. Tuż ponad tronem królewskim, niesamowita, dziwaczna głowa niewiasty z przewiązką na ustach, Fatum pono wyobrażająca, zdawała się kryć groźną, ważną tajemnicę, ani podejrzewaną przez tłum zebrany na dole, oczekujący w napięciu na odpowiedzi cudu przyrodzenia, imci pana Niegoszewskiego. By zdarto jej opaskę, krzyknęłaby ostrzeżenie. Kędyś, w Nieznanym, piętrzyły się już wypadki, gotowały przyszłe losy, przepływały z tajnym szumem koło małych ludzi, nie śmiących spojrzeć im w oczy. Hetmanowi zdało się naraz, że dogadałby się łacniej z tymi martwicami na stropie, niźli z żywymi na sali, i wysunął się z zebrania niepostrzeżenie, szukać jedynego swego na dworze przyjaciela.

3602

ROZDZIAŁ II

SUMIENIE RZECZYPOSPOLITEJ

Siedzieli na prostych, ledwo zheblowanych stołkach, serdecznie wzajem radzi, że się widzą. Niewielki sosnowy stół, wąski tapczan, lawaterz, dopełniały umeblowania izdebki. Dwie zrudziałe od starości i wyświecone sutanny wisiały na kołku przy drzwiach. Wielki czarny krucyfiks przecinał ścianę nad łóżkiem.

— Tę siłę mając, Szweda można by z Inflant wyżenąć, Tatarów na wieczne czasy okiełznać — mówił pan Żółkiewski z żalem.

— Wiera, że by można... Sto tysięcy! Sto tysięcy bezczynnie, na zgubę jeno i szkodę stojących!... A gdyby, Boże zachowaj, rzetelne niebezpieczeństwo przyszło na Rzeczpospolitą, Turek stanął na granicy, nie zbierzesz uniwersałami, nie wyżebrzesz prośbą marnych dziesięciu tysięcy...

— Jakie nowiny z Inflant? — przerwał hetman. — Z Ukrainy idąc, ni jeszcze dopytać się nie miałem czasu...

Ksiądz Skarga machnął ręką.

— Lepiej się nie pytać! Zgroza! Półtora roku wojsko kwarty nie dostało... Rozeszło się i królewszczyzny tęgo rabuje. Płacz tam, pisk, wołanie o pomstę... Ha, głód przymusił żołnierza... Pan starosta żmudzki takie tu listy słał, że kamienne serca by wzruszył... Zubożył się, na nic zeszedł, własną substancją wojsko ratując... A my — nic! Miesiące idą, zaczym jaką decyzję poweźmiem... Ninie starosta żmudzki chory w Berzonach leży, a wszystko cośmy łoni w Inflanciech zyskali, przepadło...

Hetman zacisnął ręce, aż trzasnęły stawy.

— Boże! Boże! — szepnął głucho. — Co się tamtym dziwować?! Co ganić?!

— Kiedy bacz Wasza Dostojność, że oni nie o to, co się iście złego dzieje, powstali...

— Żal mi pana starosty żmudzkiego okrutnie. Inwidię sieje między nami dla złości Radziwiłł, czemu z pożałowaniem pan hetman daje pono wiarę. Ja wszakże miłuję go i admiruję ekscepcjonalne jego cnoty niezmienionym afektem. Powiadają, że mi sławy zagląda, jakoby mniej ode mnie wiktorii w rejestrze swym mając, czemu ja zgoła nie wierzę. Jeniusz to jest znamienity, z nikim w komparację wejść nie mogący...

Ksiądz Skarga nie zważał, wróciwszy myślą do rokoszu.

— Byłeś tam Wasza Dostojność? — zapytał. — Gadałeś z nimi? Co mniemać o ich inklinacjach?

— Jużci dla króla Jegomości nie są one życzliwe... Mnóstwo to jest do najgorszych ekscesów podżgane, a słusznymi (co tu gadać) urazami podniesione. Jeno że kręcą w miejscu jako tuman na rozstaju, wodza nad sobą nie mając. Wojewoda krakowski i drudzy schlebiają jeno powszechności, inicjatywy i *responsibilitatis* unikając...

— Wodza brak i po tej stronie...

— Choć się srodze odgrażają, nie widzi mi się, by zaczęli pierwsi zbrojnie czynić. Z kandydatami jeszcze chcą się znosić, targować... Ale marszałek pcha króla do bitwy...

— Nie popchnie. *Primo*, że król Jegomość nigdy na żadną decyzję skoro się nie zmoże, *secundo*, iż nie żaden to Herold, ni Heliogabalus, by się kwapił krew przelewać. Sam także pierwszy nie ruszy...

— Kanonik krakowski prawił mi co ino, że rokosz kipieć będzie, kipieć, aż wykipi i na gadaniu się skończy...

— Bodaj że słusznie wywróżył... Ale co z tego? Ej, Wasza Dostojność! Nieraz rozmyślam, czy nie lepiej dla

narodu, by pękł nareszcie ten wrzód i zaszła jakaś odmiana, choćby kosztem krwie? Zawdy po burzy swobodniejszy jest dech, rzeźwiejsze powietrze... A ot, pociągnie się to roztargnięcie może rok jeszcze, może dwa; ujadać będą na siebie regalisty, rokoszany, śliny ni czasu nie szczędząc, aże zabędą o co poszło zrazu... Może się kiedy i zderzą, potłuką... Aż ścichnie wszystko, przyschnie... Nic się nie zmieni na lepsze... Uważasz Wasza Dostojność: N i c s i ę n i e z m i e n i. Jeno zły kwas w narodzie zostanie, będzie rósł i rósł.... Biada wnukom, którym pożywać przyjdzie chleb z tego zaczynu! Niesporo im przyjdzie go zekłtać. Poszanowanie władzy przednie ślemię. Gdy je wyważą,łacno może strop runąć na głowy...

— Czemu tak się dzieje, ojcze? Klątwa to jakaś, czy co?

— Za dobrze jest narodowi... Jużci nie całemu, — szlachcie; o innych stanach nie lza i wspominać! Jako ziarna pod młyńskim kamieniem, tak są poddane pod panami swymi... Mieszczany także ledwie, ledwie, że resztką ducha kołaczą... Jakoż może dziać się dobrze, jakoż może ta budowla trwać, gdy jednym po gębie kapie, a insze na trzaski wyschnięte? Gdy jedne od nadmiaru swobody dur chwyta, a drugim od kolebki do grobu niewola? Nie maż tego Bóg pokarać?... Wasza Dostojność! Lęk mnie zbiera, groza trzęsie, gdy o tym wszystkim pomyślę. Ku czemu idziem? Co będzie z tą Rzeczpospolitą?! Siakim takim proroczyną mizernym, będąc, w Słowie Bożym i poselstwie, zaklinam, do opamiętania wzywam... Cóż o to? Większe bodaj znaczenie miały słowa dziewki pogańskiej Kassandry, niż moje. Kto o nie stoi? Widzę, jako czerw podgryza fundament, rysuje się sklep; krzyczę: gorze!! — a nikt mojej mowy nie słucha... Zła dola już we drzwiach, samochcąc przez naród zwołana...

— Na zły czas przyszli my obaj, na jesień... Jesień to Rzeczypospolitej...

Ksiądz Skarga nie odparł nic, utkwiwszy w promieniu świec mądre, szeroko rozwarte, jakby wypatrzone oczy. Zamyślił się, duszą zapatrzył w bezkresy wieczności, kryjące kędyś przyszłe koleje Narodu. Podobnie jak astrologowie badają bieg planet, wróżąc z nich losy wszechświata, tak on całe życie przenikliwym wzrokiem śledził bytowania ludzkie frasobliwe, powszednie fakty codzienne, małe drobiny, tysiączne okruchy, rozsypane po wielkiej, pylnej drodze Losu. Podglądał owe kółeczka maleńkich wydarzeń, zazębiających się o drugie wydarzenia, równie małe, bezpotrzebne i oderwane na pozór, a przecie tworzące zbiorowo logiczną, zwartą budowę. W całości dzieła ginęła drobność poszczególnych ściegów, a wyłaniał się wzór jeden, Bożą ręką tkany. Wydało mu się na mgnienie, że obejmuje go wzrokiem, dostrzega szlaki narodów, ku celom swoim dążących. Poczuł ulgę niewysłowioną, — lecz zanim zdołał odszukać na owym wzorze tajemnym ściegnę wytkniętą Rzeczypospolitej, wskazać ją przyjacielowi, widzenie splątało się, zmierzchło, rozeszło... Zostały znów jeno tysiączne drobniutkie ludzkie zabiegi i losy sprzeczne, zawiłe, pełne smutku, okrucieństwa i niesprawiedliwości.

Westchnął, przecierając oczy. Przez otwarte okno wlatywały wielkie pierzaste ćmy, wirowały w koło świecy, opadając miękko na stół. Ruchliwe, wyolbrzymione ich cienie błądziły niespokojną gromadą, niby duszków, po pułapie. Za oknem granatowe głębokie sklepienie błyszczało bogactwem gwiazd. Raz po raz któraś spadała, jak gdyby niebo strząsało ich nadmiar. Z dołu niosło się ku oknu cudne gędzielenie lutni, samotna gra starego Wojtka Długoraja, którego już ludzie słuchać nie chcieli.

— Ku czemu idziem? — powtórzył hetman poprzednie pytanie księdza. — Prawdę powiadacie, ojcze: Krzywdy rosną zewsząd, ciężkie krzywdy; ściągają karanie Bo-

że... Ni połowy ich nawet znać nie możecie, spokojnie tu u dworu w ciszy siedząc...

— Spokojnie! — wybuchnął ksiądz z urazą. — Jakby mi tu miło było! Mieszkam, iż mi kazano... Nie obierałem nigdy miejsca tego, jeno stoję, jak żołnierz, gdzie każą, choć gęsta strzelba bije... Niech jeno skinienie starszego, a z ochotą się stąd porwę, strawnego ani odwozu nie prosząc... Który mi tę nowinę przyniesie, suknię bym z siebie darował... Spokojnie! Gdzie tu spokój! Imaginuj sobie Wasza Dostojność, że godziny nie ma, by kto o protekcję prosić nie przychodził. Zamykać się przed nim trudno i grubo, a przyjmować nieprzystojnie i czasu utrata... Zgryzota istna... Powiadam każdemu: Nie przychodźcie tu, panie, po pożytki swoje, nic ja nie mogę... Woźnicy, któren mnie wozi i ze mną się u dworu postarzał, uprosiłem wakancję, w żupach groszy dwadzieścia. Jedyna to moja w życiu protekcja... O spowiedź tutaj przychodźcie, a nie o wakanse... Tak gadam, oni przecie lezą i lezą...

— Siła jest ludzi, które by się nie tylko tak świątobliwej osobie, ale piecuchom a masztalerzom kłaniali, byle tam o pomocy swej poczuli...

Za drzwiami rozległy się kroki. Wszedł nieśmiało młodziutki braciszek zakonny, o bladej, wymęczonej twarzy:

— Jakiś poseł szuka pilno wszędy Jegomości pana hetmana...

— Poseł? — zadziwił się ksiądz. — Przywołać go tu, Wasza Dostojność?... — A cóżeś to brat tak skiepściał?

— Pościłem — szepnął braciszek, zarumieniony.

— Widzę to, ale nie pochwalam. Pod obediencją nakazuję iść natychmiast na wieczerzę, a postu do zezwolenia zaniechać... Ciało masz, — jeść i pić musisz. Najadłszy się, więcej zrobisz za godzinę, niżli głodny a słaby za dziesięć... Nie bój się! *Libidines* tyrpać cię nie będą, skoro roboty nałożę... A posła tutaj przyprowadź...

Chłopczyna wybiegł, czerwony po uszy.

Roześmieli się obaj

— Skaranie boże z tymi smarkaczami — burczał ksiądz. — Każdemu się widzi, że byle jeść przestał, już z Kostką Staszkiem się zrówna. Oj, nie tak to łacno... Prosimy! — zawołał, słysząc stuknięcie pod drzwiami.

Onieśmielony, nastroszony jak sęp, Sebastian Pielsz kłaniał się niezgrabnie od progu.

— Lit do Waszej Dostojności od pana wojewody krakowskiego — meldował. — Pan krakowski usilno prosił, byś go Wasza Dostojność przeczytać raczył przed obaczeniem się z Królem Jegomością...

— Dajże waść!... Oho, folium to całe, nie list... Żeś się to waćpan podjął tu przyjechać, glejtu ni ubezpieczenia nijakiego nie mając? By się rozeszło, że z Pokrzywnicy goniec, nie witanoby cię na Dworze zbyt *amabiliter*... Osobliwie marszałkowscy łacno do wiolencji mogli się posunąć?...

— Sam o tę funkcję prosiłem, personalną jeszcze sprawę mając ku Waszej Dostojności...

— Słucham chętnie.

— Chciałem rzec — zaczął Sebastian, i urwał... Nawyk milczenia, nieśmiałość, walczyły w nim z chęcią wypowiedzenia tego, co wypowiedzieć uważał za swój obowiązek.

— Chciałem rzec, że siła było w obozie takich, którzy inaczej myśleli, niż ci, co krzykali a śpiewali na drodze...

— Byłem tego pewny — rzekł hetman, wyciągając doń kordialnie rękę. — Miło mi poznać... Jak waści nazwanie?

— Sebastian Pielsz, herbu Nabra, z Czarnego Potoku...

— Siadajże waść i poczekaj, aż one traktaty odczytam... A oto jest jegomość ksiądz Skarga Pawęski, kaznodzieja Jego Królewskiej Mości.

Sebastian drgnął i spojrzał bokiem, posłyszawszy nienawistne każdemu inowiercy nazwisko. Nasępiwszy się tym bardziej, usiadł niechętnie na brzegu stołka, z pewnym zdziwieniem spoglądając na otaczające ubóstwo.

— „Strzała, którą Ojczyzna, śmiertelna już matka, od zdrajców ginąca a gorzko zelżona, ku wyrodnemu synowi panu hetmanowi polnemu, kasztelanowi lwowskiemu, dla zmiękczenia jego nieszczerego serca, w ostatecznej lamentacji wypuściła" — przeczytał głośno hetman nagłówek listu.

— Herburt to wymyślił, nikt inny...

Zagłębił się w czytaniu długiego manuskryptu.

Ksiądz patrzał uważnie na Sebastiana.

— Waść należysz do rokoszu? — zapytał.

— Ano.

— Wolno wiedzieć, jakie motywy kierowały waścią?

— Obowiązek ratowania mej wiary, którą jezuity — (podkreślił to słowo z cichą satysfakcją) — srogimi persekucjami całkiem chcą wyniszczyć i zgnębić... Musim walczyć, pokąd swobody wyznania, jako drzewiej była, nie dostaniem...

— Waść kalwin? protestant?

— Chrystianin, Zboru małego.

— Chrystianin, czyli krześcianin, jako i my wszyscy...

— Nie — odparł szorstko Sebastian, — bo chrystianin iście od Chrystusa się wywodzi, zaś krześcianin od krztu papieżnickiego, który błędny, bałwochwalczy i dla duszy szkodliwy jest...

— Oho, ho! — uśmiechnął się stary ksiądz pobłażliwie, a nawracając do początku rozmowy, dodał: — Także więc chrystianów prześladujem?

— Nie widzę racji o tym dyskurować — mruknął Pielsz. — Toć wiadomo: gwałty, represje, persekucje zewsząd! Zginąłby zbór, gdyby tak potrwało, ale my nie

dopuścim... Nie zginie! — rzekł hardo, podnosząc wyzywająco głowę.

— Mylisz się waćpan, sądząc, że zginąłby od persekucyj (o których dziwno mi, że nie słyszałem). Prześladowania wzmacniają jeno wiarę. W ogniu a krwi męczenników wypala się glina kościołów... Możesz zawierzyć waść naszej eksperiencji, z górą półtora tysiąca lat liczącej, gdy wy z biedą nie wiem czy siedemdziesiąt naliczycie... Jeśli ginie, tedy z innych przyczyn...

— Nie masz innych, jeno nienawiść utrapiona papieżników, jezuitów w szczególności... Ale my ich powstrzymamy!

Szczera wesołość zaświeciła w oczach księdza.

— Oj, nie powstrzymacie! Potośmy są żołnierze Chrystusowi, by Domu Pańskiego strzec, a zbłąkane dzieci z powrotem doń przyprowadzić... Szkoda żeby się traciły... Prawda, że złe heretyctwo, ale ludzie dobrzy, złe błędy, ale natury chwalebne, złe odszczepieństwo, ale krew miła...

— Do kościoła papieżnickiego nigdy żaden z nas nie wróci, hydząc się nim a brzydząc...

— Wrócicie, albo się zgoła rozpadniecie jako liście. Waść narzekasz na persekucje, ja zaś powiadam: by nie one zgoła niepotrzebne stosy a męki w Iszpanii, Anglii, Francji, Niemczech, — dawno by już żadnej herezji nie stało! Zwiotczałyby, struchlały, rozpadły się same w sobie, jako wiotczeje wasz zbór... Skrzepiły się musem obrony...

— Tedy niechajcie nas w spokoju... Co wam potrza?

Ksiądz rozweselił się znowu.

— Nie poniechamy! — zapewnił. — Słusznie prawisz, że my są wasi nieprzyjaciele najgorsi, niezrażeni, niestrudzeni, nie dający się ubłagać niczym. Utwierdzenie namiestnickie, najwyższe, mamy do tej walki, jeno nie orężnej, nie ogniem, ale miłością i przykładem... Bacz, że to

nie persekucja, jeno walka jawna, w której równe mogą być siły oboje... Do boju was wyzywamy... Nuże! Starajcież się nawrócić nas... Kto wie? może się wam uda?

Sebastian zacisnął zęby z gniewu.

— Nigdy — powtórzył twardo, nie odpowiadając na szyderstwo, — nigdy nie pójdziem na owe bałwochwalstwa, czarownictwa, zabobony, oszukańcze cuda...

— Oszukańcze?! Śmiałe są słowa waszmości...

— Mam prawo tak je mianować — warknął Sebastian, — bom sam widział! Wiem, co cuda wasze warte, świadkiem naocznym jednego zostawszy.

— Powiedzże waść, jak to było?

Wbrew zwykłej małomówności, Sebastian opowiedział szczegółowo zajście na pogrzebie wuja Bazylego, rad, że może księdza niewątpliwym fałszem upokorzyć.

— Krzyczeli wszyscy w koło: „Cud! cud"! — zakończył. — Ja zasię powiadam: łgarstwo! Nie wiem, kto je uczynił, ani po co... Prostak jestem, w górach siedzący, nie uczony, przecie by mi nie wiem kto co gadał, rzekę, iż ręki Bożej w tej sprawie nie było! Oszustwo jakieś i tyla... To są wasze cuda!...

Ksiądz Skarga słuchał uważnie.

— Ja też sądzę, że było to łgarstwo, jakich nie brak po świecie — rzekł spokojnie, — nie widzę bowiem w tym zdarzeniu żadnego z koniecznych elementów cudu, dostatecznego powodu żywej ingerencji Bożej. Nie lada trzeba przyczyny, aby cud uprosić! Toćże to królewska łaska... Spada nieoczekiwanie jako błyskawica, by zdeterminować jakąś wielką rzecz, potwierdzić wolę Bożą, gdzie się wątpliwą wydaje, pokarać krzywdę, abo ulżyć i kogo zratować... Nie dzieje się nigdy cud dla dogodzenia czyjej próżnej chwalbie. Ani bez koniecznej a oczywistej potrzeby... Prosty jest cud, rozgłosu nie szukający. Bóg popisywać się nie chce, ani potrzebuje, nie lubi zbytniej ozdoby...

— Ja ta nie umiem o tych rzeczach gadać — odparł Sebastian niechętnie, — na gębę zawdy ksiądz będzie mocniejszy... Co by mi kto jednak uczenie nie prawił, nie wierzę, żeby zdarzył się prawdziwy cud, niby żeby Pan Bóg w ludzkie sprawy żywo wglądał. Za wielki On! Gdzie Mu do nas! Stworzył świat, drogę ludziom ukazał, którą do niego iść potrza, i bardziej się w to nie miesza... Od dzieckich lat zdawał mi się Bóg jak one wierchy tatrzańskie, które z naszych groni widno, w chmurach sterczące, śniegiem wyiskrzone, a noga tam ludzka nie dojdzie, ni one do człeka nie zejdą...

— Mizerna i smutna wiara, na takim węgle się wspierająca — zauważył ksiądz Skarga, — bez ufności w ciągłą opiekę miłosiernego Pana, gotowego każdej chwili ściągnąć dłoń, by podeprzeć: żyje człek jako bez słońca... Nie zuchwalstwo to, nie umniejszanie Majestatu Boga, jeno stwierdzenie wiecznej Jego obecności...

— Obecny jest, ale myśmy prochem...

— Wszystko jest prochem... i gwiazdy są pył... wszechświat nie większy mrowiska... „Tysiąc lat w obliczu Jego, jako dzień wczorajszy miną..." Tysiąc lat — jeden dzień! A przecież bliski jest nas, miłosierny. Obecny wszędy, wszystko przenika, pojmuje... Pojmując zaś, jakżeby nie współczuł, nie ulżył? Któren rzekł: „Przyjdźcie do mnie wszyscy, którzy obciążeni jesteście"... W s z y s c y, rozumiesz waść? Wszyscy! Nie masz w Jego oczach małych istot, małych strapień, bo wszystko jednako nędzne...

Umilkł, ale po chwili ciągnął dalej, zamyślony:

— Ustawiczna przytomność Boża! Słodkie a wraz groźne słowo! Żyjemy w niej jakoby w żywiole straszliwym, łacno go zapominając... By pamiętano, inaczej by życie szło... Dlatego to, przypominając człowiekowi, że na oczach Boskich działa, stawiamy męki, krzyże, obrazy, figury, wołające: Bóg jest wszędzie! Bóg cię widzi! Jest

tu, i tu, i tu... Patrzy na ciebie oczami obrazu, wyciąga ramiona z każdego krzyża! Jest nieustannie przytomny... Pomnijcież!

— Po mojemu, bałwany to, jakoby pogańskie, i tyle...

— Nie bałwany, ale przypomnienie i wyobrażenie Boga... Wierzaj mi waść, że dusza i rozum — bez to widno, że oczami ciała patrzą — nic duchownego bez cieniów i barw cielesnych nie pojmą, a ludzie, gdy chcą być bardzo wysokimi i samym duchem Boga chwalić, bezbożnymi i dalekimi od Niego się stają...

— Bluźni kto chce Boga wyrazić, któremu nic podobnego na świecie nie ma...

— Jest owszem wszędzie Jego podobieństwo... Stworzenie każde, to niby ślad Boży, po którym poznać, iż On tam przeszedł... Jako myśliwi po śladach zwierza szukają, tak człowiek rozumny, na świat patrząc, Boga szukać i poznawać może... Wszystka noc, piękność i wielkość ziemi powiada: Nie myśmy Bogiem, ale tędy przeszedł, oblicze swoje na nas wyrażając...

Oczy mu rozgorzały i ciągnął jakby w uniesieniu:

— Stworzenie wszystko jest jako dwór pięknie i mocno zbudowany, po którym rzemieślnika poznać, i mógłby on gmach powiedzieć: Gadaj kto mię budował, a rozmiłuj się takiego misternika... I jest stworzenie jako zwierciadło, w którym twarz się Boska wedle podobieństwa swego ukazuje... Nasze zwierciadło jest wszystko to, co Pan Bóg stworzył, w którym widzim prawdziwie Jego moc, mądrość, dobroć i wielmożność...

— Tak jest — omal że nie przyznał Sebastian, lecz opamiętał się w porę. Czując ubytek gruntu pod nogami, wysunął inny argument:

— Nigdy — rzekł z rozmyślną szorstkością — nie pójdziem na owo ślepe posłuszeństwo papieżnickie, nieomylną (pożal się Boże) *autoritas* Kościoła...

— Przyjdziecie z utęsknieniem, gdy dokuczy samo-

wola... cóż dzieje się u was bez owej *autoritas?* Widziałem nieraz różnowiercze synody: nie tylko się nie zgodzą, ale więcej jeszcze sekt i wiar przyczynią. Jeśli z sześciu przyjechali, z dziesięciu się rozjadą; nie synod to, ale karczma, czy swarnia, ludzi nierozumnych i hardych.

Sebastian otworzył porywczo usta, lecz wspomniał Hoszczę i nie odrzekł nic.

— Pierwszy fundament ładu, któren z kolei jest węgłem wszystkiego — u sukni Chrystusowej nieszytej, pierwszy haczek: *autoritas Ecclesiae*... Skoro ten przerwiesz, wszystkie inne się rozwiążą... Posłuszni my, *perinde ac cadaver*, bośmy są żołnierze, a cóż wart żołnierz bez posłuszeństwa?

Umilkł, a nie doczekawszy się odpowiedzi, spojrzał wzrokiem przeglądającym na wskróś i zapytał nagle:

— Zali w waszym zborze, zarówno jak w rokoszowym obozie, nie tęskno nigdy waści za autorytetem i ładem?

Sebastian poczerwieniał gwałtownie.

— Przyjdziesz z czasem, synu, do nas — rzekł ksiądz, spoglądając na niego z nieopisaną dobrocią. — Nieskoro jeszcze, lecz przyjdziesz... Posłuszeństwo? Myślisz, że mnie za młodu nie targało, jak psa na uwięzi? Komu się nie zda, że świat zbawi, nową prawdę nieskalaną głosząc?... Alem się wszczepił w Kościół, jak różdżka leśna w pniak oliwny, z nią się zrosłem jako jedno drzewo, z niej tłustość i owoc i wzrost biorąc...

— Dobrnąłem końca nareszcie, choć szkoda mojej fatygi — sarknął niecierpliwie hetman, kładąc na stole odczytaną epistołę. — Aż dziw, że w tak krótkim czasie zdążyli tyle naskrybować, z taką małą pociechą dla sensu! Nic tu nie ma krom frazów, mętnych waporów i połajań niepoćciwych... Prócz gadania, robi się tam co u was w obozie? — zwrócił się do Sebastiana.

— Nie — wyznał tenże, coraz to więcej zmieszany.

— Rad bym tu zaraz respons wykoncypował. Długi nie

będzie... I słów tam szkoda, gdzie pożytku przynieść nie mają...

— A ot, inkaust, kartelusz, pióra i piasek — zakrzątnął się gospodarz, wyciągając potrzebne przybory z szuflady stolika.

Zaległo milczenie, przerywane tylko skrzypieniem gęsiego pióra po szorstkim papierze. Sebastian siedział nieruchomo, utkwiwszy wzrok w kamienną podłogę, z rzetelną urazą do samego siebie sprawdzając, że się tu czuje dobrze, lepiej znacznie niżeli w obozie. Darmo nazywał się w duchu zaprzańcem i zdrajcą. Darmo sobie uświadamiał że nie powinien ni chwili dłużej słuchać tego jezuity, wroga zboru, i hetmana, odstępcy rokoszu. Nie pomogła nawet najniezawodniejsza ludzka broń odporna: ośmieszanie ich przed sobą samym, wydrwiwanie usłyszanych wywodów i własnej łatwowierności. Natrząsał się i zaśmiewał (niezbyt szczerze) w duchu, a równocześnie z żalem myślał, że za chwil parę odejdzie. Nie zetkną się nigdy ich drogi. Nie spotkają się inaczej, jeno jako wrogowie... Ład i autorytet! Mój Boże! nie tylko tęsknił, ale dusił się z ich braku! Szukał daremnie, dążył ku nim, ginął w jałowej rozterce, — a ci dwaj znaleźli je, znali nie tylko ze brzmienia, rządzili się nimi, czerpali z nich siłę i spokój... Czemuż należą do wrogów!

Naraz drgnął, przypomniawszy sobie słowa ostrzegawcze Smalciusa, powtarzane niejednokrotnie przez Socyna, że jezuita Skarga, charakternik, o praktyki jest podejrzany, czary mając w mowie, którymi ludzi przyłudza dokąd zechce. Słusznie ostrzegali! Jeszcze moment, a byłby może i jego przyłudził! — Wzdrygnął się przerażony, zesztywniał i sprężył się w sobie.

— Nie mam pieczęci — zatroskał się nagle ksiądz; — chyba do kancelarii posłać?

— Nie potrza — odparł hetman, — żadnych tajemnic

tu nie ma. I tak proszę wojewody krakowskiego, by to pisanie przed powszechnością odczytał...

— Wojewoda krakowski nie uczyni tego pewnikiem — pomyślał Sebastian. Wziął list, skłonił się krótko, po żołniersku, i wyszedł bez słowa.

— Udał mi się ten szlachcic; będzie jeszcze z niego pociecha dla Kościoła i Ojczyzny — zauważył ksiądz Skarga, którego słusznie snadź Smalcius, Moskorzewski, Socyn i inni reformatorzy pomawiali o praktyki, duszołapem i czarownikiem go nazywając.

ROZDZIAŁ III

WIOSNA

Stara Mądrzycha Grzybula słusznie się pyszniła swoją wiedzą, bo rozrąbane ramię Pietrka pod staranną jej opieką zrastało się iście cudownie. A kiwali nad nim głowami — zarówno przechwalony znachor ze Starego Sącza, jak owczarz praktyk, i kowal znany w całej okolicy z tego, że wielkim kluczem zęby *expedite* rwał. Wszyscy dowodzili, iż rady nie ma, i panicz albo zemrze, albo trza ramię wyłuskać i chłopca z próżnym rękawem jak kalekę puścić. — Takiego młodzieńkiego! pożalcie się!...

Gdy Mądrzychę przywieziono pierwszy raz, Pietrek leżał w gorączce, nikogo nie poznający, rana zaś zaogniona była szpetnie i fetorzysta. Jednakże dała jej radę. Nieskoro to poszło, nieskoro... Powoli wszakże obkładania okowitą wężową i driakwią,—naparzania z dzięcierawy, lebiodki i kurzego ziela, smarowanie maścią z żywokostu, zrastaniu się kości przyjaznego, — zrobiły co należało. W połowie tylko. Główna część zasługi leżała bowiem w umiejętnym mocnym zamawianiu, w którym z Mądrzychą nikt równać się w biegłości nie mógł. Za każdą bytnością powtarzała te same znaki i zaklęcia, nigdy się nie pomyliwszy, co było niezmiernie ważnym, najmniejsza bowiem pomyłka mogła od razu zwichnąć całą skuteczność leczenia.

I teraz, z lubością obmacawszy zabliźnioną ranę, ostukawszy wielokrotnie zrastającą się kość, nakreśliła nad głową usarza szereg tajemniczych znaków, okrążyła go trzy

razy, przeżegnała cztery strony świata, i wśród nowych znaków, coraz to bardziej zawiłych, zaczęła mówić uroczystym nosowym szeptem, nie przerywając dla nabrania oddechu ni razu:

— O mój bólu, o mój piękny, mój najpiękniejszy, mój najśliczniejszy, proszę cię imieniem Kristusa Pana i Ducha Świętego, Świętej Trójcy nierozdzielnej, zaliś ból kołtunowy, zastrzałowy, rąbany, różowy albo bolączkowy, — upatrz se miejsce na Szklanej Górze, na Pczowej Górze i na Włoscowej Górze. Jak się Ewanielija rozchodzi po kościołach, tak się ty, bólu, rozejdź po gałęziach. Jak się chwała Boza rozchodzi po świecie, tak się ty, bólu, rozejdź po kamieniach. Wyjdź, bólu, z ciała i kości, — proszę cię do Boskiej miłości. Zamawiam ciebie puchowym pióreckiem, makowym ziareckiem, miesiąckiem i Bozą pomocą...

Odetchnęła, zasapana, kreśląc nowy szereg znaków.

— Za parę niedziel — rzekła, ukończywszy szczęśliwie ceremoniał zabiegów, — wydobrzeje ręka całkiem. Zrazu stergła będzie, bo od ruchania odwykła, ale i to przejdzie...

— Czas, czas! — westchnął Pietrek. — Toć już rok bez mała...

— Wielgie rzeczy: rok! Żeby nie starka, kaleką byłby panic ostał na ament, — a ot...

Na wpół ślepymi oczami obmiotła z uśmiechem dorodną postać chłopaka.

— Jużci że tak — przyznawał jej rację, — wybierzeta też sobie cielicę, babko, sami...

Skłoniła się nisko, zadowolona. Powózka, mająca ją odwieźć do domu, stała już przed gankiem. Ociągała się jednak z odejściem, czekając na powrót starszej pani, która wysunęła się uprzednio z izby, by nie słyszeć grzesznych (cóż, kiedy skutecznych!) zaklęć do papieżnickiej Trójcy. Mądrzycha czekała cierpliwie, wiedząc, że nie odjedzie

z próżnymi rękami. Cielna jałowica miała być uwieńczeniem szczęśliwej kuracji, lecz, niezależnie od tego, za każdy przyjazd godziły się mniejsze datki, których jej nie szczędzono.

— Powiada starka — rzekł do wchodzącej matki Pietrek, — że za parę niedziel będę mógł w pole iść...

Poważna twarz pani Pielszowej pobladła.

— Nie pójdziesz! — zawołała. — Starosta stryjowi gadał, że hetman litewski przeciw rokoszowym ściągnął... Na Sobka byś poszedł?! Na brata?!

— Kajze to som starsy panic? — zaciekawiła się stara.

— Poszedł z innymi przeciw królowi wojować — objaśniała pani, — bo nas straszno za naszą wiarę uciskają...

— Niby kto?

— Któż by?! Król, biskup, katoliccy wielmoże... Ot, choćby tamtego roku... Pamiętacie babko, jak na waszych dziedziców sam biskup krakowski zbójów nasłał?

— Hale?! — zdziwiła się stara. — To biskup ich nasłał? A bez co?!

— Posłuchajcie: Miał tam Niemiec w lamusie krzynie z krotłami... Krotły, to ołowianki są, żeby książki drukować; znacie? To nocą napadli, zabrali, wywieźli, wydarli, aby jeno nam dokuczyć, książek naszych między ludzi nie dopuścić!... Taka krzywda! I za co?! Poświadczyć może każdy, żeśmy są ludzie ućciwe, spokojne, nikomu nie wadzimy, po Bożemu, lepiej od innych, żyjemy... Czegóż chcą od nas? Książek nam nawet drukować nie wolno?! To sprawiedliwość ma być? to prawda?! Bez to starszy panicz poszli się bić, a z nim kupa drugich, bo dalej tak cierpieć nie lza...

— Miemiec skoduje sobie o te krzynki?

— Moiściewy? Co ma, to by za nie oddał, ostatniego

dukata wysupłał... Ale nie odbierze! Kaj? Zaraz je pewno zniszczyły...

— Laboga! — kiwała stara głową z przejęciem, a podziękowawszy pięknie za ofiarowany półkorczyk owsa, odjechała.

Pietrek naciągnął kubrak i wyszedł wesoły przed dom. Nie znać już było na nim choroby ni wojennej poniewierki. Prosty był, piękny, tryskający radością życia i siłą. Zapatrzył się uważnie w pachnącą toń sadu, migotliwą od blasków i cieni, aż zmrużyć musiał oczy, olśnione po półmroku izby. Z cienistej głębi, lekka, barwista, jak motyl, poniosła się ku niemu piosenka:

Zachodzi słoneczko
Za las kalinowy,
Zimna rosa pada
Na sadek wiśniowy...

Pobiegł w tę stronę co żywo.

— Hanka! — zawołał. — Pódźwa na wierch, pogląd-nąć ku owcom!...

Dziewczyna podniosła głowę znad grzędy, na której pełła szczebrzuchy.

— A cóż tam owce? — spytała przekornie; — odmieniły się od rana?

— Nie chcesz iść? — zdziwił się, zawiedziony.

Roześmiała się w odpowiedzi, prostując cienką swą kibić, ujętą w modry kształciczek, i wytrząsając na dróżkę chwasty z podołka. Idąc obok niego, śpiewała dalej

Nie padaj, nie padaj,
Moja zimna roso,
Aże ja zabiegnę
Do Jasieńka boso...

Poszli z sadu prosto w las, pod górę, wznoszącą się stromo zaraz za obejściem. Szli radzi, podobni do siebie z wesołego błękitu oczu i bujnej młodości. Las był jodłowy, strzelisty, grunt usłany drobniutką, śliską ścielą igieł, rok po roku warstwami się układających. Dzięcioły kuły na zabój. Z poważnej omroki boru uchodząc, nurzali się w młode bugaje, na zrąbaninach pologich wyrosłe, niby w zieloną otchłań, cigiędź wonną, drgającą w słońcu z rozkoszy. Tarny chwytały za odzież idących, spętanych uprzednio giętkim wę.em pędów malinowych. Na trzemchach fiukały wiwilgi. Krze głogowe w powodzi kwiatów zdały się okryte śniegiem pachnącym, pszczołom nade wszystko miłym. W zaroślach pełno było wrzawy ptasiej. Drozdy, królewskie śpiewaki, terlikały co sił, starając się przekrzyczeć Hankę. Droczyła się z nimi, rzucając głos wyżej i wyżej, zawieszała w powietrzu przejrzystość swych treli jak na srebrnej nitce, gdzie falowały, cichły i unosiły się znowu, na przekór gędzącym ptakom. Śmiała się w głos z ich porażki i gniewnego ćwirkania po krzakach.

Na szczycie odkrytym wzgórza stało szałaszysko, bielejące z daleka kierdelem świeżo postrzyżonych owiec. Owczarz Kacper spał jak zabity, nie bacząc na łażące mu po gębie muchy. Stada strzegł bacznie siedzący na płaskim kamieniu, mądry nad wyraz pies Kurta. Powitał nadchodzących przyjaznym merdnięciem ogona i uśmiechniętym półobrotem ostrych uszu, nie odrywając bystrych oczu od nowierzonej gromady.

— Cóżeś chciał, Pietrek, od owiec?

— Com chciał?... A nic... Pódźwa jeszcze kęsek dalej...

Poszli w las grzbietem góry, nie budząc owczarza. Śpiewali teraz oboje:

Z tamtej strony jeziora
Stoi lipka zielona....

Czyste, dopełniające się wzajemnie głosy płynęły ciepłą smugą ponad połoniną. Niewolnik obowiązku Kurta łowił je pożądliwie i zazdrośnie, strzygąc uszami. Gdy zmilkły, westchnął głęboko, kłapnął zębami na muchy, i odwróciwszy się tyłem do nęcącej głębi lasu, poświęcił znów całą uwagę owcom. Stary Kacper chrapał beztroskliwie, — Kurta rozumiał wagę tego zaufania.

Młodzi przeszli po kamieniach, przez potok dzwoniący, perlący, i szli dalej w las, bez celu, radośni samym faktem szczęśliwym istnienia. Myśli ich były słoneczne jak niebo, pierzchliwe, nieuchwytne, — głupiutkie, dziecinne i żadne, a zarazem mądre najwyższą, choć nieświadomą, mądrością wiosny i życia. Odświętna rozkosz drzew kwitnących, godów ptasich, przenikała ich na wskróś, wraz z słońcem. Gdy Hanka podnosiła dłoń, by twarz osłonić przed chłostą powracającej gałęzi, śmiała się, sama nie wiedząc dlaczego, przecudnemu rubinowi krwi nalanej w palce, niby w smukłe, wąskie fiolki. Nogi ich stawały się śmigłe, polotne, chciwe wdarcia się dalej, na szczyty, to znów ciężkie, leniwe, w rozmarzającej słodkości ledwo sunące po wzywającym do spoczynku mchu. Oczy, podobne sobie z jasnego błękitu źrenic, stapiały się razem, swawolne, beztroskie, serdeczne.

Radzi byli sobie szczerze... Zrazu, po przyjeździe Pietrkowym zeszłego lata, szczególnie rada była usarzowi Hanka. — Oj, bo też cniło jej się, cniło, między małomówną, surową wujną, a milczącym posępnikiem Sebastianem! Codzienna monotonia życia: ranne przepędzanie owiec przez dojnik, ciepła mulka, bryndza, wędzenie serków, obrządek krów i trzody, bielenie płótna, czesanie lnu i konopi, — tysiączne domowe zajęcia, nie rozjaśnione nigdy niczyim wesołym uśmiechem, słowem zachęty lub bodaj najrzadszą rozrywką, — stawały się dokuczliwe, nudne i ciężkie, traciły powab i wartość. Czynna i żywa, kręciła się wprawdzie w zajęciu tym cały dzień, lecz nudy

to nie zmniejszało. Sebastian, nic nie mówiący, lecz wodzący za nią wzrokiem, to lubym i przyjacielskim, to niby srogo badawczym, — płoszył do reszty wesołość dziewczyny. By nie stryj Hermolaus, jedyny łącznik z światem żywych ludzi, zżarłby ją smętek, trapiduch...

Za to z Pietrkiem przypadli sobie od razu do duszy, jak rodzeni. Z jego przyjazdem Czarny Potok się odmienił. Gdy poprzednia zima wlokła się niby wiek, latosia, mimo takichże samych zasp śnieżnych, fujawicy i bezdroży, zleciała migiem przy opowiadaniach wojaka, po sto razy powtarzanych, lecz zawsze z jednaką ciekawością przez kobiety słuchanych. Sama nie wiedząc kiedy i dlaczego, Hanka odżyła na nowo, rozkwitła, rozdźwięczyła się śmiechem i śpiewem.

— Mówiła mi Mądrzycha, że za dwie, trzy niedziele, wydobrzeje mi ramię ze wszystkim — przypomniał sobie nagle Pietrek najważniejszą nowinę dnia, gdy zawrócili z góry ku domowi. — Pojadę.

— Pojedziesz? — Stanęła jak wryta.

— Jużci że pojadę, do hetmana... Żołnierz przecie jestem...

Nie odparła nic, idąc szybko przodem.

— Nie leć tak; jeszcze zdążym...

Milczała, nie zwalniając. Dwoma skokami zabiegł dziewczynie drogę śmiejący, i ze zdumieniem zobaczył oczy jej nalane łzami.

— Hanka! — zawołał w olśnieniu.

Przyśpieszyła kroku bez słowa.

— Hanuś! Hanuśka!

Gdy nie odpowiadała, dogonił ją i przytrzymał.

— Hanuś?! Bez co?!... gadaj! Hanuś?!

Spuszczała nisko głowę, cała w łzach i ogniu. Odkrycie dech mu zaparło.

— Nawidzisz me? — zapytał cicho, gorąco.

Wyrwała rękę i uciekła. Przytrzymał ją znowu.

— Nawidzisz me?

— Nie wiem — szepnęła strwożona...

— Bo ja cię miłuję okrutnie... Hanuś!... Hanuśka!.., Nie miłym ci?... gadaj!...

Spojrzała nań prawie z rozpaczą.

— Później ci rzekę! — zawołała, uciekając ku domowi.

Poszedł za nią, szczęśliwy a zarazem zafrasowany, nie rozumiejąc, dlaczego nie powiedziała od razu.

— Albo nawidzi, albo nie — pomyślał. — Na co tu czekać?...

W domu zastali stryja Hermolausa, opowiadającego matce o wczorajszej swojej bytności u księdza w Męcinie. Hanka zakrzątnęła się koło podwieczerza. Stawiała zimną maślankę i placki na stole, unikając starannie Pietrkowego wzroku. Matka nieco kwaśno dziwiła się stryjowej tolerancji i koneksji z papieżnickimi księżmi.

— Droga mi tamtędy wypadła — tłumaczył się pogodnie stary; — co bardziej, powiadają o tym księdzu, że siłacz, jakiego jeszcze w Sądeckim nie było. Ciekawość brała obaczyć, tom zajechał. Rad mnie przyjął i częstował...

— W sercu truciznę chowając...

— Nie widzi mi się... dobry chłop... A siłacz setny, to prawda. Nie wiem, czy by spotrafił konie, co w szkodę wlazły, przez parkan wysoki powyrzucać, jako Drużkowski, bochotnicki proboszcz, uczynił, ale dwie podkowy razem złożone przy mnie przełomił, a garść orzechów ścisnąwszy, olej z nich wytłoczył... Tęgą sztabę giął na parstach... Mocny chłop!...

— Owa! — rzekł Pietrek. — Rotmistrz Lacki lepsze rzeczy pokazywał, dębczaka cale grzecznego z korzeniami z ziemi jedną ręką wyrywając...

— Doczkajta, bo nie o tym chciałem gadać; mocnych w garści jeszcze u nas Bogu dzięki nie brak... *Tandem,*

siedziwa przy piwie, kiedy organista włazi: „Co każą jegomość z tym świętem jutrzejszym?...“ „Jakie święto?“ — pyta ksiądz. — „A dyć, mój jegomość, na pamiątkę jak ariany wygnały katolików z kościoła, co roku idą wsiowi szmaty i kule słomy za wodą palić, potem śpiewają, tańczą, gorzałkę piją“... „Diabła zjadłeś, psubracie! — krzyczy ksiądz; — to katolicki teraz kościół, nie ariański! Ja wam dam! Szatańskie chcecie pamiątki obchodzić!“ — Chłopisko koltuna drapie: „Kiej, proszę jegomości, ludzie tego święta zwyczajni. Gorzałkę piją, ogień palą, tańczą... Cztery roki już święto jest... Pójdą, choćby zakazować“... „Bodaj ich zaraza — prawi ksiądz; — niech se świętują, ale na pamiątkę przegnania arianów... rozumiesz?“... — „A dyć rozumiem, proszę Jegomości, niech tam zowie jak chce... Ludziom o miano nie chodzi“... Poszedł chudziak. Proboszcz głową kiwa: „Te sobie teologią głowy nie morzą — powiada. — A słuszna!“...

Stryj Hermolaus roześmiał się pobłażliwie, jako stary człowiek świadomy życia i poczynań ludzkich. Nikt mu nie zawtórował. Panią Małgorzatę urażał pogodny sceptycyzm krewniaka, którego pojąć nie mogła. Stratę kościoła w Męcinie odczuła boleśnie, i jeszcze nie przebolała. Wolała o niej nie słyszeć. — Młodzi zaś nie wiedzieli w ogóle, o czym była mowa. Siedzieli nieobecni, a milczący i roztargnieni. Stryj Hermolaus, opowiadając, przyglądał im się spod oka.

*

* *

Tego wieczoru Pietrek nie miał już okazji rozmówić się z Hanką, a następnych dni również. Najniespodziewaniej dziewczyna zaczęła go unikać, trzymając się ustawicznie spodnicy ciotczynej. Gdy pewnego poobiednia nie mogła już sobie wymyślić żadnego zajęcia, usprawiedliwiającego uparte zostawanie w domu, zaofiarowała się, że przeczyta wujnie głośno parę rozdziałów z traktatu: „O

prawdziwej znajomości Boga". Pani Pielszowa skwapliwie przystała. Pietrek zdębiał. Przysłuchiwał się przez pewien czas, jak powoli, niewprawnym głosem, wymawiając z osobna każde słowo, odczytywała monotonne, zawiłe dysertacje teologiczne, i z przerażeniem myślał, że mogą być ludzie, dla których podobne rzeczy są zajmujące i zrozumiałe. Z nieukrywanym zadowoleniem stwierdził wkrótce, że matka, choć przykładająca się gorliwie do zrozumienia tych spraw, wielce jej drogich, zasnęła twardo, znużona zbytnim wysiłkiem umysłowym i bezbarwnością zabójczą lektury. Teraz mu Hanka nie ujdzie!

Wyszedł na palcach, by czekać na nią pode drzwiami. Daremnie! Przeczuwszy ten zabieg, wyprysła z izby tak szybko, że nie zdążył jej przytrzymać, i pobiegła do kuchni, by zasiąść tam z dziewkami do przebierania poziomek, na suszenie przeznaczonych. Pietrek, zły jak Tatar, powlókł się w góry. Postępowanie dziewczyny drażniło go niewypowiedzianie. Mało albo wcale nie rozumiejąc się na zawiłej dziedzinie afektów, ani przypuszczał możliwości jakowychś konfliktów, wahań czy szarpań wewnętrznych.

— Lubi, to lubi... a nie, to niechaj powie, że nie, miast uciekać... Cóż to? niewolić ją będę, czy co? — myślał w rozżaleniu. — Blekotu się chyba najadła, albo jej szaleju zadali?... Zdurniała!!

Im bardziej jednak jątrzył się na nią i gniewał, tym wydawała mu się pożądańszą. Przez tych parę dni odkrył w niej wiele wdzięków i zalet, nie zauważonych poprzednio. Siedząc na pniaku, widział teraz przed sobą, jak żywą, jej drobną smagławą twarz, szafirowe oczy, ciemne strugi warkoczy i zwiewny, ruchliwy wdzięk pliszki w całej postaci. W uszach dzwonił jej śliczny głos, który od kilku dni nie rozbrzmiewał równie wesoło, jak zwykle, po domu... Dlaczego właściwie? Im więcej myślał, tym mniej ją rozumiał.

Łoskot kamieni, toczących się z góry, przerwał jego rozmyślania. Stryj Hermolaus, ściągając ostrożnie wodze starej kobyle, jechał ze swego Lipowca do Czarnego Potoku. Na widok synowca zsiadł z konia, i szli razem piechotą.

— Co tu słychać u was na spodku? — pytał stryj.

— Nic. Co ma być słychać? — odmruknął niemrawo Pietrek. Schodzili chwilę w milczeniu.

— Macie się k'sobie z Hanką? — rzekł nagle stary bez wstępu.

Pietrek aż podskoczył ze zdumienia.

— Kto stryjowi powiadał?!

— Nikt. Cóż to? oczu nie mam?

— Ja bym się ta może miał — wyznał chłopiec, — ale ona nie...

— Ejże?! — zadziwił się stryj.

— Spytałem jej tamtej środy, czy mnie nawidzi, a ona, miast co rzec, uciekła, i teraz smyka przede mną jak przed poganinem...

— Myślisz, capie, że bez to ucieka, iż cię nie lubi?

— A jakżeby? — otworzył szeroko oczy usarz.

— Głupiś!... Co ty wiesz... Ale nie w tym rzecz... Dawno chciałem o tym z tobą pogadać, i pono źle, żem się spóźnił; jeno tak się jakoś zemkło... Mnie się widzi, uważujesz, że Sobek chciał ją dla siebie brać... Nie mówił ci nic?...

— Sobek?! — wykrzyknął Pietrek, przerażony tą myślą.

— Miarkowałem se, patrząc na niego, że mu się dziewczyna udała... Nie dziwota, bo miłe to, gładkie, robotne... Nic ci nie gadał?

— Nic — odparł Pietrek zgnębiony. — Prawda, że i czasu nie było, boświa się zaraz poswarzyli i ja odjechałem...

— Mnie też nigdy nic nie mówił, jak to Sobek; alem

tak sobie kalkulował, widząc jako na nią patrzy a mile pogląda...

— Zaś ona?! — wykrzyknął Pietrek, któremu dech sparło w piersiach.

— Nie uważałem — odparł politycznie stryj. — Jużci że nie pozierała na niego tak, jak na ciebie — dokończył w duchu; głośno tego jednak nie wyraził.

— Może z nią co gadał? — dodał.

— Może... wnet się zapytam... A taki czego ucieka, zamiast powiedzieć od razu — rozmyślał Pietrek, idąc obok stryja. Był skołatany i wzburzony niespodziewaną nowiną. Hanka dla Sobka! O Jezu!... Cóż robić?... Słowa nie piśnie, jeno do hetmana pójdzie i tam ostanie.. Sobkowe prawo pierwsze...

Serce waliło mu jak młotem, gdy dochodzili do domu.

— Hanka, pódź; mam ci coś rzec — rzekł, wchodząc do izby, gdzie siedziały obie z matką.

Podniosła głowę, zaskoczona. Gdy wyszła, schwycił ją za rękę i poprowadził do sadu.

— Hanka! powiadaj mi zaraz: miłuje cię Sobek, czy nie?

—Zaś ja wiem? — odparła, przerażona zapytaniem jego i wzburzeniem.

Przesunął ręką po czole.

— Stryj prawią, że miarkowali, jako on ciebie miłuje... Mówił ci co o tym? mówił?!

— Nie mówił.

— Bogu dzięki — odetchnął z głębi duszy.

Hanka dygotała jak liść.

— Nie mówił — szepnęła, — jeno...

— Jeno co?! — zatrząsł się znowu.

— Mnie się też czasem widziało, że on... — Nie skończyła, wybuchając głośnym płaczem.

— Cichoj, Hanka! Czego płaczesz?

— Bo ja za niego nie pójdę — szlochała, — za nic na świecie nie pójdę!... żeby mnie ubili, nie pójdę...

Łkała coraz to żałośniej.

— A za mnie poszłabyś? — szepnął, przysuwając się tuż blisko.

— Poszłabym — wyznała wśród łkań; — poszłabym... ino żeby nie Sobek!...

— O mojaś ty!...

Świat rozjaśnił mu się w oczach. Wszystko wydało się naraz łatwym, prostym i radosnym. Objął ją zdrowym ramieniem.

— A bez co uciekałaś ode mnie?

— Bez to właśnie — szepnęła, nie przestając płakać.

Niewiele go to objaśniło, lecz uspokoiło od razu.

— Mojaś ty! — powtórzył. — Hanuś!... a czemu myślisz, że Sobek cię miłuje, jeśli nic nie gadał?

— Bo ja wiem!... patrzył... gdziem się ruszała, patrzył cięgiem... Tak mi się widzi... sama nie wiem bez co. — Plątała się, nie umiejąc wyrazić tego, co nieomylny instynkt jej powiadał.

— A nie poszłabyś za niego? — upewniał się.

— Nie! — wybuchnęła. — Za nic! Boję się go!... Jakisik taki... nie wiada nigdy co myśli... Sowę zadmie, nie wiesz o co... Roześmiać się przy nim nie snadno...

— Sęp on, ale dobry chłop — rzekł Pietrek ze wspaniałą szlachetnością.

— By nie wiem co, nie poszłabym... boję się...

— A mnie się nie boisz? — zapytał nagle, nachylając ku niej twarz.

Spojrzała mu w błyszczące oczy i roześmiała się serdecznie przez łzy.

— Oj, boję się... boję okrutnie...

Nie skończyła, bo jego usta spadły jej nagle na twarz, gorące, chciwe i lube.

— Puść! Pietrek! puść!

— To za to, że się nie boisz... poczekaj! — odparł, całując coraz ogniściej.

Wyrwała się na koniec z jego płonących uścisków, roztrzęsiona, półprzytomna. Stali naprzeciw siebie, łapiąc dech, niezdolni słowa przemówić.

— O Jezu! Jezu! co my robiwa!! — krzyknęła nagle z rozpaczą. — Jeżeli Sobek się uprze, co będzie?! Pietrek! co będzie?

Spojrzał na nią głęboko, uważnie, i oprzytomniał od razu. Wróciła zapomniana groza położenia, nieustępliwa, mocna, jak prawo starszeństwa.

— Jeśli Sobek się uprze... — szepnął złamanym głosem, — jeśli... Trza będzie we świat pójść... ani pisnąć... ani pisnąć... On brat... starszy... prawo jego...

Zachłysnęła się łkaniem na nowo.

— Przecie nie gadał nic nikomu, że miłuje — czepiał się Pietrek nadziei.

— Nie gadał, ale ja wiem...

Szli powoli ku domowi.

— Hanuś! — rzekł nagle z tkliwością, — tak cię nawidzę, że reta!

— A chcesz, by mnie Sobek brał! — buchnęła z krwawą urazą.

— Ja chcę?! Dla Boga! cóżem ja winien?... Brat, pierwej cię znał... Hanuś!!

Milczeli oboje przez chwilę.

— Pogadam jutro z panią matką — zaczął Pietrek raźniej. — Jeśli Sobek i im nic nie mówił, to czego my się tyla trapacujem? Miłował, a nikomu nic nie gadał; sam sobie winien! Cóż to? mus nam wiedzieć, czy co? Tobie się widzi, stryjowi się widzi, a naisto nie wie nikt... Nie ma się o co frasować...

— Jest — szepnęła z cicha, nie porwana jego optymizmem.

— Gadanie! — żachnął się z gniewem. — Jeśli stoi wi-

no i rad bym je wypił, ale nikt o tym nic nie wie, będę się swarzył, że kompan przyjdzie i zabierze?... będę go o to winił?... Za co? jakże mógł wiedzieć, skorom nic wcześniej nie gadał?... Tak i tutaj... Trza z panią matką pomówić i zrękowimy się, nie czekający...

Ale oczekiwana rozmowa zdmuchnęła jego złudzenia. Pani Pielszowa, owszem, rada była Hance i uważała ją nawet od dawna za sneszkę, dla Sobka jednak na żonę przeznaczając, nie dla Pietrka. Młody jest, może poczekać, gdy Sobkowi sama pora... Nie uważała za potrzebne zwierzać się młodszemu, iż z dawna trapiły ją obawy o Sebastianowy ożenek. Mruk jest, milczek, ani gdzie pojedzie, ani do panny zagada... Jakże go żenić? — Toteż traf, który dobrą, gospodarną dziewczynę (i z wianem!) sprowadził na miejsce, do domu, poczytywała za szczególną łaskę Opatrzności, której przeoczyć nie chciała bynajmniej. Czy Sobek Hankę miłuje, nie była zupełnie pewna, lecz to w jej oczach położenia nie zmieniało. Niech Pietrek nie durzy się darmo... Nic z tego!...

Dufny w przewagę, jaką w matczynym sercu posiadał, młody usarz po raz pierwszy próżno prosił, pieścił, błagał, do kolan się kłonił. Tyle jeno uzyskał, że mu zezwoliła spytać się Sobka, gdy wróci, jemu decyzję ostateczną zostawiając.

— Jeśli przystanie, pobierzeta się... Póki go nie ma, i gadać o tym nie zwolę...

Jedno spojrzenie na matczyną twarz upewniło Pietrka, że nic więcej nie uprosi. Nie zostawało im nic innego zatem, jak czekanie...

*

* *

A Sebastian nie wracał, i nikt nawet nie umiał powiedzieć, gdzie może obecnie przebywać. Przeciągająca się niepewność położenia ciężyła obojgu młodym nieznośnie. Wykolejeni, strapieni, nie umieli sobie miejsca znaleźć.

Unikali się wzajem, jak gdyby nie mogąc znieść swego widoku, a równocześnie szukali się trwożnie, desperacko, niby w obawie przed możliwością rozstania. Oczy splatały się z sobą żarłocznie, by wnet, spłoszone, uciec w dwie przeciwne strony. Mimowolne dotknięcie dłoni przy posiłku lub wspólnej robocie paliło ogniem jak rozżarzone żelazo. Krew buchała na jagody. Stryj Hermolaus śledził te symptomata ze współczuciem pełnym zrozumienia; matka z milczącą niechęcią patrzyła na gorączkową, chaotyczną pracowitość Hanki, przeplataną bezradnym, godzinami trwającym opuszczeniem się w sobie i zamarciem.

Pietrek wałęsał się całymi dniami po górach. Pierwszy to raz w dziecinnie proste jego życie, nie znające ani przypuszczające zatargów dusznych i splotów losu dziwacznych, wpadał ciężki kamień wewnętrznej rozterki. Miłując i szanując brata, powtarzał sobie po sto razy, wśród nieskończonych wędrówek po wierchach, że Sobkowe prawo pierwsze, i że on, Pietrek, nie może tu słowa rzec przeciw. A równocześnie na samą myśl, że brat wróci i zabierze dziewczynę jak swoją, czerwona mgła stawała mu w oczach, a niezaznana dotąd furia, druzgocąca, samcza, zaciskała pięści. Hanka zaręczała wprawdzie, że nie pójdzie za Sobka, — lecz cóż stąd? Pójdzie, jak ją nasiądą Sobek, matka, stryj... Będzie się tam wiele pytał kto dziewki, sieroty? Ojców przecie nie ma, którzy by się zmiłowali... Choćby się oparła, co pocznie? gdzie się podzieje? Żyć będą pod jednym dachem we troje, każde z osobna? — Oszaleć by wtedy przyszło! Życie przedstawiało się niby wąwóz bez wyjścia... Chyba że jej Sobek nie miłuje? Z tą alternatywą jakże rozjaśniało się wszystko promiennie! Oto powraca starszy i na zapytanie brata wzrusza ramieniem w zwykły swój, mrukliwy sposób: Co mnie po dziewce! Żeń się Piotruś, skoro chcesz... Niewymowna, tkliwa wdzięczność opływała serce chłopca;

chybaby bratu rzucił się do nóg z radości!... Lecz wnet czarna chmura zwątpienia precz odrzucała czarowne marzenie o zgodzie braterskiej i szczęściu... Zaśby Sobek mógł jej nie miłować? Półtora roku na nią patrząc? Oczu by chyba nie miał!...

On, Pietrek, miłował coraz goręcej. Wspomnienie jedynego pocałunku, wtedy, w sadzie, paliło wargi, zapierało dech pożądaniem, którego straszliwej mocy nigdy nie przypuszczał. Niemało użył łatwych miłostek obozowych, zwyczajnych uciech żołnierskich, o których nazajutrz ledwie człowiek wspomni, i nie przypuszczał, by mógł do spraw miłosnych zachodzić inny stosunek. A oto zwaliła się nań zmora niepodejrzewana, chciwa, dręcząca, i w dzień i w nocy przytomna. Potężna, rozrodcza siła życia huczała mu w głowie, przelewała się z szumem po żyłach; nie mogąc znaleźć sobie ujścia, zahamowana, zgnieciona, gnała go jak opętańca po wierchach, spędzała nocą sen z powiek, przyprowadzała o zawrót głowy i słabość. Wychudł i sczerniał. Ze zdumieniem wspominał, że przecie rok blisko żyli z Hanką pod jednym dachem w niefrasobliwym braterstwie, weseli, spokojni, bezgrzeszni. Cóż nagle się odmieniło? Jaka zapora stanęła między tamtą niewinną przeszłością a męką chwili obecnej? Jeden dzień, jedno słowo sprawiły taką odmianę? Chyba czary? Uroki, które stara Mądrzycha przez chytrość zadała?... Właśnie owego dnia była...

Niecierpliwie oczekiwał ponownego przyjazdu wrocimirowskiej znachorki, by ją w tej materii szorstko i stanowczo na osobności zagabać. Zaprzeczyła, oburzona, a co gorsza — jak się Pietrkowi zdało, — niby i rozśmieszona. Kaprawe, wpół ślepe jej oczy miały filuterne błyski, gdy zaręczała, że urok leży w czym innym. Odchodząc, radziła życzliwie, by się obmył wodą, w której zgaszono trzy święcone węgle, i wytarł nadołkiem wywróconej na lewą stronę koszuli. A nuż pomoże? Spróbować nie wadzi. Pie-

trek machnął pogardliwie ręką. Nie miał najmniejszej nadziei, by równie łatwy i niewinny zabieg mógł przywrócić im obojgu dawny błogi spokój, zwołać beztroskie, lube przyjacielstwo, pod osłoną którego kluł się widno dzisiejszy pożar zmysłów i serca.

Drapieżna siła miłości, rosnąca w miarę oporu, spadła na ich proste, nie zwykłe wewnętrznych walk dusze, stargała je, zszarpała, rzuciła bezsilnie. Byli sobie najbliżsi, i zarazem obcy jak wrogowie. Nieprzyjaciółmi stali się wzajem swojego spokoju, w rozterce ani przypuszczając, jak wiele cierpieniu temu zawdzięczają. W głowie im nie postało — bo skądby? — że gdyby nie ta przeszkoda, gdyby zwykłym uświęconym trybem obyczaju swatali ich starsi, rozważnie wpierw ogadując wiano i oprawę, — nigdy by się równie mocno nie pokochali. Wiosenny, beztroski pociąg dwojga młodych, krótkotrwały, poza codzienny obręb nie wybiegający, — siłą oporu przekształcił się w miłość, wielką, prawdziwą, dostojną. Miłość ta wyrwała pierwotne, spokojne ich dusze z roślinnego bytowania, postawiła wysoko w człowieczeństwie. Płonąca, podniecona niepewnością i zaporą, porywała za sobą oboje w sferę uczuć niezaznanych, nieprzeczuwanych, trącała skrzydłem, z wieczności lot swój biorącym. W miesięczne gorące noce, gdy szczyty gór rysowały się na niebie niby srebrzyste widziadła, zawite w smugi wznoszących się z Dunajca mgieł, — w głowach, Hanczynej i Pietrka, budziły się skądciś myśli nowe, dziwaczne, dalekie, nic wspólnego z bieżącą robotą gospodarską, a nawet z nimi samymi, nie mające. Bezsenne oczy patrzyły w świat przeobrażony, inny, bogatszy o wiele w kształty i barwy. Poszumy z borów idące, surowe oddechy gór, grały melodię nową, nigdy nie słyszaną.

Lecz oni, umęczeni, stroskani, niecierpliwi, przechodzili mimo, niebaczni; równie nieświadomi swych wzlotów

w nieznany przedtem kraj czarów, jak i tego, że kraj ten zamknie się przed nimi z chwilą skończenia udręki.

A Sebastian nie dawał w dalszym ciągu znaku życia; ani wiedziano gdzie jest. Mógł powrócić każdego dnia. Pietrek równocześnie pragnął gorąco tej chwili, i drżał przed nią. Każdy skrzyp bramy wjazdowej, szczekanie psów na dziedzińcu, podnosiły go na nogi okrzykiem: Brat jedzie!... Nienawidził wtedy nadjeżdżającego, świadomie, zimno, okrutnie, i oddychał z ulgą, skoro, wyszedłszy na ganek, widział, że nikt nie przyjechał. Natenczas opadały go wyrzuty i wstręt do samego siebie. Cóż winien, cóż winien nieobecny brat? — szeptało z żalem sumienie. — Nie winien, ale wara mu od Hanki!... moja jest!... Skołatany umysł poczynał w męce projekty najdzikse, najfantastyczniejsze. To dziecinne — jak ucieczka z Hanką w góry, — to ciemno krwawe — jak zbrodnia. — Byle jej nie ujrzeć bratową ani czyjąkolwiek! — Tylko zuchwałe zaprzeczenie praw braterskich, otwarty bunt przeciw kanonom rodzinnym, ciążącym z całą siłą surowej ariańskiej etyki moralnej, nie przychodziły mu do głowy — nawet w chwilach największej rozterki: Starszy brat, — i poznał pierwszy!

— Nie pójdę za niego — zaręczała po raz setny, równie nieszczęśliwa jak on, dziewczyna.

Kiwał na to głową wątpiąco:

— Cóż poczniesz niebogo? Dziewką ostaniesz, czy co?

Podniosła nań zmizerniałą twarz, w której stanowczym blaskiem zaświeciły oczy.

— Już obmyśliłam i wiem... Na wiarę katolicką jak tatulko przejdę, i zakonnicą ostanę...

Spojrzał na nią ze zdumieniem, a zarazem głębokim podziwem nad jej mądrością. Otóż znalazła wyjście z położenia, które wydawało mu się matnią zamkniętą! Jeśli nie sądzone im żyć razem, nie będzie Sobkową, nie będzie niczyją... Odetchnął z ulgą, lecz równocześnie ogarnął go

żal i tkliwość serdeczna. Wydało mu się, że już widzi młodziutką jej twarz w osłonie czarnego kwefu, grubymi murami odgrodzoną od świata i życia. Z jego powodu, dla niego! Po raz pierwszy zapragnął całować nie usta jej, ale ręce.

— Może Bóg da, że nam się to wszystko ino zwiduje, gołąbeczku mój — szepnął; — a jeśli nie, to jużcić tak zrobim: ty do klasztoru, a ja do hetmana...

Uśmiechnęli się do siebie bez słowa...

ROZDZIAŁ IV

WYGNANIE

— Bodajeś nogi połamała, jędzono, poćpiego! — krzyczała jejmość Stanisławowa Farnowska, wychylając z odrzwi kuchennych lico osypane mąką.

Pochylona nad balią jejmość Barbara Kokoszkowa, właścicielka zajmowanego przez Farnowskich domu, zatrzęsła się z oburzenia.

— Ja poćpiega?! — wycharczała. — Krukwo! nieplago! dziadówko! Mój jegomość, Bogu dzięki, na mnie nie narzeka!... Słyszeliśta ją: poćpiega!... Bodaj ci ozór wygnił, koczpergało!!

— Tyle mi stoi twoje gadanie, co ścierwo! Rakarz był twój tatko!... chy! — świsnęło zjadliwie z kuchni z brzękiem zaborczym naczynia.

— Ty bombizino! marcho! diabelski pomiocie! — bulknęły wściekle mydliny.

— Samaś bombizina!... Czekaj! Szlachcianka jestem, urodzona! Wiesz?!

— Szlachta, co psy łupi! O wa! kościogryz! miotła piekielna! Chcesz po łbie?! Chodź ino! chodź!...

Zbliżały się ku sobie z rozpalonymi ślepiami. Złość babska, straszliwa, gwałtowna, rozsadzająca mózgi, bulgotała niezrozumiałym charkotem w grdykach. Trzęsły się poorane zmarszczkami twarze, latały śpiczaste brody. Jadowita ślina strzykała z rozchlapanych warg. Pokrzywione, węzłowate palce drgały pragnieniem wszczepienia się w kudły przeciwniczki. Nienawistnymi oczami bodły się

wzajemnie, sapiąc. Jejmość Farnowska była tęższa i silniejsza, lecz pani Kokoszkowej przybyła w pomoc córka Agata. Czerwona na gębie, tęga jak dzieża piekarska, sunęła rozsrożona, żądna walczyć w obronie macierzy. Widząc nierówność sił, pani Farnowska, choć z żalem, cofnęła się na poprzednią pozycję w drzwiach kuchni.

— Ty męcherzyno! świnio plugawa! żebraczko!! — krzyczała panna Agata, oparłszy ręce na obfitych kłębach, nierada, że do czynnej utarczki nie przyjdzie.

— Stul gębę, gidio! frycygierno szatańska! pyskata jałówko!

Na dziedzińcu zastukały kroki. Apostołowi podobien z uduchowionej twarzy i srebrzystej brody, stary Farnowski wracał zamyślony. Na odgłos babskiej wrzawy przystanął, powiódł dookoła oczyma prawie z rozpaczą, a skuliwszy głowę w ramiona, usiłował przemknąć się niepostrzeżenie w głąb domu. Daremnie! Przesuwającego się chyłkiem dostrzegła małżonka i przychwyciła gwałtownie za połę odzieży.

— Co chcesz, jejmość? — zapytał słabo.

— Broń mnie, stary niedołęgo, chuchraku! Patrz, jak mnie miejskie krukwy oprymują!! Przez ciebie, trutniu! Widzą, że nikt za niebogą nie obstanie, to byle suka ujada!... O reta! reta! Niby bagniątko ostałam, sama, bez opieki... chy!...

Machał bezradnie rękami, próbując się wyrwać.

— Nie pójdziesz! — wrzasnęła z wściekłością. — Nad książkami pogańskimi dukwisz, a o żonę ślubną nie dbasz! Bombiziną mnie przezywa ta szelma, z twojej łaski! Mnie, szlachciankę urodzoną! Ot, na co zeszłam przy tobie, cielepajło! gamoniu! przygłupku!!

— Ady choć raz prawdę rzekła! Ady choć raz — przytakiwała pani Barbara, zadowolona.

Stary reformator wyrwał się na koniec i uciekł na górę, zatykając uszy dłońmi. Na dole zaś, przerwana na

chwilę walka rozgorzała ze świeżym impetem. Dom trząsł się od wyzwisk babskich.

Farnowski po wąskich, trzeszczących schodach wdrapał się żywo aż na poddasze, gdzie miał maleńką izdebkę-pracownię, zawaloną księgami i rękopisami. Było to jego jedyne i ostateczne *refugium*. Zasunął obartlik u drzwi i odetchnął. Naprzeciw, przez małe okienko, dymnik raczej w dachu wykrojony, świetlistością i lazurem rozśmiał się do niego daleki sierp widnokręgu. Siadłszy na sosnowym stołku, zapatrzył się w ten cichy wykrój, niosący wieść niby o cudach zaświata, usilnie starając się odnaleźć przerwany wątek rozmyślań.

Krzykliwe wymówki żonine powtarzały się z regularnością kwadr księżycowych, po trzy razy na dzień, od pięćdziesięciu z górą lat. Miał zatem czas do nich przywyknąć. Podobnież mógł się przyzwyczaić do codziennych batalii jejmości z panią Barbarą Kokoszkową, które to harce były snadź koniecznym upustem temperamentu obu matron, utrzymującym je w dobrym zdrowiu i rześkości. Przecież nie przywykł dotąd. Jednako raziły wrzaski, jednako bolały wyrzuty żony, wieczne narzekania na biedę, poniewierkę, brak najpotrzebniejszych rzeczy, ubogą, latami łataną odzież. Jużci, trudno było przeczyć: zbywało im na wszystkim, on zaś nie umiał temu zaradzić. Poczucie pewnego rodzaju winy wobec małżonki sprawiało, że nieugięty, popędliwy Farnowski, postrach synodów dla niepohamowanej gwałtowności i nietolerancji, — w obliczu kłótni babskich stawał się lękliwym, nieśmiałym, bezbronnym. Gdy obie jejmoście, wspomagane piskliwym dyszkantem jejmościanki Kokoszkówny, rozpętały się niby furie, z rozpędem iście kosmicznym zachłystując się żywiołem wyzwisk co najwyszukańszych; gdy rozciapane ich ozory, mielące z bezprzykładną szybkością ciężkie gruzły złości na wartki pył obelg, przechodziły z wściekłości od słów w bełkot charkliwy, chlapanie bez związku; gdy

wyschłe, ziejące czeluście paszczęki zanosiły się gdakaniem indyczym, — ucieczka widziała mu się jedyną drogą ratunku. Ilość energii zużytej dla powodu tak błahego, jak rozwieszenie szmaty na tym, nie na tamtym kołku, lub odsunięcie garnka od ognia nie w porę, — wprawiała go zarazem w zdumienie i przerażenie. Uchodził z pola, nie siląc się na — bezużyteczną zresztą — interwencję. Zamknięty w swoim asylum na strychu, cierpko, gorąco zazdrościł księżom katolickim bezżeństwa. Z zawiścią myślał o spokoju, w jakim ci utrapieni wrogowie mogą oddawać się dociekaniom nad istotą Bytu i Prawdy Najświętszej. Celibat zdawał się być rajem wyśnionym. Z gorzkim uśmiechem, natrząsając się sam z siebie, wspominał, jak tysiącznymi nieodpartymi argumentami zwalczał niegdyś i potępiał bezżeństwo duchownych. Szalony! Gdyby był wiedział! Jakże szczęśliwym jest człowiek samotny, nie mający nic na głowie prócz poszukiwania Prawdy, troski o zbawienie duszy, i siakie takie utrzymanie przy życiu mizernego ciała, bodajby chlebem żebraczym! Jakże swobodnym i wolnym! Z żalem stwierdził, że szczęście to nie było i nie będzie nigdy jego udziałem. W najpiękniejsze chwile wewnętrznego skupienia, krzepkiego stężenia w sobie samym, by sieć gorącego umysłu jak najdalej w otchłań wieczności zarzucić, w rozedrganą na wyżynach Nieba tkankę myśli,—padał, niby płaski raz kijanki, wrzaskliwy lament o kwokę, ubitą kamieniem przez zbytnego Rocha, najmłodszego z Kokosząt, lub wylane na grzędę mydliny.

I teraz nieustający tartas piskliwych, rozjudzonych głosów dochodził aż tutaj, przenikał cienkie drzwi, brzęczał dokuczliwy, nieznośny. Oganiał od niego myśli, niby od muchy natrętnej.

— Za tydzień wyjeżdżamy, to się te wymysły skończą — pomyślał, i wraz westchnął, uprzytomniwszy sobie całą bezpodstawność tej nadziei. — Wyjazd nic nie zmie-

ni. Zamiast tej gospodyni, będzie inna. Znajdą się jakieś sąsiadki. Baby muszą być wszędzie, — niestety!

— Za tydzień wyjeżdżamy — powtórzył zwolna, z namysłem, jak gdyby wnikając w znaczenie istotne tych słów. Zatopił się w nich tak głęboko, że wrzaski babskie jęły już przepływać koło niego niezauważone, obojętne wielkiej ciszy, w której się zanurzył, pogrążył, rozszedł...

Wstał ze stołka i wyszcznął głowę przez dymnik. Puścił oczy na paszę daleko, żywiąc je cudem widoku. Pobiegły chyżo, niby rącze konie, wsparły się o łańcuch gór, wróciły doliną do grodu rozesłanego u stóp. Patrzył się chciwie, inaczej niż co dnia. Od 48 lat mając przed oczyma ten obraz, przywykł do niego, jak się przywyka do własnego głosu, kształtu swej ręki, gestów i zdarzeń, tak codziennych, nieodmiennie jednakowych, że zatracają z czasem wszelki kształt i treść. Lecz myśl o rychłym wyjeździe rzuciła mu naraz w oczy dolinę sądecką, taką, jaką ją ujrzał po raz pierwszy przed półwiekiem prawie, w całej krasie i przedziwnej urodzie.

Najdalsze pasma gór, zamykających widnokrąg, zdały się płynące, rozchwiane, na kształt obłoków powiewne, błękitne jak zawieszone ponad nimi niebo. Linia znacząca ich garby przejrzyste, nalane lazurem, podobne kryształowym odwróconym czarom, była tak znikoma i subtelna, — barwa tak bliska czarownej czystości nieba, że oko raczej wyczuwało ją, niżli dostrzec mogło. Pobliższe kopce, obłe i połogie, spłynęły łanami borów, niby dostojną brokatową szatą. Urocze jak tchnienie wiosny, jasnozielone smugi buków i modrzewi wrzynały się w czerń jodeł na kształt misternego wzoru, rytego w ciemnym agacie. Na jednostajnej, ćmawej głębinie jodłowej kładły się ni to przyśpiewek szczęśliwych początków lata. Dolina, zalana słońcem, śmiała się szmaragdem łąk i złotem kaczeńców załzawionym oczom starca, patrzącym w nią niby w oblicze kochane a odchodzące na wieki. Poprzez roze-

śmiane łęgi wiła się rzeka spieniona, szumiąca, skacząc, śląc jedne fale w pogoń za drugimi. Były w niej moc i wytrwałość, uparte, radosne dążenie ku odległemu celowi. I wpatrzonemu w nią z wysoka staremu człowiekowi wydało się, że każda z niezliczonych fal, co przepłynęły tędy przez ubiegłe lata, uniosła jedną myśl jego, równie jak ta woda do celu swojego dążącą. Wieleż ich było?... Sunęły nieprzerwanie fale pod murem domostwa, sunęły dniem i nocą, zimą i latem, rano, w południe i wieczór. Nie zliczyłbyś tych nawet, co przepływały w ciągu jednej chwili. Tak i myśli jego... Niespokojne, nieustanne, wiecznie w jedną stronę idące...

Powiódł oczyma po górach, jak gdyby i wśród nich szukając pozaczepianych o szczyty tyloletnich dumań-marzeń. Tędy je słał, wsiąkły wszystkie w tę dolinę, objęły każdy kęs gleby, musnęły każdą gałązkę. Kędyż są dzisiaj? Jakże je odnaleźć? Hej! po co szukać, gdy oto niby mocne nici łączą go, wiążą, osnuły razem z tym krajem w jedno...

Naraz, wbrew własnym mocnym zapewnieniom, że to lub owo miejsce na ziemi wygnania obojętnym ma być człowiekowi, — targnął nim żal okrutny, żrący i przenikliwy do łez. Poczuł się wrośniętym korzeniami mocno, mocno; z drżeniem myślał o wyrwaniu się stąd.

A wyrwać się, odjechać, trzeba...

— Na stare lata... jak psa pędzą — mruknął z głuchym gniewem.

Wypędzono go istotnie. Po Ligęzie starostwo sądeckie objął Lubomirski, który, katolikiem będąc gorliwym, prześladował zbór. Układnego Socyna do czasu znosił, Farnowskiego nie cierpiał. Dokuczał jak mógł, na koniec wyjechać kazał. Zresztą był to ludzki człowiek, i zapewne byłby się dał uprosić, lecz nikt w zborze nie ujął się za starcem, sprawy jego nie podniósł, o zostawienie w miejscu nie apelował. Farnowski zaś zbyt był dumny, by ko-

rzyć się, błagać. Widząc, że jest sam i opuszczony, wyjeżdżał do Firlejowa, gdzie ostatni jego zwolennicy zgodzili się dać mu przytułek.

O, jak ciężko wyjeżdżać! Jak ciężko!,..

Wpatrzył się znowu w świetlisty rozłóg doliny, usiłując dojrzeć na jej tle siebie samego, tego, co przybył tutaj przed półwiekiem. Nie zmienił się kraj, ni rzeka, ni góry, lecz jakże innym był on! — Pół wieku!... Jakże był gorący, młody, pewny zwycięstwa swej Prawdy! Jakże tę Prawdę miłował!... Zarzucano mu powszechnie hardość, samowolę i pychę, gdy były to jeno zbytnia gorącość wiary i siła przekonań. Gdy nie mógł zwalczyć przeciwnika erudycją i dialektyką, wybuchał druzgocącym gniewem oburzenia na tych, co oczywistej w jego mniemaniu prawdy nie rozumieli. Przyznawał słuszność zawziętemu antagoniście swemu, ks. Skardze, że tolerancja jest zaletą letnich. Sam nie posiadał tej cnoty, ani się o nią kusił. Nie umiał, jak Socynus, łagodzić sporów i naginać swych wywodów do miary audytorium. Zażartą walkę z przeciwnikami ułatwiał mu umysł bystry, pamięć przedziwna, ćwiczona. Wrażliwym mózgiem młodzieńczym, chciwym coraz szerszego poznania, wchłonął niegdyś wiedzę uniwersytetów w Marburgu, Zurychu, Heidelbergu, — posiadł łacinę, grekę i hebrajski na równi z mową ojczystą. Nie miały dla niego sekretów stare, w kamieniu ryte i zamarłe, z niechęcią tajemnicę swoją zdradzające mowy chaldejska, syryjska. Z łatwością odczytywał one wspominki prastare, pamiątki dziwne po pasterzach, gwiazd czcicielach. Jeden tylko Piotr z Goniądza mógł się z nim w uczoności równać. W głowę, żywe źródło umysłu, biorąc każde brzmienie, każdy znak pisarski Ewangelii Świętej, — przeciwstawiony sobie tekst parował tekstem, jeden przykład zbijał dziesięcioma. Groźny w dysputcie, porywający ogniem, wymową, zapałem, przez pół wieku niestrudzenie walczył o zwycięstwo.

— Gdzież ono?

Gdzie ono?...

Stare oczy rozbłąkały się znowu po górach. Gdzież jego dawna energia i wola? Nie ma ich!... Rozwiały się gdzieś, rozpełzły, jak mgła wstająca z ugorów. Od piętnastu lat systematycznie usuwany z naczelnego stanowiska przez biorących górę unitarianów, Stanisław Farnowski, dyteista, miłośnik Chrystusa, stał dzisiaj wobec porażki zupełnej, której nie starał się już przed własną dumą ukrywać. Wyznawcy rzucili go i poszli mimo...

Dlaczego?

Zadumał się głęboko nad tym pytaniem, niejasno chwytając przyczynę. Prześwitywało mu przecie w głowie pojęcie, że ruch Braci polskiej nie był podobny nic a nic do wszystkich ruchów sekciarskich Zachodu. Był jeden jedyny na świecie, i tylko w Polsce możliwy. Nie podyktowały go, umiejętnie do miłości Bożej przymieszane, dodatki prywaty lub względów socjalnych. Nie podnieśli go wydziedziczeni. Uprzywilejowani, możni, szczęśliwi, w najszlachetniejszej czystości serca i duszy wydali z siebie ów krzyk protestu przeciwko różnicy dzielącej od nich niewolne tłumy poddanych. Strwożeni własnym wywyższeniem, zapragnęli zbyć się go i pójść Chrystusa śladami.

Lecz w tych nieziemskich zaiste początkach, będących wieczną chwałą zboru Braci polskiej, były zarazem ziarna jego zguby. Pozbawione koniecznego hamulca spraw i przyczyn ziemskich umysły, nie liczące się z żadnymi względami, poza czysto moralnymi, — oszalałe żądzą Prawdy szły i szły naprzód; raz wyzwolone, pędziły w bezkres skróś Wieczności i Wszechświata, od twierdzenia do twierdzenia, od konsekwencji do konsekwencji, aż doprowadziły logiczne na pozór wnioski, z Pisma Świętego ciągnione, do karkołomnej granicy za którą był już chyba jeno albo powrót do mozaizmu, wzorem Budnego lub

Dawidowicza, — albo religia tak uduchowiona, daleka, rozwiana, abstrakcyjna, wszelkiej łączności z Bogiem pozbawiona, że właściwie religią być przestawała...

Stanisław Farnowski miał dość rozumu i woli, by samemu sobie dogmaty nieprzekraczalne postawić i krzepki gmach wiary wznieść. Lecz wyznawcy jego nie chcieli stanąć... odeszli. Został z chramem swoim — sam.

Z boleśnie szyderczym uśmiechem rozstawił palce u ręki, by policzyć tych, którzy mu jeszcze zostali. Ejże, jedna dłoń wystarczy?!... Zabawscy... serdeczni ludzie, książki jego własnym nakładem drukują... Jordanowie... Pielsz... Rozjaśnił się na wspomnienie Sebastiana.

— Dobry chłop. Zwarty i mocny. Ujałby się za mną, bronił. Cóż, kiedy go.. nie ma doma...

Wrócił do dumań nad losami zboru.

Choć gwałtowny i zapalczywy, nie mógł nie zauważyć zmian, jakie w ciągu ostatnich dwudziestu lat zaszły w Kościele katolickim. Nie mógł oprzeć się wrażeniu wzmożonej potęgi, odrodzenia znienawidzonego wroga. Odmęt reformacji miast zatopić Rzym i zalać — wywiódł go, niby zbawienne podcięcie biczem, z grząskiej słotwiny na suchy, wysoki ląd. Stary heretyk przestał się łudzić rychłym upadkiem papiestwa, z zazdrością widząc, jak umniejszony o tłumy wyznawców Kościół silniejszym jest teraz niźli kiedykolwiek. Wiek, który miał przynieść jego zagładę, stał się dlań wiekiem skrzepienia i mocy... Zali to właśnie było Twoją wolą, Boże?! A my wszyscy po tośmy jeno żyli i działali, by się bezwolnie do jego wzniesienia przyczynić?!

Stary człowiek cofnął głowę z dymnika i usiadł ciężko na stołku, przytłoczony ciężarem tego zapytania, po raz pierwszy przed myśl zjawionego. Zatrząsł się w trwodze przed srogim jego szyderstwem. Przymknął oczy przerażone. Skulił się, niby przepiórka pod bliski dźwięk kosy. Lecz myśl wracała uparcie nagląca.

— Po toś nas powołał? po to?! Czyliż to możliwe, Panie? Im powierzyłeś arkę Swojej prawdy?! Ich bronisz, osłaniasz, zastawiasz szczytem Swej łaski!... A my?!... Boże!.. A my?!... Toż dla Ciebie zaprzaliśmy świata, wyzuli się z wszystkiego. Nie łaknąc nic, jeno Prawdy Twojej, — nie pragnąc nic, jeno obecności Twojej... Szukaliśmy Cię w ubóstwie, w apostolskiej prostocie, wśród własnych słów Twoich... Szukaliśmy Cię w braterstwie, miłowaniu społecznym... Nie busznił się nikt ponad drugie... Pylny, utrudzony a żmudny był ten nasz gościniec... Zdeptaliśmy go zgorzałą od znoju piętą, w oczach piach mając przez obmowców miotany. Palił plecy wstyd potwarzy niezasłużonych, goniły wydrwiska powszechności, szczęśliwej w swojej miernocie... Przecieśmy szli... I to wszystko na nic było? Potrzebne po to jeno, by wzmocnić a wywyższyć tamtych? Tenci koniec naszych wysiłków i trudu?! Rzuciłeś nas, podeptawszy?!...

Złamał się, ugiął, pod gniotem piekącego buntu. Gniew, pękający jak granat, czerwony jak płomień ból, rozgorzliły się, wytrysły, zaszamotały słabym ciałem, aż jęknęły stawy. Zmagał się z rozwalającą pierś pasją, z wołaniem w niebo bijącym, z żądzą okrutną, bluźnierczą, rzucenia w twarz Bogu krzywdy swojej i zawodu. Chude ręce, dwom wyschłym konarom podobne, uniosły się ponad głowę w bezmownym groźnym wołaniu:

— Gdzie jest Bóg?! gdzie jest?! Czy słyszy?!... Niechaj tu zstąpi w poddasze, w płomiennej grzywie ognistej, niech się pojawi jako Mojżeszowi, niechaj odpowie: dlaczego?!...

Wytężył oczy i uszy, jak gdyby czekając. Lecz w straszliwym milczeniu Niebios słyszał tylko własny szyderczy pośmiech, ćwierkający gdzieś w mózgu uparcie jak świerszcz: Nie krzycz, człowiecze, nie szalej!... tamci są jeno wybrani.... po was i śladu nie będzie...

. . . . . .

— Jegomość! na obiad! — zabrzmiał pode drzwiami głos żony, wrzący jeszcze niedawną urazą.

Ani drgnął, nie słysząc nic.

— Skaranie boskie! Odezwij się choć, gamajdo! Polewka gotowa! złaź!... Diabeł, twój kum, cię porwał, stary małpierzu, — czy co?!... A siedź se tam do skończenia świata... chy! Ty salomonie, antychryście, dziadu! — zakonkludowała, schodząc.

*

* *

Godziny sunęły koło niego, nie zauważone. Przez wąskie palce, zaciśnięte na twarzy, bezmierną męką wyciśnięta łza spłynęła, — ciężko jak grudka ziemi cmentarnej opadła na kolana, zalśniła na nich żałośnie przez chwilę. Słońce zniżyło się, zajrzało w dymnik. Miliardy pyłków porwały się, by radośnie zawirować w ciepłej smudze. Promień łaskawą pieszczotą dotknął nachylonego czoła.

Stary herezjarcha podniósł głowę i spojrzał z wdzięcznością w ten blask.

— Byle ku Prawdzie iść, Boga miłując, o swoje nie dbając — szepnął sam do siebie; — byle z wszystkich sił ku Prawdzie... Gdzieby się nie zaszło, człowiek czyni wolę Bożą, dzieło Boże...

— Dzieło Boże — powtórzył głośno, z rezygnacją; — toćże o nic więcej nie chodzi, jeno o to... Dość zaszczytu Bożym narzędziem być... Zrobiliśmy swoje...

Nowe kołatanie do drzwi zatrzęsło izdebką.

— Jegomość! Ady jegomość!... Pomerł? skołowaciał? spił się utrapieniec?... chy!

— Czego tam? — spytał niechętnie.

— Przecież się ozwał!... Złaź skoro; jegomość Pielsz z picowym wozem przyjechali...

— Pielsz?! — krzyknął radośnie prawie. Nikomu w tej chwili nie byłby równie rad, jak Sebastianowi.

Otworzył szybko drzwi, i cofnął się, zawiedziony na widok Pietrka.

Usarz pochylił się do dłoni starca z obojętnym, nawykowym szacunkiem.

— Brat doma? — spytał Farnowski żywo.

— Nie ma — odparł krótko Pietrek.

— Kiedy powraca? Macie wiadomości?

— Ani nawet wiemy, gdzie jest.

Farnowski westchnął z żalem.

— Pani matka dziesięcinę Waszej Wielebności przesyłają — ciągnął Pietrek.

Nagły rumieniec powlókł zapadłe policzki starego reformatora.

— Omyłka to! — zaprzeczył gorąco. — Ja dziesięciny ani wymagam, ani przyjmuję... Co z miłosierdzia kto łaskaw dać, biorę; tyle jeno, wiele do życia potrzeba...

— Nie kijem go, to pałką — pomyślał Pietrek znudzony, dodając głośno: — Ozór mi się opsnął... racz Wasza Wielebność wybaczyć...

Lecz Farnowski wyczytał jego myśl z twarzy i zmieszał się jeszcze bardziej... Stara to była bolączka, mus przyjmowania darowizny czy opłaty, wieczny rozdźwięk między realnymi wymaganiami życia a zasadą. Rad był nic nie brać, nic od nikogo nie żądać, a przecie musiał wyżywić żonę i siebie. Sam skądby wziął, całe życie strawiwszy na nauce i nawracaniu a pouczaniu innych?

— Przywiozłem kopę serków, korzec żyta, pół korca pszenicy, ćwierć jęczmienia, dwa połcie słoniny, suszu na garusy, dwie kwarty maku i rzepy worek — wyliczał Pietrek.

Stary podniósł ręce do góry.

— Za wiele! za wiele! Bóg zapłać! Nawet ćwierci tego nie weźmiemy...

— Jegomość! — pisnęła groźnie za jego plecami małżonka.

– Nigdym zapasów nie robił — mówił, nie zwracając na nią uwagi, — tym bardziej teraz, gdy za parę dni wyjeżdżamy.

— Wasza Wielebność wyjeżdża? Dokąd?

— Do Firlejowa. Ciężko to przychodzi, tyle lat tutaj spędziwszy... Co począć?... Zniewolili mnie..

Urwał, widząc roztargnienie słuchacza. Nie warto mówić... Co go to obchodzi! Wyjeżdża? — niechaj wyjeżdża... Świat się nie zawali... Tak powiedzą wszyscy... Ani się kto zatroszczy, ani kto wspomni... Wydaje ci się, człowieku, że duszę z siebie wyrwiesz, odjeżdżając, że pięćdziesiąt lat pracując, nie wiedzieć coś tutaj sprawił, a ot... wiatr ślad zamiecie i znaku nawet nie będzie...

— Kiedy brat powraca? — zagadnął, zapomniawszy, że się już o to raz pytał.

— Nie wiada — mruknął chmurnie usarz.

— Gdy powróci, powiedz mu synu, że dusznie byłbym go rad widzieć... Serdecznie rad... Zdać na niego chciałem przed wyjazdem wiele rzeczy, wiele... Ha, nie ma go; wola Boża...

Zawrócił do siebie. Pietrek z jejmością zeszli na dół wyładować prowiant. Niewiasta nie podzielała bynajmniej zapatrywań męża i mile przyjęła wszystko, co im zwieziono.

— A to? — zapytała łakomie, widząc, że parę worków zostało na wozie.

— Dla patriarchy Socynusa.

Westchnęła ciężko, żałośnie.

— Zawdy tłusty połeć smarują — sarknęła. — Bóg zapłać Waszmości i za tę drobinę... Wyjeżdżamy, to prawda, ale na nowym miejscu też żreć trzeba... chy!...

Pożegnawszy ją, Pietrek wyjechał z Polskiej ulicy na rynek, pod mieszkanie Socynowe. Patriarchy nie było doma, jak go objaśniła dziewka. Może zresztą był, jeno za-

warty, bo obawa persekucji przerodziła się u niego z wiekiem w chorobliwy, nieustanny lęk.

Zdawszy dziewczynie zapasy, Pietrek zostawił wóz na środku rynku i ruszył pieszo, przepychając się przez gęsty zawsze tłum. Matka kazała mu przywieźć imbiru i szafranu z apteki przez imć pana Momotka, przedniego aromatariusza, trzymanej. Tam też dążył, na ukos przecinając rynek. Odwykły od ruchu i gwaru, zatopiony we własnej zgryzocie, wlókł się niemrawo, spode łba patrząc wokoło. Ludno było jak zwykle i gwarno. Przed kamienicą narożną alchemika Sędziwoja stała po dawnemu gromada żaków i innych urwipołciów, wykrzykujących ze śmiechem i piskiem:

— Czarodziej, dobrodziej!! ohe!! Daj złota! czarodziej!...

Pietrek, przechodząc, rzucił okiem przez kratę dzielącą dom od ulicy. Na schodach kamiennych siedział sam mistrz Sędziwój, w zrudziałym aksamitnym kaftanie, z twarzą ukrytą w dłoniach, obojętny i głuchy na swawole żaków. — Przed pół rokiem chytry alchemik Mühlenfels wykradł mu zdradziecko proszek Setonowy i zniszczył go, czy skrył. Cóż stąd, że elektor powiesić kazał Mühlenfelsa na wysokiej szubienicy, pozłoconej u szczytu dla urągowiska? Cóż stąd? Utraconego skarbu to nie przywróciło. Z dnia na dzień, wielki Sędziwój, głośny w całej Europie, bożyszcze monarchów, stawał się nędznym, śmiesznym i nic wartym. Ukryty w rodzinnym mieście, pracował dniami i nocami, w nadziei, że jeszcze odkryje cudowną formułę Setona i sławę dawną odzyska... Tymczasem żaki, znudzone jego nieruchomością, ciskały weń końskim nawozem.

Pietrek nie wiedział nic zgoła o pana Sędziwojowej tragedii i obojętnie przeszedł mimo, ku aptece. Obszerna była i zasobna. Sprzedawano w niej gorzałkę, wszelkie korzenie i zioła, wosk czerwony na pieczęcie, ziele tatarskie,

marcepany, hizopy, limony, nalewkę cyprysową, sukna przednie falendyszowe, skóry kordubańskie, grzyby suszone, sadła lisie, wilcze i borsucze, krom zajęczy, makowniki, kadzidło, olej lniany i liście bobkowe. Mroczne wnętrze odurzało zmieszaną wonią wszystkich tych specjałów. Imć Momotek, aromatariusz, nosił wysoką, śpiczastą czapkę magistra, wielkie okulary, i ciemną, fałdzistą szatę. Posiadał ruchy pełne nabożnego dostojeństwa, i chylącą się zawsze na niekorzyść klienta wagę. Udzieliwszy Pietrkowi żądanych przedmiotów, zachwalał mu jeszcze driakiew, prawdziwą wenecką, i alkiermes, środek bezcenny, niezmiernie rzadko w handlu bywający.

— Nie opuszczaj sposobności wasza miłość — prawił, podnosząc palec do góry. — Mdłość serdeczną, melankolię, w dwa pacierze leczy... Sprawiedliwy to alkiermes, z Italii świeżo zwieziony... Z poczwarki jedwabnika, soku jabłka rajskiego, cynamonu, ambry, kamienia lazurowego, pereł tłuczonych i złota bitego sporządzony... Skuteczniejszego środka nie masz w całym świecie... Sam zapach już wesołym czyni...

— Nie alkiermesu mi potrza — pomyślał Pietrek, i nagle, nie słuchając dalszych wywodów imci pana Momotka, wyskoczył niby obsesz ze sklepu.

Nie dziwota: ulicą szedł, brzęcząc ostrogami, dzwoniąc zawadiacko puszczoną po bruku szablą, krygując się niby drygant — Jędrek Rupniewski. Usłyszawszy kroki goniącego, odwrócił się i wrzasnął z radości, aż pierzchły co bliższe przekupki. Uściskali się serdecznie jak bracia.

— Skądeś się wziął? Co robisz? — pytał gorączkowo Pietrek.

— Spod Warszawy jadę; hetman mnie na dwie niedziele odpuścił, ojców odwiedzić. Onegdaj przyjechałem i właśniem do ciebie się zbierał... Cudnie się złożyło... Pietrek! Kiepsko wyglądasz, ale ręka jest... Bogu dzięki!...

A myśwa wszyscy myśleli, że nijak tylko z próżnym rękawem nieboraku chodzisz?...

— Machać nią jeszcze nie machnę, ni konia powiodę, ale za parę niedziel isto i to będzie... Chodź pogadać do winiarni!

— Piłem ja już dziś niezgorzej, ale z tobą jeszcze pójdę. Przy takiej okazji warto łba rzetelnie zalać.

— Gdzie stoicie? Co się dzieje?

W odpowiedzi, Jędrek, istotnie dobrze już napity, zaśpiewał na całe gardło:

Co się dzieje na Podolu?
Żołnierze się biją w polu.
Czym się biją? — Szabelkami.
Krew się leje dunajami...

Zasiedli za stołem w winiarni.

— Gadaj bez żartów, co słychać?

— Król nas ściągnął pod Warszawę, bo mu na gardło nastają... Zaraz podskoczyliśmy w cenie i kwarty zaległej pół przysłał, byle mu skoro w sukurs iść... Od dwu lat pierwsza to kwarta! Wnet się trochę chorągwi zza Dźwiny wróciło... Łońskiego roku staliśmy jako wpierw, z Mansfeldem się użerając i zębami z głodu dzwoniąc...

— Gadały tutaj, że się wojsko rozeszło?

— Ano, dwie tylko roty nas ostało: hetmańska i Fitingowa; biliśmy się co dnia, licząc, że u Szwedów jakieś żarcie najdziem... Nie miały biedy te bestie! Tośmy się darli do jeich obozu, jak wilki do konia, a zawdy czasu obiadu... Nie wiedziały już chudziaki, którą porę obrać, bo ino ognie rozpalą, myśmy są. Dokuczyliśmy im srodze, tedy, gdy król kazał, hetman rozejm na półtora roku z Mansfeldem podpisał, któren z radością przystał. Do przyszłego nowembra spokój ze Szwedami. Zborowski Jędrzej tam ostał, zamków pilnować...

— Siła was przyszło?

— Więcej półtora tysiąca. Co będzie dalej, nie wiadomo. Rokoszany ustawicznie na obóz swoich nasyłają, żeby spraktykować żołnierza, niedolę naszą a nieszczerość królewską wypominając... Byłoby się może towarzystwo skłoniło ku nim, ale hetman nie dał. Wiesz jaki jest...

— Wiem — rzekł Pietrek z nabożeństwem.

— W kupę wszystkich wziął, obóz okopał, onych umawiaczy rózgami kazał siec i nago z powrotem puszczać, a za zdradę po wojennemu karać na gardle obiecał... Tedy jest spokój i posłuch.

— Sobek tam u nich? nie wiesz?

— Skąd mam wiedzieć? Chodzę do tych szujów, czy co? Żadnej z nimi koneksji nie mamy, jako mówiłem.... Gadaj teraz Pietrek o sobie, co robisz? W cieple siedzisz, owce strzyżesz i dziewki tyrpiesz? Pewnoś już wszystkie w okolicy obszedł?

— Bogaćtam, ani mi to w głowie! — zaprzeczył Pietrek, i urwał.

Zdziwił się sam, dlaczego zamilkł w chwili, gdy należało przyjacielowi powiedzieć o swej zgryzocie. Jakaś przeszkoda, którą czuł nie do zwalczenia, zamknęła mu usta. A przecież to był Jędrek, druh serdeczny, przed którym nie miał dotąd nigdy nic skrytego. Jędrek, z którym razem chadzali do Hildy i Kundy w Kircholmie, do Otty i Berty w Parnawie, a w Rewlu razem pomstowali na niewierność jasnowłosej Klotki, która ich, usarzy, zdradziła z petyhorcami. Niejasno odczuwał przepaść, dzielącą tamte wesołe miłostki od dzisiejszego uczucia.

— Głupi Sobek, że tam siedzi — ciągnął Jędrek, popijając. — Po co? Rozbijem ich, bo wojsko to wojsko, a kupa zawdy kupą będzie... Żeniłby się lepiej... Jest u was przecie ta krewniaczka spod Sambora?

— Jest — rzekł Pietrek, rumieniąc się gwałtownie.

— Co się czerwienisz? Ho, bracie! Tum cię czekał!

Miła ci ona jagódka? — I nic nie gadasz?! Przed kompanem skrywasz, zdrajco?! Gadaj żywo, co z nią masz?...

— Nic nie mam... Kto prawił, że Sobek będzie się z nią żenił? — zapytał Pietrek z kiepsko udaną obojętnością.

— Laboga! wszystkie somsiady!... i ojce w domu... wszędy gadają... Sobek się pono odmienił, poweselał... Ej, do licha! Siedział bestia w domu, kiedy my wojowali, to sobie dziewczynę upatrzył. Czasu miał dość, to choć on raz na miesiąc jedno słowo wyduknie, zawdy ją w końcu ugadał... Żebym był w okolicy, nie dopuściłbym nikogo, a sobie ją brał... Miła szelma..

— Znasz Hankę?! — zachłysnął się Pietrek zdziwieniem.

— Jakże! Nie mówiłem ci? Cztery roki temu, jadąc z Sobkiem z hoszczańskiego synodu, zajeżdżali my do Pinian... Strasznie mi się od razu dziewucha udała, bo i ładna, i niebiedna... Piękne było gospodarstwo. Kto tam teraz rządzi?...

— W arendzie pono jest..

— Coś tak osowiał? Zazdrość ci o Sobka? I mnie też zazdrość... Wielkie rzeczy! nie ona jedna na świecie; gdzie spluniesz, tam baba; tylko wybierać... Wracaj do nas, a wnet melankolię stracisz... Pij!

— Na zdrowie!... Wrócę bracie, wrócę.... Nie ona jedna... — mruczał Pietrek rzetelnie podpity.

Razem z przyjacielem owionęło go powietrze żołnierskie, obozowe, beztroskie, dalekie od walk serdecznych, jakie obecnie przechodził. Zatęsknił za nim żarliwie, gorąco. Zapragnął dusznie wyrwać się zmorze, otrząsnąć, stać się na nowo żołnierzem... Cóż on teraz? — żołnierz? A jużci! Baba, niedołęga, dureń! Jędrek siedzieć by z nim nie chciał, gdyby znał, co w duszy kamrata się dzieje...

— Pij Pietrek, a nie trap się!...

— Piję bracie... Dobrze gadasz! Nie ona jedna... świat wielki....

— Sto lepszych znajdziesz! Usarz by się frasował o dziewkę? Nie było jeszcze tego! Jechał ją pies z ostatkiem! Pij!

— Piję..

— Pluń i pij, a do nas rychło powracaj...

— Oj, powrócę!... Nie ona jedna... Usarz jestem, do stu diabłów!

Ściskali się na umór, płacząc z rozrzewnienia, bo wino tęgie było, chociaż młode.

*

* *

— Kiedyż właśnie, że jedna!... — myślał z żalem Pietrek, dojeżdżając do Czarnego Potoku.

Zaledwie wino wywietrzało nieco z głowy, udręka wróciła z tą samą co poprzednio siłą. Cokolwiek by sobie powiadał, jedna ona była na świecie, a wszystko poza nią niczym. Zszedłszy z wozu, polazł w góry, ani zachodząc do domu. W zgryzocie swej doszedł do punktu, w którym serce i dusza zdręczone bunt podnoszą przeciw rozwlekłej bierności cierpienia, żądając wielkim głosem rozwiązania. Koniec! — niech będzie jakikolwiek, ale koniec! — Raz już wiedzieć!... Wiadomość, że rokoszanie stoją pod Warszawą, wbiła mu się klinem w głowę, kiełkując coraz to bardziej stanowczym zamiarem. W połowie góry przystanął, podumał chwilę, i naraz zdecydowanym krokiem skręcił w prawo do Lipcowa, by podzielić się ze stryjem myślami. — Pan Hermolaus leżał w łóżku, powalony srogim atakiem podagry, i czytał fraszki nieboszczyka pana Reja.

— Dobry chłop z ciebie, żeś zaszedł — powitał ulubieńca serdecznie. — Leżę sam, jako ten Łazarz czy Job. Dokucza ta zaraza, że strzymać trudno... Co w domu?

— Spotkałem dziś w grodzie Jędrka Rupniewskiego — zaczął Pietrek; — na permisję go puścili. Powiada, że rokoszowi stoją pod Warszawą... Pewnikiem Sobek tam z nimi. Pojadę k'niemu i zapytam bez obłazu, jako jest z Hanką. Niech rzeknie... Nie możem już dłużej wydzierżeć! nie możem! — wybuchnął. Wstał wzburzony i chodził po izbie, wysoki, smukły, głową poczerniałych, wygiętych od starości belek sięgający.

Stryj wodził za nim oczyma, zafrasowany. Sprzyjał mu całym sercem, uważając, że byli z Hanką stworzeni dla siebie. Hej, para by to była, para! Lecz i Sobka było mu serdecznie żal. Też chłop poczciwy, prawy, rzetelny. Tyle tylko, że niemowny i odludek, ale złoto szczere. Nie pochwalał Pietrkowego zamiaru jazdy, bojąc się, by między braćmi nie przyszło do ostrej rozprawy. W domu co inszе, — matka by upilnowała, — ale tam?... Oba są chłopy morowe. Nie pierwszy by raz polała się krew między braćmi o dziewkę.

— Żeby nie pedogra, sam bym pojechał, i to byłoby najlepsze — rzekł głośno. — Twoja jazda na nic.

— Pojadę — odparł Pietrek z uporem, — zapytam się go uczciwie, co myśli; a jeśli powie, że sobie Hankę raniej na żonę upatrzył, nie wrócę tu już, jeno do hetmana pociągnę... i bodaj mnie tam zabito...

— Nie widzi mi się przystojnym, by usarz hetmański po obozie rokoszowym się włóczył... — wynalazł w lot inną obiekcję przemyślny stryj.

Pietrek zacukał się nieco, z czego korzystając stary, prawił:

— Albo czekajże, aż mnie pedogra odejdzie, tedy sam pojadę, albo list napisz; niechaj na piśmie odpowie...

— Co tam pisanie! Pojechać samemu zawdy najlepiej...

— Wiesz ty, zali on pod Warszawą jest? Minieta się

w drodze... On tu przyjedzie, a ty będziesz szukał wiatru w polu po próżnicy...

— Prawda — przyznał Pietrek, któremu na myśl o przyjeździe brata w jego nieobecności oczy błysnęły drapieżnie. — Prawda, że można się minąć. Napiszem do niego list...

Wrócił ożywiony tą myślą, a zapał jego udzielił się Hance. Pojąć nie mogli, że podobne załatwienie sprawy nie przyszło im wcześniej do głowy. Zabrali się wnet do urzeczywistnienia projektu, żądni nie tracić ani chwili. Należało tylko posłańca przygotować i wyprawić w cichości przed panią matką, która pewnikiem nie pochwaliłaby imprezy, — no, i napisać sam list. To ostatnie nie było łatwe bynajmniej. Wprawdzie Pietrka dobrze zaprawiali do pisania w lucławickiej szkole, surowca nie szczędząc, a i Hanka była piśmienna, bo chrystianie mieli w zwyczaju nawet dziewki w piśmie kształcić. Było to jednak już dawno. Od owych szkolnych czasów żadne z nich nie miało pióra w ręce. Ten list miał być pierwszym w życiu. I to taki list! Głowili się nad nim kilka dni, pracowicie koncypując i przepisując niezliczoną ilość razy. Nareszcie był ukończony. Stryj Hermolaus go zaaprobował. Jaśko Dobrocieski w czapkę ostrożnie wsunął — i pojechał.

— Będziewa nareszcie wiedzieć co z nami — rzekł Pietrek z ulgą, widząc go znikającego za bramą.

Pewne ukojenie spłynęło na nich z samej świadomości, że los się rozstrzygnie. Nie zaraz, bo rychlej niż za miesiąc nie ma się co nawet odpowiedzi spodziewać, — zawsze jednak lżej będzie czekać.

— Jeżeli Sobek odpisze, że o cię nie stoi — marzył głośno Pietrek, — pobierzewa się zaraz... Hanuś złocista moja, zaraz!... Słyszysz? Nie wyjadę, aż się pobierzewa...

— I..i..i... — mruknęła niewyraźnie.

— Coś ci nie pilno? — rzekł urażony.

Zaczerwieniła się i uciekła. Obok zasadniczej troski niepewności, nurtowało ją od pewnego czasu jeszcze inne zmartwienie, którego Pietrek nie przypuszczał.

Wieczorem, zabierając się do snu w swojej bokówce, rozplotła warkocze i zamyślona zastygła w otwartym oknie, machinalnie gładząc ciepłe, ciemne strugi włosów. Noc była bezmiesięczna, gorąca. Jaśminowe krze, okryte kwiatem, rzucały w przestrzeń — jak przejmujące wołanie — fale zapachu o mocy upajającej do bólu, niby rozkosz sama, pełne okrutnej, miażdżącej swoją słodyczą tęsknoty. Powyżej, nietoperze krzesiły w ciemni szybkie, szybkie trójkąty i koła swych lotów. Od łęgów w dole dochodziło aż tu granie żab. Gdy Hanka wychyliła się, by oprzeć twarz o ciepłą pierś nocy, włosy jej spłynęły, zrosły się z wilgotną, rośną trawą. Niby głęboki dech ziemi, przeniknęło ją za tym dotknięciem nagłe, bezwzględne, napastliwe pragnienie pieszczoty. Całą istotą wezbraną, drżącą od przeczuć tajemnych, zażądała należnego sobie szczęścia, — na przekór Sebastianowi, na przekór wujnie, na przekór wszystkim. Zuchwałość tego żądania oszołomiła ją samą. Zbuntowana, choć zlękniona, dygotała pod aksamitnym dotknięciem ciemności.

— Pobierzewa się — powtórzyła z mocą słowa Pietrka, — ślub weźmiem i...

Ach, ten ślub!...

Uniesienie jej opadło, prysł czarowny urok nocy. Dokuczliwy, trapiący od dawna frasunek wylazł z zakamarków myśli i stał szyderczy, tym przykrzejszy, że wstydziła się doń przyznawać.

Bo gdybyż to był ślub naprawdę, jak się patrzy — tłumaczyła ciemności rozżalonym szeptem, — nie ten... ten... ariański!

Skrzywiła się prawie ze wzgardą, wspominając widziane niejednokrotnie, surowe w swej twardej prostocie

obrzędy. Opalone kije w ręku otaczających, młodzi w cudacznych, niby śmiertelnych gzłach, na gołe ciało przywdzianych, boso, stojący nieruchomo pod drzewem w sadzie, czekający cierpliwie, aż minister odśpiewa nad nimi trzy psalmy. Po czym powrót młodych, już zaślubionych, w milczeniu do domu i... koniec na tym. Ani weseliska, ani nic! Zwykły budny dzień, roboczy dzień. Ani wiesz, że to dzień ślubu, ani go zapamiętasz...

Ogarnęło ją, zalało uczucie żalu do losu, do ojców, rodziny, którzy ją podobnie skrzywdzili, nie zapytawszy o zdanie ni wolę. Nie tak, nie tak wychodzą za mąż inne dziewki! Ślub — to ślub! Długie korowody... ruciany wianek, starościny, drużbowie i druchny, kołacze, marszałek z rózgą kwiecistą, oracje... Ukwiecone majem brożki wiozą weselny orszak do kościoła. Grzmią radośnie, hulaszczo kopyta pędzących koni. Palą bicze, drży powietrze od przyśpiewek, z kościoła jarzą się świece, czerwone sukno zaściela pawiment, krasą strugą wylewa się aż na schody, — huczą organy, wali się ulewa dźwięków, polatuje górnie, donośnie, głos dzwonów... Potem weselisko, czepiny... Mój Boże! To jest ślub, najgorętsze marzenie dziewczyńskie! Niejedna dla takiego dnia gotowa później choć całe życie przepłakać! Jest o czym do śmierci wspominać...

Przymknęła oczy, wyobrażając sobie, że jedzie do ślubu, przetowłosa pod zielonym wiankiem, w barwnej, mieniącej niby motyl szatce, — roześmiane druchny wokoło... Pietrek sadzi przy wozie na swoim drygancie, nachyla ku niej twarz, lubą, rozgorzałą: „Mojaś ty...“ Wiatr w odpowiedzi zarzuca nań obłok jej włosów, aż gniady płoszy się i chrapie... Zza tej pachnącej przegrody patrzą na siebie miłośnie. Drużbowie krzyczą rozgłośnie: Hej! hej!...

Ocknęła się, podniosła głowę — i zamknęła z gniewem okno w nagłej urazie ku wszystkim. — A jużci! a jużci!

Gdzieta! Nie dla niej one radości, nie dla niej to święto... Pożenią ich po swojemu w Socynowym ogrodzie, a tajemnie, a cicho, by się ludzie nie zwiedzieli, na parkan nie wyłazili, gapić się niby na dziwo.. Ot dola!

Zasnęła spłakana, czując się bardziej nieszczęśliwą i osieroconą niźli kiedykolwiek.

ROZDZIAŁ V

TRZY KORONY

Uczony pan Osterode z Goslaru, wykolejony i zgnębiony utratą swojej drukarni, na której wielkie nadzieje znaczenia i sławy budował, — wałęsał się po kraju bezradnie, aż przybył znowu do Wrocimirowej.

Melancholia bezbrzeżna ogarnęła go, gdy spojrzał na leżące tam, od dwu lat gotowe, rękopisy dzieł: „O Bóstwie prawdziwym Chrystusa" i „Śmiertelna broń przeciw papieżnikom i innym Chrystusowym wrogom". Dobrze jeszcze, że pani Ewa Wiszowata, z książkami od młodu obznajmioną będąc, nie użyła ich pod placki, co w innym domu łatwo się mogło przydarzyć. Za to myszy, mniej szanujące, poobgryzały już nieźle brzegi manuskryptów. Żałosny twórca onych płodów ducha objechał już wszystkie oficyny drukarskie Rzeczypospolitej, prosząc, molestując, góry złota obiecując. Daremnie. Nawet wielcy drukarze, Maciej Garwolińczyk ze Lwowa i Franciszek Cezary krakowski, nie chcieli podjąć się nowej roboty, każdy będąc zawalony na długi czas swoją. W owym czasie bowiem kto żyw pisał w Rzeczypospolitej. Czytano mało, a pisano dużo. Lub raczej: kto czytał, ten pisał; obojętnych czytelników, zadowalających się biernym przeczytaniem książki, można było policzyć na palcach. Niejeden szlachcic, gdy zniewolony przez uczonego sąsiada, księdza, lub wprost pod wpływem tajemniczego, potężnego prądu, wiejącego poprzez Europę, oderwał się od uciech łowieckich a zajęć gospodarskich i przesylabizował z trudem *Zawstydzenie nowych*

arianów księdza Skargi, — albo *Zniesienie Zawstydzenia, które ksiądz Piotr Skarga niesłusznie na zbór Pana Jezusa Nazareńskiego wznieść usiłował* imci pana Moskorzewskiego Hieronima, albo jeszcze *Wtóre zawstydzenia,* albo *Zniesienie Wtórego Zawstydzenia,* i na dodatek *Nowego Mesjasza,* — rozogniał się, sapał, wyrywał z dziadowego raptularza czyste karty, i mało wprawną ręką pisał prozą, czasem nawet rymami, ciężkimi jak bat ekonoma, — pochwałę albo naganę przeczytanego traktatu. Za czym posyłał co rychlej do drukarni, talarów nie szczędząc, byle swój utwór szerokiej powszechności dać poznać. Drukowano też bez pamięci. Rozprawy, paszkwile, satyry, anonimy, ulotki, fraszki, epigramy, lamenta i polemiki zalewały kraj. Jeno głosu pana Osterodego brakło w tej ciżbie drukowanych słów. Nie dziwota, że nad tym cierpiał nieznośnie. O sprowadzeniu nowych czcionek ani marzyć. Coraz pilniej za tym śledzono. Do Amsterdamu, ojczyzny drukarzy, wstęp miał wzbroniony od dawna. Osowiały i markotny, bezczynny i wykolejony, włóczył się po lasach otaczających Wrocimirową i nad smutną swą dolą rozmyślał.

Siedział któregoś dnia zgarbiony na zwalonej kłodzie, przeklinając po raz tysiączny biskupa, sprawcę swego nieszczęścia i oczami bezmyślnie po czubach drzew wodząc, gdy stara Mądrzycha, zbierająca zioła wśród jałowców, podeszła ku niemu.

Drgnął zaskoczony, bo wydała mu się ni to stworem leśnym, dziwokiem niesamowitym, ni to zjawą, — zgiętą we dwoje, ledwo że sunąca. Okrywające ją łachy były stare jak mech, wyrudziałe jak sosnowa kora. Sękate palce podobne splątanym korzeniom świerkowym. Lecz w twarzy zoranej, wyschłej, zmiętej i spłókanej jak liść dębowy z łoniego lata pozostały, kaprawe pół oka błyskało ku niemu przyjaźnie. Pozdrowiła po Bożemu panoczka ze dwora, a widząc jawny frasunek, proponowała nabycie po

zniżonej cenie kapłoniego kamienia, który czyni niezwyciężonym, ochotnym, niewiastom nad wszystko przyjemnym...

— Co mnie niewiasty! — mruknął uczony dysertator niechętnie. — Tyle mi stoją co psu piąta noga...

— Ziele wrotyc mam, które z płucami lisimi susonymi pite, odmianę humorów sprowadza...

— Moich nie odmieni — westchnął.

— Najlepsy jest dziewięciornik; nie zwycajny: osobliwy, przez wilce gardło przelany...

— Et! — machnął ręką znudzony, zbierając się do odejścia. Zastąpiła mu drogę, wcale żwawo.

— Rękę mi dajcie, panocku... Powiem sprawiedliwie: co było, co bedzie, co w progu... Co trapi, co minie, co ostatnie, — powiem... Niewiela wezmę: talarka...

Zawahał się, i usiadł z powrotem na kłodzie. Starucha ujęła obie jego ręce, przyglądając im się z głęboką uwagą. Mamrotała pod nosem niezrozumiałe słowa zaklęć, tak długo, że się aż zaniepokoił. Skurczonym jak haczyk, twardym i ciemnym jak sęk drzewa palcem wodziła po jego pulchnej, pracy niezwyczajnej dłoni. Długi, narościami pokryty, do dziwacznego grzyba podobny nos poruszał się niepokojąco, stykając raz po raz z brodą. Na koniec podniosła głowę. Jedno oko, zasnute gęstym bielmem, wydało mu się groźnym w swej nieruchomości, drugie, wpół jeszcze widzące, mrugało przenikliwie i dobrodusznie, żwawo biegając w otoce czerwonej powieki. Przyjrzała mu się badawczo, świsnęła bezzębnymi wargami, i znów spojrzała na ręce.

— Mówcież — niecierpliwił się.

— Wielkomozny panocek mieli wielką utratę — zaczęła, — dawno... moze rok bedzie... może więcej.. Dotąd panocek się trapiom..

— To prawda — wyznał z westchnieniem.

— Złodzieje zabrały cosikiej, co dla panocka wielko-

moznego stało wiele, a dla złodziejów nic warte... Jest ona zguba kajś niedalcko panocka...

— Co?! gdzie?! — Zerwał się na równe nogi.

— Bo ja wiem, panocku?... Widzę co w ręce... utrata je od nich niedalecko...

— Nie wywieźli do Krakowa?! — zakrzyknął, patrząc na nią z niedowierzaniem i radością zarazem.

— Do Krakowa?... Kraków daleko... oje! oje! daleko.., a na ręku pokazuje, że utrata je kajś blisko...

— Muszę wiedzieć, babko, gdzie. — Przysunął się natarczywie.

— Jak wiedzieć? Nie ludzkie to, a Panbóckowe sprawy... Jest ziele moc mające zajrzyć w to, co skryte, ale u mnie go nima; lekarka ja, nie wróżka... Drogie ziele, bardzo drogie...

— Zapłacę..

— To egipskie ziele, bonbaron... Cyganichy je majom i nierade przedadzom, chyba za kupę pieniędzy... Nie opłaci się nowina, wielkomozny panocku; niechajcie!

— Dla mnie zawsze się opłaci.

— Wiedźmy to som zatracone... I dusę krześcijańską człek na pokusenie wodzi, gadając z nimi... Ostawcie lepiej, panocku.

— Wiele trzeba na to ziele? — pytał pan Osterode, nie zważając.

— Jędze chytre... carownice... mogom siła żądać; moze kopę dukatów? — szepnęła świszczącym ze wzruszenia głosem.

— Dam kopę.

— Moze więcej?

— Będzie prawda, dodam więcej — zdecydował się po krótkim namyśle.

Odsapnęła głęboko, spuściwszy zaropiałą powiekę na zbyt bystro zerkające oko.

— Więc? — dopytywał niecierpliwie

— Obacym... Pogadam z cyganichami... Dajcie panocku pieniądze.... Nie przedadzom, oddam rzetelnie...

— Gdzież te cyganichy są?

— Kandy nima tej zarazy?! — wzruszyła ramionami. — Siedzom zawdy pode grodem. Drzewiej, pomnę, jesce młódką bełam, nie włócyło się ich tyla... A jesce raniej, całkiem cyganów nie beło... Insze narody od potopu som, ale cyganów nie beło... Dopiro kiej Panjezusa wiedli krzyzować chudziacka na Golgotę, seł tam jeden człowiek, to mu dały te wojoki gozdki, zeby niósł. Jenemu okrutnie było Panjezusa skoda, to schował jeden gozdek do portek. Myśli se: Zabraknie gozdka, to nie ukrzyzują. Przyśli na Golgotę. Krzycom wojoki: gdzie cwarty gozdek?! „Nima — pedo on, — dali wy mi jeno trzy". — „Łzesz!" — „Jak na Sądzie Ostatnim gadam, co nie łzę!" — A óne: „Łzesz!" — A on: „Panbóg wie co nie łzę!" — Tak Panjezus obrócił licko ku niemu (a juz lezał na krzyzu) i prawi: „Oj cyganis cyganie jeden!"... Tak on się zasromał i ucik. Myśli se: Panjezusowi nie pomogłech, ale mi gozdek ostoł. I to był pirsy cygan. Potem na jego dzieci juz wołali: cygany, — a potem to się te marchy rozrodziły, ze ich wsędy pełno... Z diabłem kumostwo trzymajom i diabelskie znaki po sobie majom, które som...

— Dobrze, dobrze! — przerwał zniecierpliwiony. — Kiedyż do nich, babko, pójdziecie?

— Ano zaraz, ino mi dajcie pieniądze...

— Nie mam przy sobie, przyniosę.

— Pockam na wielkomoznego panocka.

Poszedł szybko ku domowi, zostawiając starą, śmiejącą się cicho bezzębnymi ustami. Słońce grzało jej stare ciało równie rozkosznie, jak radość żarząca się wewnątrz. Jantkowy skarb zaczynał przynosić profita nie byle jakie. Obiecała sobie w duchu sprawić za to chłopcu nową kapocinę.

Czymże jednak jej zarobek w porównaniu z tym, cze-

go niechybnie zażądają (i dostaną) zbóje?! Na tę myśl radość jej gasła. Przejął ją głęboki smutek nad niesprawiedliwością jawną losu, toteż osowiałym i nie wróżącym nic dobrego wzrokiem powitała wracającego Niemca. Obojętnie przyjęła pieniądze, wyrażając stanowczą wątpliwość, by cyganichy zechciały oddać szczyptę czarodziejskiego ziela za sumę równie znikomą. Za cztery dni, w sobotę, obiecała dać wiadomość, i powlokła się w las sztykutając, zgięta w pół, do leśnego dziwa podobna.

*
* *

Cztery dni dzielące od soboty zbiegły dla pana Osterodego w gorączce oczekiwania. Nie mógł sobie miejsca znaleźć, — to pełen zwątpienia, nazywający się w duchu mamiotrawcą, roztrwożcą, łatwowiernym osłem, to rojąc cudowne możliwości odzyskania skarbu. Nie zwierzył się Wiszowatym, bo wstyd go brał, mędrca uczonego, gardzącego dobrymi dla papieżników zabobonami, że z babą Mądrzychą wchodzi w komitywę. W piątek z niepokoju stracił chęć jadła i picia.

W sobotę, przed wieczorem, gdy zwątpił już całkiem, pachołek szepnął mu do ucha, że stara czeka za bramą.

— Wielkomozny panocku — rzekła uroczyście, — wiem juz, kaj je ich utrata. Štyry to krzynie były, zabrane z lamusa?

Nogi się pod nim ugięły z radości.

— Tak, cztery skrzynie. Gadajcie babo, a skoro!

— Podłe jędze, cyganichy — prawiła Mądrzycha, — ani patrzyć na one dutki nie chciały! Jenom im na zbawienie dusy przysięgła, na moją starą głowickę, ze resztę jutro przyniosę, to kapkę ziela odpuściły... Zal me brał, ze się panocek tyla trapiom, tom przysięgła... Kiej reszty nie oddam tym juchom, o reta!..

— Wieleż tej reszty?

— Duzo — jęknęła, — pewnikiem panocek nie dadzom... zginąć mi przyńdzie... Laboga! Ubijom.. przeklnom, jesce i dusę zatracom!...

— Ależ dam! jeno gadajcie: wiele?

— Jesce kopa — wyznała nieśmiało, z nieudanym drżeniem.

Dał bez słowa. Chwyciła szybko, drapieżnie. Aż zatchnęło ją na chwilę ze wzruszenia. Niech se już teraz zbójniki żądają wiela chcą! Ona miała dość. Chwaci dla Grzybów, dzieci ich i wnuków na dostatnie życie, a dla niej na szumny pochowek z dzwonami. Może czekać śmierci spokojnie.

— Gdzie skrzynie, babo?! gdzie skrzynie? — powtarzał pan Osterode, już gniewnie.

— Niechze wielkomozny panocek pilnie uwazajom: krzynki zabrały z lamusa zbójniki, co z harnasiem Kwocką wandrujom. W Pieniny je poniesły; tam one w maclochu — jamie takiej, wiedzom? — lezom... Nierusone.

— Zbójniki zabrały? Po co?

— Bo ja wiem? Durne chłopy moze prawiły, ze złoto... W Pieninach krzynie som... Niechaj wielkomozny panocek poślom do zbójników... Pewnikiem za okup oddadzom...

— Do zbójów posyłać? kogo?

— Hołeksę mozna, bo na zbój chodził za młodu...

Odsunął się od niej podejrzliwie.

— Ej, babo — rzekł groźnie, — nie oszukujesz ty aby? Bo jeśli to wszystko łgarstwo...

— Toć tu siedzimy w dziedzicowych ręku, ja i sytkie moje — odparła spokojnie. — Sprawiedliwą prawdę powiadam. Niech się panocek spytajom dziedzica, czy stara Mądrzycha cygani?

Wrócił do domu oszołomiony niespodziewaną nowiną, nie tając już teraz nic przed Wiszowatym.

— Madrzycha cyganić nie zwykła, to racja — przy-

znał Litwin. — Ot, dziwajcie się, serdeńko, jak łatwo człowieka na sławie ukrzywdzić: krzyczeli my na biedniaszka biskupa, a to były zbóje...

— Biskup także musiał być, skoro lektykę widziano... Widno ze zbójami w paragon wszedł i dyrygował imprezą...

— Ta może i tak, kochaneńki, a może inaczej... Hołeksę pchnąć można, nie wadzi...

Zaczęły się znów dla pana Osterodego dni oczekiwania, dłuższe tym razem, bo Hołeksa wrócił dopiero po dziesięciu dniach. Odpowiedź, dana przez zbójników na gębę, była krótka: Skrzynie są. Niech Niemiec sam przyjdzie, trzysta dukatów da, i zabierze.

Mądrzycha tryumfowała. Pan Osterode korzył się przed jej wiedzą. Lecz pan Wiszowaty odradzał wyprawę ze względu na wygórowaną sumę okupu.

— Taż sumienia nie mają te zbóje — dowodził; — cały majątek stracisz, kochaneńki. Tyle dukatów już poszło, a trzysta okupu... a wiela zachcą za odniesienie ich tutaj? Boć w Pieninach drukarni nie założysz.

Racje to były słuszne, więc pan Osterode wahał się w bolesnej rozterce. Suma żądana była iście wielka, lecz pasja autorska i pęd reformatorski jeszcze większe. Odzyskać czcionki, odbić nareszcie ukochane dzieła, na zbudowanie swoim, zgubę jezuitom, — pokusa to zbyt silna. Natomiast inne obiekcje stawały przed jego ostrożnym umysłem.

— Jakoż tam jechać między zbóje? Śmierć pewna... O fortunę mniejsza, ale człek gardłem nadłoży...

— Co gadasz, kochaneńki?! — obruszył się pan Wiszowaty. — Toż to zbójniki, nie żadne hultaje... Honorne chłopy... Jeśli same przyjść kazały, nie tknie cię żaden, nie bój się!

Pan Osterode słuchał z niedowierzaniem, zasadniczo

inne mając o zbójach pojęcie, i krążył po domu niezdecydowany...

W tymże czasie starego Hołeksę obstąpił na dziedzińcu ciekawy tłum dziewek i parobków, dopytując się nowin o zbójach. Lecz mowny zazwyczaj tracz nierad był czegoś tym razem o kompanach prawić, i mruknąwszy: Nie ma tam dobrze ze wszystkim, — wrócił do przerwanej przed dziesięciu dniami roboty. Stojąc rozkraczony na wysokim koźle, pociągał zwolna, miarowo, piłę, zezem spoglądając na noszącego słomę do cielętnika Jantka Grzybowego. O zmroku, gdy zeszli z roboty, pomyślał chwilę głęboko, postał i poszedł do Grzybów. Wywołał starą Mądrzychę z chałupy. Gadali długo za opłotkiem. Stara płakała, jęczała, przeklinała, groziła, nareszcie dała mu wyciągnięte z zanadrza dziesięć dukatów.

— Ostatni, jedyny gros! Na śmiertelną godzinę schowany! — powtarzała w rozpaczy, stukając w ziemię koszturem.

Hołeksa, niewzruszony, pieniądze przeliczył, splunął, i zażądał jeszcze wywinięcia kołtuna, siedzącego snadź na wnętrzu, bo go od kilku dni darło okrutnie po kościach. Gdy obiecała, kiwnął przyjacielsko głową — i zwykły spokój zaległ na folwarku.

* * *

W kompanii harnasia Kwoczki działo się istotnie źle. Wszystko zaś z przyczyny Jadwiszki Paryshazówny, grabianki. Pod jej przemyślnym i chytrym a okrutnym kierownictwem banda wzbogaciła się wprawdzie niepomiernie łupem, była postrachem wszystkich kupców węgierskich i małopolskich, — lecz, trzymani żelazną garścią dziewki, zbóje zatracili dawną swobodę i radość zbójnicką. Honorne, wesołe chłopy stały się skryte, ponure, niemrawe. Mało było jam i pieczar w Pieninach, nie zapełnionych zdobytym przez nich bogactwem, lecz pociechy

stąd nie mieli żadnej. Jadwiszka skąpa im była, żałując każdego grosza i krokiem nie puszczając na zabawę, czy do dziewek. Chciwa i mądra, zachłannie zbierała skarby. Obecne życie zbrzydło już jej do cna. Zbrzydły drżące przed nią chłopy, ciemny, okopcony, choć złotogłowiem wybity, sklep w ruinach zamku królowej Kingi — i włóczęga po górach. Leżąc bezczynnie na kosztownych futrach, snuła marzenia odmiany. Niełatwym to było, bo w dole czekały na nią wyroki i władza ojcowska, nie traciła jednak nadziei, że obmyśli jakiś sposób, by się przed nimi uchronić. A wtedy fraszką już będzie durnych chłopów zmylić, na szubienicę posłać, a skarby bezpiecznie zabrać... Tymczasem trzymała ich w postrachu grozą czarów. Nienawidzili jej, i drżeli przed nią. Pod jej wpływem zaczynali też zwolna nienawidzieć się wzajemnie. Każdy z nich czuł nieświadomą pogardę dla samego siebie, że popadłszy w tę niewolę, nie umie się z niej wydobyć, i to uczucie zaprawiało im każdą godzinę warczącym, mściwym rozdrażnieniem. Krótkie, gwałtowne, a nieraz śmiertelne sprzeczki buchały co moment. Hej! gdzie dawne śpiewania zbójnickie i tańce, gadki przy ogniu prawione, niefrasobliwa wesołość, szalone, rozrzutne hulanki w gospodach! Sczezły, uleciały dawno. Uleciał mir u ludzi, serdeczna zażyłość z juhasami. Nie schodzili w doliny nigdy, chyba po niezbędne zakupy, albo na napaści. Nie zachodzili ku gazdom na halach. Siedzieli na wierchach jak sępy, otoczeni grozą. Gdy, idąc milczącym, posępnym szeregiem, nieśli swą władczynię w adamaszkiem wybitej lektyce, piękną, strojną i wzgardliwą, — rzekłbyś, iż to korowód uczarowanych przez jędzę odmieńców ciągnie ponuro brzemię swojej doli, od której ucieczki nie masz.

Najsilniej nienawidził grabianki sam harnaś Kwoczka. Dawno przestała być jego wyłączną kochanką, wybierając wedle swego kaprysu wśród bandy, na co musiał obojętnie patrzyć. Toteż z radością byłby ją widział w mocy katów

i na mękach. Niechby ją nawet spalili! Nie ulitowałby się ni jej gibkiego, pięknego ciała, ni krasy zdradzieckiej. Sam jednak nie śmiał jej tknąć. Jednym skinieniem mogła — tak zapewniała — zesłać nań niemoc, ślepotę, gnicie wątroby albo smrodliwy dym w gębie. W apatycznej rezygnacji znosił swą niewolę, podobnie jak reszta bandy.

*

* *

Pan Osterode z nieukrywanym niepokojem wysiadł z wozu. Był nieswój i złe przeczucia obsiadły go niby zmory. Pierwszy raz będąc w tej okolicy, z dziwem spoglądał na dwie strażnice skalne, niedosięgłe, pilnujące wejścia doliny: Czorsztyn i Niedzicę. Strzelały warownie po obu stronach Dunajca, wzrosłe ze skały, stanowiące jedno z nią. Siostrzyce groźne, kamienne dokumenta mocy Rzeczypospolitej, patrzały srogo wąskimi szczelinami okien na każdego, kto przechodził tamtędy. Panu Osterodemu wydało się, iż ostrzegają go, by się nie zapuszczał dalej.

— Hnet za Niedzicą bedzie cekał zbójnik — mówił towarzyszący mu Hołeksa, ruszając przodem, wąską ścieżką, nad brzegiem rzeki biegnącą. Niemiec stąpał za nim, trwożnie oglądając się raz wraz poza siebie.

Tu, za tymi zamczyskami, kończyło się władztwo prawa, zaczynał świat dziki, górski, nieujarzmiony, swobodny, państwo bezsporne rysia, niedźwiedzia i zbója. Kto weń wszedł, na sobie samym tylko, na własnej sprawności i męstwie musiał polegać. Nie strzegło go nic, nie chroniło urodzenie, obawa sądów, obyczajność, ani sumienie niczyje. Uczony dysertator uświadamiał to sobie wyraźnie i drżał. „Honorność" zbójników miała być jedyną rękojmią jego cennego żywota. Po co, szalony, tu lazł?... Stanął, niepewny, zali nie lepiej wrócić, póki czas.

— Już widno cólna — odwrócił się ku niemu Hołeksa. Pan Osterode westchnął i zdecydował się iść.

Uszli jeszcze z kilkadziesiąt kroków. Zakryty urwistym brzegiem, młody góral, w cusze i cyfrowanych portczyskach, siedział na trzech spiętych ze sobą czółnach, do żłobów podobnych. Każde wydłubane było w jednej kłodzie drzewnej. Mocne wiklinowe postronki wiązały je ciasno w tratwę.

Hołeksa przyjaźnie powitał zbójnika Stachurę.

— Niechze siadajom panocek.

Niezgrabnie, nieufnie, pan Osterode spuścił się z brzegu na czółna. Hołeksa podścielił mu uprzejmie kilka gałęzi świerkowych, by usiadł wygodnie. Góral odepchnął się żerdzią od brzegu. Łodzie zawirowały ciężko, zachybotały, stanęły niby niepewne, nim osunęły się w ramiona prądu. Chyży i wartki porwał je i niósł ku środkowi rzeki. Ciężkie kłody stały się lekkie i śmigłe, niby stworzone ku radosnej igraszce z falami. Bystra woda uniosła je miękko, pluszcząc przyjaźnie o chropawe, grube dna. — Stojąc na przodzie, stary tracz i zbójnik gadali półgłosem, nie zwracając najmniejszej uwagi na siedzącego za nimi uczonego męża. On wodził strwożonymi oczami po spiętrzonych na obu brzegach rzeki lasach, zwartych, potężnych, odwiecznych, nie tkniętych, nie zmierzonych jeszcze ludzką ręką ani stopą. Strzeliste świerki wynosiły się nad świerki, zwieszały długie, żałobne konary jedle. Gdzie niegdzie ponad błękitną ich czarność wykwitał jasny pióropusz modrzewiu. Gdy prąd zbliżał ich do brzegu, w przepastnej otchłani lasu majaczyły pnie odwieczne, zbrojne sękami po spadłych konarach, niektóre proste jak kolumny greckie, inne potwornie skręcone, pełne guzów i narośli. Wielkie, przekształcone z wiekiem w twardą miazgę drzewną grzyby, sterczały płaskim wykuszem z łona prastarego dębu. Jakieś straszliwe rany, okropne rozdarcia, zadane przed wiekami siłą wichrów lub piorunu, zalane słodką żywicą i rdzeniem, zaschłe, zarośnięte mchem, ujawniały grozą pozostałych blizn niespożytą moc i żywot-

ność drzewa. Kora, błyszcząca od wiecznej wilgoci, mieniła się w gęstym mroku jak łuska gadziny, lub chropowata, zdrzewniała, zorana w tysiączne bróżdy, zdała się być rylcem wieków zapisaną, cierpliwą kroniką boru. Miejscami, ze zwartej, czarnej ściany puszczy wychylała się, niby zjawisko, brzoza smukła, przeźroczym listowiem pod słońce się skrząca, podobna dziewce w białe giezło przyodzianej, wyrywającej się z ciemnicy na świat boży. Długie, jak tchnienie wiatru lekkie gałązki kładły się na rwącej wodzie z płochliwym, ostrożnym wdziękiem. Spływały z wodą w dół, czarownie uległe, by naraz wstrząsnąć się, unieść w górę i do macierzy powrócić. Zalotnie płoche, zwieszały się znów ponad wodą, czekając, rychło śmielsza fala je zabierze... Zielony mech spływał po brzuchatych głazach aż do samej wody. Wymyte korzenie olch wiły się u brzegu, jak koralowe węże. — Choć dzień był gorący, lipcowy, od wieczystego cieniu borów bił na jadących przejmujący chłód. Czerń lasu, pokruszona na tysiączne złomki, padała w wodę głęboko, sięgając gdzieś bezdna, porwana prądem płynęła razem z łodziami. Sunęli po tym odbiciu puszczy, niby po dziwacznie pokrzywionych czubach drzew, po skrawkach lazuru, coraz to szybciej i szybciej. Na zakrętach biała piana czepiała swoje warkocze do czółen.

— Hany, Trzy Korony! — rzekł krótko Hołeksa, ukazując Osterodemu wynoszący się ku niebu ponad borami szczyt.

Lewy brzeg wzniósł się wysoko, wywalając, niby trzewia ziemi, szare i czerwone upłazy. Las uciekł wyżej, wisiał frędzlą czarną w górze. Zatoczyli szeroki łuk wokoło łąki zielonej, wyspy niskiej, kaczeńców i wikliny pełnej. Niespodziana łagodna jej zieleń, miękki zarys obłych brzegów, upieściły oczy, dodały otuchy... Już ją minęli; pozostała w tyle, jak przystań bezpieczna — stracona. Prąd wzmagał się, pędził, huczał. Spieniona woda bryzgała

wokoło czółen. Po obu brzegach rzeki wieżyce, kasztele skalne, wzniosły się, dźwigły prostopadle w górę, bliskie, dyszące swą grozą. Oko struchlałe, bezsilne, zsuwało się po przeraźliwej spadzistości murów, nie mając gdzie się uczepić. Po prawej ręce, ukryta w ciasnym wąwozie, mignęła wieża klasztoru, niby przypomnienie, że Bóg i nad tą pustacią panuje. Z lewej wyrosła, zasłoniła niebo, przytłoczyła wszystko wokół, zębata turnia Trzech Koron. Woda wlewająca się w ścieśnioną gardziel gór, bróżdę, skałubę straszliwą, przeoraną skroś skał żywych, stłoczona zewsząd tęgimi biodrami grani, — ryczała z bólu i trwogi jak buhaj, pluła pianą, dusiła się i cofała, by wtargnąć znów do wąwozu, przedrzeć się, wyrwać, wyzwolić. Niecierpliwe stopy fal w tym samym miejscu drepczące od wieków, wyżłobiły w skale przepaść, głębinę zawrotną, gdzie nurt zawracał się spodem, by kłębem, wirem, wychynąć z szumem złowieszczym na górę. Ze skalnego ganku wilgotnego od wściekłych zasięgów rozjuszonej wody, zwieszała się kępa rozkwitłego złotogłowiu, pochylając bezwładnie w dół przecudne, kruche kielichy, — niby czarowny obraz ulotnego piękna w obliczu grozy prawie wiekuistej. Zgiełk wody wzrastał zajadły. Odbite silnie żerdziami od skały, czółna runęły wprzecz wiru pod groźnym murem Grabczychy, zalane wodą przemknęły rączo przez Zbójecki Skok. Po obu stronach zacieśnionej rzeki, na płaskich głazach, czerniały zacięcia, dokąd który z junaków doskoczył. Hołeksa uśmiechnął się wspomnieniom dawnym. W pamięci mignęła białość cuchy, rozwiewającej się u ramion w skoku... Już byli daleko, uniesieni oszalałą wodą, co niosła wprost na zamykające wąwóz szare cielsko skały. U stóp jej, roztrzaskane na tysiączne bryzgi fale wyły rozpacznie, kłębiły się i znów zwierały w napaści. Zbójnik i stary tracz nastawili żerdzie, czekając. Pan Osterode, uczepiony kurczowo czółna, półżywy z trwogi, zamknął oczy. Blady był jak jego kryza. Wydany

szaleństwu wody, czuł się słabym, bezradnym i nędznym. Gdy łódź, odbita od skały, musnąwszy dnem zdradne progi, wypadła znowu na środek, otworzył strwożone oczy i nieśmiało, z lękliwym podziwem, spojrzał na obu górali. Stali krzepko prości, mocni, zbratani w jedno z żywiołem. Pozazdrościł im gorąco. Cóż znaczyła jego wiedza, nauka, biegłość w wywodach, dysertacjach, sylogizmach? Na co by mu się tu zdały?...

Nagle wstrząśnienie przerwało bieg myśli. Czółna, dygocząc i trzeszcząc, stały przyparte do stóp Facimiechu, ciśnięte doń całą siłą wody. Stachura zarzucał spokojnie łańcuch o wypuklinę głazów.

— Wyłaźcie panocku! — rzekł Hołeksa.

Pan Osterode niczdarnie wyszedł z łodzi i stanął na obślizgłych kamieniach. Nogi drżały pod nim z emocji po przebytej drodze, a w oczekiwaniu nowej. Po co tu stanęli? Gdzie pójdą? Niemożliwe przecież, by mieli piąć się po caliźnie posępnej turni, wznoszącej się nad ich głowami w piętrach i uskokach. Pobladł, zoczywszy wąziutką, ledwo dostrzegalną perć, odchodzącą w bok zakosem. Stachura już na nią wszedł...

Nie było rady. Mając za plecami wściekły warkot głębi wodnej, pan Osterode ruszył z rezygnacją w przód, usiłując nie myśleć o niczym. Łamiąc się ze zgubną chęcią spojrzenia w dół, poza siebie, starał się dla uspokojenia przypomnieć sobie treść ostatniego dzieła Andrzeja Wolana albo ministra Paklepki. — Daremnie! Więc ilość rozdziałów we własnym dziele „O Bóstwie Chrystusa"... Na próżno! Słowa, nazwy, twierdzenia, brzęczały w mózgu beztreściwe, puste, niby obce. Utkwił znękany wzrok w śmigające przed nim kierpce zbójnika. Stąpały lekko, pewnie, tanecznie. Widok ten dodał mu nieco otuchy, którą potęgował spokojny, miarowy krok tracza Hołeksy, idącego z tyłu. Pot, którego nie śmiał ocierać, by równowagi nie stracić, ściekał z twarzy kroplami na wy-

miętą i zbryzganą kryzę. Jednakże szedł, innego wyjścia nie widząc.

— Nie prec — zauważył góral; — dym słychać...

Jakoż po niecałej godzinie jeszcze straszliwej (zdaniem pana Osterodego) wędrówki wyszli na szczyt góry Zamkowej. Zwaliska niedostępnego niegdyś zameczku królowej Kingi, rozbitego na szczęt przed półtora wiekiem przez husytów, sterczały wśród iglic skalnych. Z warownej niegdyś stróży pozostały jeno szczątki, ledwo dające schronienie przed deszczem, porośnięte bujnie zielem. Poza zamkiem, w miejscu zwanym Ogródkiem królowej, palił się ogień, warzyła zupa w kotliku. Kilkunastu zbójów siedziało wokoło.

Pana Osterodego, gdy wyszedł na wierzch, uderzył w piersi wiatr górski, po wierchach polatujący, mocny jak stare wino, rzeźwy i wonny niby dech swobody. Uderzył znagła, mało z nóg nie zwalił. Trzymając niezdarnie ulatujący z głowy kapelusz, zbliżał się nieśmiało ku siedzącym. Harnaś Kwoczka olbrzymim wzrostem górował pośród nich. Pan Osterode rzucił w bok oczy, zgłupiał, przystanął... Grabianka Jadwiszka siedziała skromnie na uboczu, zapatrzona w dalekości gór. Wydała mu się przedziwnie piękna, rzewna i melancholijna. Splecione dłonie bezwolnie opuściła na kolana. Obojętna wszystkiemu, zdała się nie widzieć jego obecności. Niewymowna tęskliwość i smutek biły z jej zadumy.

— To je ten Miemiec, co wiedzom — objaśniał harnasia Hołeksa.

Przywrócony do rzeczywistości, pan Osterode oderwał wzrok od dziewczyny i kłaniał się nisko hetmanowi zbójeckiemu. Kwoczka, odwykły z dawna rozporządzać się sam, zerkał na grabiankę oczekująco, zdziwiony niezwykłym jej zachowaniem się i obojętnością. Widząc, że milczy uparcie, odwrócona, zdecydował się przemówić.

— Som tu jeich krzynki, owsem. Dadzom trzysta —

(spojrzał na grabiankę pytająco) — trzysta czerwonych i mogom zabierać z Panbogiem...

— Gdzie są? — zapytał Osterode.

— Hany, w Sobcańskim wąwozie...

— Te same to aby skrzynie? Rad bym je wprzód obaczył...

— Hale! nie cygany my! — fuknął gniewnie zbój; — Kces, to płać, — a nie, to idź do stu bucków!...

Grabianka podniosła głowę.

— Czemu, mości hetmanie, nie chcecie zezwolić panu, by najpierw oglądnął skrzynie? Co wam to wadzi? — rzekła łagodnie. — Kto wie? Może są nie te, co myślał?

Zbóje spojrzeli na nią oniemiali, szeroko rozwierając gęby. W tym głosie, w tych słowach, kryło się pewnikiem coś niesłychanie przemyślnego, coś, czego pojąć nie mogli. Kwoczka wezwał Neściorka.

— Prowadź ich... niech se popatrzom.

Pan Osterode poszedł za przewodnikiem, oglądając się raz po raz na piękne zjawisko. O mało przy tym nie upadł, bo droga była dość stroma.

— Kto ta pani? — spytał nieśmiało zbója, gdy stracili obóz z oczu.

— Czarownica, bodaj zdechła! — mruknął, spluwając, Neściorak.

Urażony w swym zachwycie, nie pytał więcej. Przeszli szeroką halę, utkaną przepychem nigdzie indziej nie rosnących kwiatów, i schodzić zaczęli w wąwóz. Zrazu szeroki, zamknął się, ścieśnił wśród skał. Gdzie niegdzie, po szarym cielsku niebosiężnych ścian, spływała jasna smuga piargu, niby piorunowa rana. Wielkie paprocie czepiały się szczelin. W głębi wąski otwór, podobny bramie skalistej, ukazywał słoneczny dzień, wieżę klasztorną i szczyty gór leżących po przeciwnej stronie rzeki.

— To zbójniki wyrąbały siekierami, zeby miały wy-

chodek na świat — rzekł z dumą Neściorak, ukazując ręką przejście.

— Kiedy? — zapytał pan Osterode, oszołomiony.

— Nie wiada... Dawno kajś... Stare tak gadajom...

Po prawej stronie czarna rozpadlina skalna ziewała chłodną wilgocią. Z drobnym, trwożliwym pluskaniem uciekał z niej srebrnym galonem poniczek, biegł w dół, śpiesząc się ku rzece.

Neściorak przykląkł na wilgotnym mchu.

— Tu — rzekł, krzesząc pracowicie ognia.

Przy słabych blaskach iskier, pan Osterode dojrzał, że wejście rozszerzało się dalej i tworzyło grotę. Wsunął się za zbójem na czworakach w zimną, niewiadomą czeluść, szepcąc w duchu słowa psalmu. Mokre, ostre kamyki uwierały w kolana nieznośnie. Neściorak znów krzesał ognia.

— Na! majom je tu sytkie śtyry... Mogom stanąć; tu wysoko...

Wyprostował się z ulgą, i posunąwszy krok dalej, zmacał rękami utracone skrzynie. Neściorakowi udało się zapalić łuczywo. Przy świetle, Osterode widział teraz swe skrzynie wyraźnie. Stały rzędem, pokryte rdzą, lecz nieuszkodzone. Podniósł z trudem opierające się wieko. Ołowianki leżały w swoich przegrodach, te same.

— Kcieli my to zrazu cisnąć do Dunajca — mówił zbójnik, — ale ta (mruknął plugawe przekleństwo)... nie zezwoliła...

Pan Osterode, zapominając o wszystkim innym, zanurzył z rozkoszą palce w pierwszej skrzyni. Tępy chrzęst wilgotnego, zimnego ołowiu zdał mu się cudną muzyką, milszą niźli wszystkie inne. Wyjmował poszczególne czcionki, składał z pieszczotą na dłoni, widząc je już ułożone w szeregi liter, myśl jego wyrażających... Nareszcie!

Neściorak patrzył na niego wzgardliwie.

— Dólski głupiec — mamrotał, zduszając łuczywo.

— Jakże ja je stąd zabiorę? — zakłopotał się naraz uczony, z żalem przymykając wieko.

— Zapłacom, to odniesiem — odparł krótko zbój.

— Wiele?

— Na wierchu im powiedzom — rzekł Neściorak, cofając się do powrotu.

Pan Osterode cofał się za nim na czworakach. Odetchnął radośnie, wyszedłszy. Słońce zachodziło kędyś za wieżą klasztorną. Dno wąwozu zalegał już półcień, z wilgotnych głazów powstawały białe mgły. Przeciągały niby senne, wirowały i opadały z powrotem, jakby zbudzone za wcześnie.

Sapiąc i świszcząc, niczym miech kowalski, podążał Osterode pod górę za zbójem, pogrążony w bliskich urzeczywistnienia marzeniach o sławie pisarskiej, rozgłośnej. Naraz podniósł głowę zdumiony. Neścioraka nie było. Przed nim stała piękna panna, widziana poprzednio przy ogniu. Zdjął śpiesznie kapelusz, w głowę zachodząc skąd się zjawiła tak nagle. Ani słyszał jej nadejścia, ani zauważył rozkazującego gestu, którym odprawiła Neścioraka ku obozowi. Plecy zbója ginęły już za wzgórzem. Stali naprzeciwko siebie, sami.

Oszołomiony i zmieszany, pan Osterode obciągał kusego kaftana, poprawiał nerwowo zmiętą kryzę i szurał raz po razu po trawie kapeluszem, płaczącym rozfryzowanymi od wilgoci wąwozu piórami.

— Jakże mam Bogu dziękować za łaskę chwili sposobnej ku rozmowie z Waszą Miłością — rzekła grabianka słodkim, przejmującym głosem.

— Mowę straciłem, darmo zgadując, które bóstwo Olimpu raczyło stanąć przede mną? — odparł dwornie.

Roześmiała się cicho, przesmutnie.

— Bóstwo Olimpu! Wasza Miłość! Ofiarę nieszczęsną widzisz, ofiarę losów srogich a nielubnych... Lecz chodźmy dalej, bezpieczniej tam gadać...

Poszła przodem, stąpając lekko i zwinnie jak koza po stromej, osypującej się ścieżce. Pan Osterode kroczył ostrożnie za nią, starając się powstrzymywać głośną sapkę. Z wrażenia i ciekawości nie zważał, dokąd, ni jak długo idą. W pewnej chwili oblała go łuna zachodu, — suknia idącej przed nim dziewczyny rozjarzyła się złociście, zalśniła gorąco... Spod nogi wionęła pustka: Zbladł śmiertelnie, chwytając się kurczowo skały.

— Nie lękaj się, Wasza Miłość; tu perć pewna, jeno że ostro zawraca... Można iść.

Zniknęła za złomem skalnym. Bez tchu, przylgnąwszy do ściany, posuwał się za nią. Ścieżka okrążała występ głazów, łamała się pod kątem prostym i ciągnęła dalej, szersza już nieco istotnie. Znajdowali się poniżej Okrąglicy, najwyższego ze szczytów Trzech Koron, na wygięciu zwanym Siodłem. Za plecami mieli stromą, nagą zwartość skały. Spod nóg uciekała przepaść prostopadle w dół. Skok jej był tak nagły, niesamowicie urwany, trwożliwym skurczem serce chwytający, że wzrok obawiał się rzucić w nią ołowiankę spojrzenia, nie wiedząc, zali nie ściągnie go za sobą w dół, nie sięgnie skroś wnętrza ziemi. Szczyt wierchu, igła polotna, sterczał nad nimi wysoko pod niebem, śmiały i smukły jak zakończenie gotyckiej wieżycy. Słońce złociło jaskrawie iglę, szczyt i ścieżkę, lecz z dołu podejmowały się już ciemnofioletowe chmury i podpełzały ku górze, zakrywając czeluść straszliwą otchłani. Kędyś, w głębinie ciemnej tych obłoków, huczała pod kamieniami woda. Wśród ciemni borów rozlanych po szczytach wyrastały nagie, białe, gorejące od zachodniej zorzy skały. Samotne,dziwaczne, „babami“ zwane, wznosiły się ni to posągi, miecze gorejące, lub kolumny jakichś pradawnych zamków, przez olbrzymów, w górach żyjących, stawianych. W dali, za Górą Klasztorną, widniała Spiska Magóra, Tatry schodziły zębatym wieńcem ku Orawie. Słonił je już mrok błękitny. Ścichły na

uroczysty moment zachodu wiatr — powstawał niecierpliwy pośród kłębów chmur, uderzał skrzydłem o góry, i znów przepadał, czekając, rychło się słońce za wierchy zanurzy.

Uczony mąż, wsparty plecami o ścianę, patrzył na te górskie dziwy, i grube łysty drżały pod nim jak w zimnicy.

— Możemy tu śmiało mówić — uśmiechnęła się do niego smutno grabianka. — Pytasz Wasza Miłość, ktom ja jest? Nieboga, w przeklętą godzinę zrodzona... Opowiem krótko, bo czasu mamy niewiele... Grabi Paryshazego z węgierskiej strony jestem córką... rodzice moi papieżnikami są zagorzałymi, gdy ja osobliwą łaską Boską światło prawdziwej wiary chrystiańskiej poznałam, tajemnie ją przyjęłam i do dziś wyznaję... Pan ojciec, wykrywszy to, żywcem mnie w lochu zamurować chciał...

— O Boże! — jęknął słuchacz.

Spojrzała nań przez zasłaniające twarz palce z zadowoleniem.

— Bodaj byłabym wówczas ową śmierć męczeńską mężnie przyjęła... Niestety! Trwoga przemogła... Zbiegłam w niedostępne góry, Bogu żywot i dziewiczy kandor polecając... Po kilku dniach, zgłodniała i słaba, wpadłam w ręce zbójów... Biada mi! Od tej pory w jasyrze ich pozostaję... Niewolnicą jestem, służką,... Tkliwe moje serce na rozbój ustawiczny musi patrzeć, na łzy, na krew ludzką... Biada! Biada! Zbiec nie lza, chybaby się w te oto flukta groźne cisnąć... Pan ojciec przez zemstę niegodziwą rozgłosili wszędy, żem z kochankiem do zbójów uciekła... Pojmać mnie i na zamek odstawić kazali... Oto moja dola!... Szczęśliwam, że choć raz pierwszy użalić się przed kim mogę... Z ufnością się zwierzam, od człowieka przysłanego zasłyszawszy, żeś Wasza Miłość też prześladowanym prawdziwej wiary wyznawcą... O jedno pro-

szę: westchnijcie za mnie, nieszczęsną, przy wspólnej z bracią modlitwie...

Szorując plecami po ostrej ścianie, pan Osterode przysunął się ostrożnie, wpatrzony w nią z podziwem, współczuciem i czcią.

— Dostojna Pani — szepnął zdławionym ze wzruszenia głosem, — nie modlitwę, lecz ratunek trza co rychlej dać... Aby uwolnić się stąd, nie masz ofiary, której bym nie spełnił...

— Bóg zapłać!! — szepnęła rzewnie, — nie zawiodło mnie przeczucie... Spojrzawszy jeno w szlachetne lico Waszej Miłości, zdało mi się, że anioł wybawca się zbliża... O, pomóż mi wydostać się stąd, a sługą twoją będę korną całe życie!...

Kłoniła się, jak gdyby chcąc mu paść do nóg.

— Pani! pani! — bełkotał przejęty, szczęśliwy, lecz nie śmiejący się ruszyć, — mnie łaskę najwyższą uczynisz, pomoc moją biorąc, mnie podnóżkowi swojemu....

Patrzył na nią w zachwyconym uwielbieniu. Tak czarującej białogłowy nie spotkał nigdy dotychczas. Zapomniał do cna o celu swego przybycia, o skrzyniach z czcionkami... Ot, stara Mądrzycha umiała wróżyć, a nie przepowiedziała tej najcudowniejszej w życiu, niezwykłej przygody! Pożałował gorzko, że nie kupił od niej kapłoniego kamienia. Czułby się teraz niezwyciężonym, dziarskim, w męskim wdzięku nieodpartym, — miast sapać, stojąc lękliwie na drygających ze strachu przed przepaścią nogach!

Lecz jasnym było, że nawet po użyciu kamienia kapłoniego grabianka nie byłaby mogła milej nań patrzeć, niżli to czyniła. Powłóczystym spojrzeniem, raje rozkoszy obiecującym, obejmowała czule jego postać, i uczone a niezwykłe niewiast serce pana Osterodego topniało w słodkości jak wosk.

— Pani! — powtarzał, — co chcesz: fortunę, skromne

nazwisko moje, by cię od persekucji uchronić wszystko radośnie składam u twych stóp...

— Iście, poślubiłbyś Wasza Miłość niebogą wyklętą, sierotę?

— Klnę się na wszystko co święte, iż za szczęście największe będę to sobie uważał...

— Pomyśl w przód dobrze, co czynisz! Ścigana jestem... ojcowskie wyroki na mnie złożone po grodach...

—I jam także ścigany wygnaniec... Zbiegniem do Italii, abo do Danii czy Szwecji. Na razie u bliskich a pewnych ludzi się schronim... Jeno jak wymkniem się zbójom? — zagadnął naraz trwożliwie.

— To najmniejsza... Podłe to a durne chłopy, łatwo ich oszukać. Jutro rano pójdziesz stąd Wasza Miłość, nic po sobie nie pokazując. Ja ujdę później, nieznacznie; dogonię... Trzysta dukatów trza im dać, i za odniesienie czcionek wiele zechcą, ale nie frasuj się tym Wasza Miłość... Znam wszystkie ich kryjówki po górach, gdzie siła skarbów jest poukrywanych... Zabierzem później... Dość na tym złocie cięży krzywdy ludzkiej, by nie było cnotliwym uczynkiem zabrać i na chwałę Bożą a cele godziwe je oddać...

Chłonął oczarowany postać jej i słowa, brzmiące dla ucha niby niebiańska muzyka. Sam ich dźwięk upajał rozkosznie. Rad by ukląkł przed nią, całował jej ręce, lecz wąskość miejsca hamowała skutecznie zapały.

— Wracajmy teraz, ni słowem się nie zdradzając — mówiła grabianka. — Pieniądze daj Wasza Miłość bez obawy... Odbierzem je rychło i z nawiązką, jeno...

Nagły szelest nad głowami przerwał jej słowa. Odwróciła się — i drgnęła całym ciałem. Szybki jak ryś, harnaś Kwoczka zsunął się z góry na ścieżkę.

— Suko! — ryknął — gadzino! diabelska córko! gamratko!

I w furii straszliwej, zbywszy się zwykłego lęku przed

czarami, porwał ją w pół, rozmachnął, i cisnął w kłębiącą głąb chmur. Runęła z wrzaskiem okropnym. Stanąwszy na brzegu urwiska, harnaś patrzył za nią pilnie. Leciała po stromej ścianie z wyciem, czepiając się głazów, które ruszone, leciały wraz z nią. Czarne jej kosy rozplotły się w pędzie i wzniosły w górę jak ogon złowieszczy komety. Zapadła w chmury. Po długiej chwili z głębiny zleciał ostatni, zduszony krzyk i plusk wody... Słońce zniżyło się zupełnie, ścieżkę zalał siny cień. Obok patrzącego w dół Kwoczki stanęli rzędem nadbiegli za nim: Neściorak, Stachura, Hołeksa i Józwa.

— Zdechła — rzekł harnaś z ulgą. Zdjął czapkę i przeżegnał się pobożnie.

— Sczezła zmija, sczezł jej jad — dodał filozoficznie Neściorak, gdy Stachura, drobiąc nogami tuż nad przepaścią, jak w tańcu, krzyczał rozgłośnie:

— Hej chłopcy! zginęła wiedźma! Znów my są hyrne, swobodne zbójnicki, jak drzewiej!

— Ty, Miemiec! wstawaj! — zawołał Kwoczka.

Pan Osterode nic nie odpowiedział; wpół omdlały z wrażenia i zgrozy, leżał bezwładnie, oparty plecyma o ścianę, z wytrzeszczonymi przed siebie oczyma. Harnaś kopnął go pod żebro.

— Ty głupi! — rzekł. — Ponbócku dziękuj, żeśmy przyszli... A teraz zabieraj się precz...

Lecz pan Osterode nie mógł utrzymać się na nogach i leciał przez ręce podnoszącego go Hołeksy, jak kukła dziecinna, z której wypruto trociny, — wpół żywy z lęku i oburzenia. Przeraźliwy krzyk grabianki trwał przytomny w uszach. Piękna jej postać, rzewne spojrzenie, stały w załzawionych żalem oczach. Po toż, nieszczęsny, poznał słodkie ponęty niewieście, by je tak rychło i strasznie utracić!

Przed godziną jeszcze zniecierpliwieni zbójcy byliby go pewnikiem cisnęli w ślad za nią, pokłonić się od nich

dunajcowym pstrągom, — lecz niespodziewane wyzwoliny wróciły im zapomniany dawno dobry humor. Wśród śmiechu i kpin stary Hołeksa wziął uczonego męża na plecy, niby barana, i poniósł ku obozowi. Reszta szła za nim, śpiewając, po raz pierwszy od wielu miesięcy, a rozgłośnie, aż echo grzmiało od Hukowej Skały:

Hej Janicku serdecko,
Kaześ podział piórecko,
Com ci dała?...

Harnaś Kwoczka nie śpiewał. Szedł na końcu, oglądając się z niepokojem na czarną głębię przepaści. Po wierzchu snuły się jeszcze błyski złociste i płowe, lecz w głębi legła już noc. Harnaś przesunął dłonią badawczo po karku, zamachnął ramieniem jednym, drugim. Z radością stwierdził, że nie czuje żadnych czarów. Żadna zmora nie podłaziła ku niemu w ciemności. Przeciwnie, — czuł się wesół, rzeźwy i swobodny.

— Z nagłam ją chycił i nie zdązyła zazionąć — pomyślał z otuchą, doganiając idących przodem towarzyszy.

ROZDZIAŁ VI

BEZ DOMU

Kulawy dziad-proszak Jaroszko rozejrzał się badawczo po obozie, otrzepując z siebie wilgoć. Dzień był jesienny, mglisty. Flaga oślizgła, pluta osmętniała, nakryły świat szarą, beznadziejną płachtą. Rozmiękłe błoto chlupało pod nogami, błyszczało tępo w niezliczonych bajorach wśród kolein drogi. Niskie, szare niebo niby zwisający pułap leżało tuż nad szeroką, senną równiną podlaską, ciężkie wspierało się o szczyty drzew. Stada wron podrywały się z wrzaskiem na ścierni, czarną kurzawą obsiadały drogi. W oddali siny pas boru, zamykający zewsząd pierścieniem horyzont, ginął, roztapiał się we mgle deszczowej. Bliżej — pojedyńcze, na porębie stojące chojary-samotniki to wynurzały ciemne, rozczochrane łby, wysoko na pniach, sękami jakby szczeblami nabitych, wzniesione, — to znów, niby cofające się, ginęły za burą płachtą niebieskiego rozlewiska... Sam Jaroszko, spłowiały, zgrzebny dziad parciany, zdawał się być uosobieniem żywym tego deszczowego dnia. Ze strzępów rudo-szarej sukmany ściekały strużki wody tak obficie, jak gdyby płanetnikiem był, obłokiem, na chwilę jeno kształt ludzki mającym, co wnet rozpłynie się wodą.

Tupnął nogami, rozbryzgując krople w koło, i rozejrzał się ponownie. Obóz zdawał się pusty, bo ludzie siedzieli zawarci w namiotach — śpiąc, lub klnąc psią pogodę. Nie zrażony tym jednak dziad wyprostował się, wypiął pierś, i uderzywszy przeraźliwie w mosiężne struny wydobytej spod sukmany bandurki, zaśpiewał lękliwym głosem:

Boże z nieba wysokiego,
Twórco świata szyrokiego,
Racz się nad nami zmiłować
A ten gniew swój uhamować.

Niesłychane to nowiny,
Żeby jednej matki syny
Widział kto w tak srogim boju,
Wychowawszy je w pokoju...

Z najbliższej, na wpół rozwalonej chaty Sebastian Pielsz wytknął głowę i słuchał w milczeniu. Śpiew — ni to śpiew, ni to skomlenie — zdał mu się być, podobnie jak dziad, ucieleśnieniem słoty. Żałośnie przeciągła, jednostajna nuta dzwoniła wilgocią w odzież, w buty — rozprzęgła mięśnie i nerwy.

Zachęcony uwagą słuchacza, dziad zawodził jeszcze donośniej:

Brat na brata rodzonego,
Synowiec na stryja swego,
Kopiją śmiele uderzy,
Do boku z muszkietu zmierzy.

Nieprzyjaciel serce swoje
Cieszy, słysząc niepokoje...

— A pódziesz zdechlaku! psi synu! gidzie obrzydły! Szelmo! wywłoko! hultaju! — wrzasnął naraz pan Wąsowicz, wyskakując z sąsiedniej kwatery. — Kanalia podła! Szpieg Chodkiewiczowski!... Brać go, chłopcy, i tęgi basarunek wlepić!... Nuże!!

Nie przestawał krzyczeć. — Dwóch pachołków smyrgnęło już niby ogary, lecz żebrak, nie czekając, przerzucił bandurkę na ramię i kopnął się żywo, jak gdyby nigdy

nie kulał. Nie przystanął, aż w szczerym polu, za obozem.

— Chto ich teper znaje? — mruczał ze złością, — rokosze ce, ili konfederaty?... Czełowiek dumał, szczo konfederaty, a ot... Sochroni Bih!...

Splunął, obciągnął sukmanę, i obszedłszy obóz naokoło, zaszedł z przeciwnej strony, by tam zaśpiewać właściwą już pieśń.

Sebastian cofnął się w głąb swojej izby i usiadł na stołku z pięściami pod brodą. Czemu Wąsowicz przegnał dziada? Wszak prawdę śpiewał, szczerą prawdę:

Niesłychane to nowiny,
Żeby jednej matki syny...

Ano tak, tak!... Wzdrygnął się i skulił pod wrażeniem nagłego wewnętrznego chłodu. Był zniechęcony ostatecznie i rozbity, goniący resztkami woli. Półtora roku mijało, jak tkwił w obozie rokoszowym. Półtora roku męczył się w śmiertelnej nudzie, wykolejony, wytrącony ze swego życia, rzucany kapryśnym biegiem wypadków wzdłuż i wszerz całej Rzeczypospolitej. Przywykły do ciągłej pracy, rzeźwych świtów górskich, twardego, zdrowego snu,— gnił bezczynny, truł się i gorzkniał z każdym dniem. Gwałt, jaki zadał samemu sobie, by zaraz w pierwszych miesiącach nie odbiec rokoszu, — nie przyczynił się w niczym do polepszenia sprawy, i to zwiększało gorzkość, z jaką patrzył na klęskę zeszłorocznych marzeń. Odeszły go już najtrwalsze, ostatnie złudzenia.

A łudził się długo. Po nieszczęsnej guzowskiej nie uciekł jak inni do domu, lecz, uparty i zawzięty w swych postanowieniach, cofnął się z wojskami Radziwiłła i Herburta do Lublina. Tam z milczącym lecz surowym oburzeniem patrzył na skwierk i gwałt mieszczan, obłożonych bezprawną, a tatarską iście kontrybucją. Gdy później

Żółkiewski chwycił i uwięził Herburta, a Zebrzydowski opuścił cichaczem bezpieczne schronienie u Bernardynów opatowskich, gdzie dwa miesiące z górą przesiedział, — Sebastian wraz z innymi niedobitkami Herburtowymi przymknął ku niemu. Wojewoda krakowski skupił swych adherentów w Rykach, nieopodal znanej z poprzedniego zjazdu Stężycy. Stamtąd rozesłał po całym kraju uroczyste wezwania na sejm elekcyjny, na Woli w dniu 5 września odbyć się mający. Wysłany przezeń wraz z innymi Sebastian — jeździł, konwokował, namawiał, tłumaczył. Dla dobra sprawy naginał swą naturę odludka, przymuszał do funkcyj nieznośnych sobie i przykrych. Mimo jednak rzetelnych zabiegów wszystkich wysłańców, na elekcję zjechała tylko znikoma ilość szlachty. O pozorach bodaj sejmu nie było co marzyć. Sodomczyk, choć za zmarłego cywilnie ogłoszony, żył i tryumfował... Skoro, na dobitkę, w dogasającym rokoszu wszczęła się walka między Zebrzydowskim a Radziwiłłem o główne dowództwo, — Sebastian odszedł wojewody krakowskiego, przenosząc się do Radziwiłła, szczerszej opieki dla spraw wyznaniowych spodziewając się po nim, niżli po zelancie katolickim, Zebrzydowskim. Tu siedział pod Brześciem wśród kupy innych różnowierców, patrząc na ostateczny rozkład rokoszu.

Obóz brzeski nie przypominał już niczym zebranej poprzednią wiosną pod Sandomierzem, potęgi. Wielmoże cofnęli z dawna swe hufce, miękko obiecując przysłać je, gdyby zaszła tego potrzeba. Wolontariusze zapalczywi w pysku, zgodnie z przepowiednią Wadowity rozeszli się, wracając do domów i zaniedbanego gospodarstwa. Mizerne parę tysięcy pozostałych składało się albo z powsinogów, obijboków, nie mających kędy ni do czego wracać, — albo z posesjonatów, którzy naswawoliwszy zbytnio *in gratiam* swobody rokoszowej, woleli nie ukazywać się w rodzinnych pieleszach wcześniej, zanimby huczek

ekscesami ich wywołany nie przycichł, a złożone w grodzie pozwy nie poszły w niepamięć. Fanatycy, trzymający się uparcie sprawy dla samej sprawy, jak Sebastian, należeli do nielicznych, zagubionych w tłumie wyjątków. — Na domiar złego, Chodkiewicz wisiał nad obozem jak miecz Damoklesa, ściągnąwszy nieopodal ze swym wojskiem, w antyrokoszowy związek skonfederowanym... Ostatnia nadzieja, że kandydat do tronu Gabriel Batory wkroczy zbrojnie w granice Rzeczypospolitej i wesprze usiłowania ich z zewnątrz, — spełzła na niczym. Batory nie myślał ryzykować podobnej imprezy. Nie było co się łudzić: — rokosz dogorywał.

Sebastian wstrząsnął głową, jak gdyby opędzając ją z myśli niewesołych, — a wziąwszy machinalnie ze stołu wystrzępiony od częstego czytania zwitek papieru, zagłębił się w jego treści. Czytanie było u niego nowym nawykiem. Gdy swego czasu wojewoda krakowski wysyłał go z Ryk na Mazowsze, umawiać pod Warszawę panów braci, doradził mu zaznajomić się z treścią niektórych pism rokoszowych.

— Natura poskąpiła waści elokwencji — prawił, — przetoć radzę zaopatrzyć się w skrypta, których tutaj nie brak, i z nich argumenta co przedniejsze wyłuskiwać...

Sebastian skorzystał z rady, biorąc wcale grzecznie naręcze pism, broszur, paszkwilów, pamfletów i innych elukubracyj. Niewiele mu one pomogły w kaptowaniu stronników,lecz miał czym zapełniać sobie wlokące się zabójczo godziny. Zrazu, jako prostak z pismem niezwyczajny, sylabizował powoli, z trudnością chwytając sens zdań i mało krytycznie odnosząc się do treści. Powoli jednak oswoił się, pojął, przeniknął rozliczne intencje piszących; w nieskończenie długie dnie rozmyślając nad każdym słowem, biorąc pod światło sens jego, rację i potrzebę, dobił się własnego zdania, surowego kryterium, murowanego sądu o zawiłej dziedzinie tych spraw. Dojrzał i pogłę-

bił się. Zbywszy doszczętnie poprzedniego nieśmiałego szacunku i kredytu dla drukowanego słowa, posiał niedbale po różnych przygodnych kwaterach liczne „Dyskursa", „Responsy", „Rewersały", „Deploracje"; — nawet *Bazyliszka,* nawet *Trąbę na pospolite ruszenie przeciw jezuitom, Votum abo Ostatnią decyzję i Cenzurę konstytucyj sejmowych,* — nie widząc w nich dla siebie nic pożytecznego lub pociągającego. Na koniec została mu tylko jedna ulubiona broszura, wykładająca zgodnie własne jego myśli. Znał ją już całą na pamięć, lecz chętnie mimo to czytywał w chwilach przygnębienia.

I teraz, przerzuciwszy kilka stron, powtarzał półgłosem, wodząc poślinionym palcem wzdłuż wierszy:

„...Tedy rokosz jest *sacra ancora,* ostatnia obrona wolnej Rzeczypospolitej... Tedy ma mieć rokosz powagę większą od sejmowej i reprezentować całą Rzeczpospolitą... Wszystkie *in genere* potrzeby Rzeczypospolitej, na tym miejscu bez żadnego odkładania obmyślone, namówione i konkludowane być mają, *eo et alio scopo*... Ruszywszy się bowiem, wszystkiego nie zawrzeć, a furtkę nowemu rokoszowi ostawić, jest to rzecz *extremae dementiae*... Zaś pierwsze *gravisimum fundamentum,* którym wszelka naprawa zaczęta ma być: pilne przestrzeganie prawa. Od Króla Jegomości poczynając, do podstarościego, by się nikt w Rzeczypospolitej prawu uchylać, jako teraz widzim, nie ważył..."

Odłożył książkę, nagle zniechęcony, uderzony mimowolnym szyderstwem słów w stosunku do rzeczywistości. Z drwiącym grymasem spojrzał na samego siebie: Słota jest, tedy rad czyta, że pogoda winna być; ale deszcz pada, jak padał... Tak i tutaj... *Sacra ancora,* jedyna kotwica, ginącej Rzeczypospolitej... A jużci! Ładnie ona kotwica wygląda! Gdzież są owe wielkie idee rokoszowe? W co się obróciły? Czy w ogóle przyświecały kiedy komu-

kolwiek, prócz nieznanemu autorowi broszury i jemu, Sebastianowi?...

„Pilne przestrzeganie prawa"... Toć nic więcej by nie potrza, prócz tego jednego... „Prawa Rzeczypospolitej dobre są, równych nie mające, jeno obserwacja ich szwankuje" — przypomniało mu się nagle. Kiedy już słyszał te słowa? Prawda! Wszak kamień węgielny rokoszu, to, co w nim było jedynie sprawiedliwe, słuszne, nieodbite, zawarty był już dawno w owej instrukcji sejmiku bełzkiego, przez sędziwego Zamojskiego dyktowanej, — której szlachta w Sądowej Wiszni dosłuchać do końca nie chciała... Wielka myśl mądrej naprawy Rzeczypospolitej błysnęła w genialnej głowie kanclerza i zgasła z nim razem, nie znajdując po sobie prawego dziedzica. Wszystko, co rokosz dodał do skromnego postulatu p r z e s t r z e g a n i a p r a w a, było już jeno wypaczoną, krzywą nadbudową, dyktowaną pychą, osobistymi urazami, albo chęcią wywyższenia się i zysku...

Silniej niż zwykle, Sebastian poczuł gryzącą nostalgię za ludźmi, którzy, obcy podobnym pobudkom, pracowaliby istotnie nie dla siebie ni swej kasty, lecz dla rzeczy trwałych, większych, poza nimi i ich korzyścią leżących. Przejęła go żałość bezsilna, tęsknota za zgasłą wielkością kanclerza, bezinteresownością Farnowskiego, spokojnym rozumem nieznanego szlachcica, autora czytanej broszury, lub... (odegnał precz z niechęcią nasuwające się mimo woli jeszcze dwa nazwiska). Z takimi ludźmi pracować! Pod ich kierownictwo oddać się duszą i sercem!...

Drzwi skrzypnęły na drewnianych biegunach, puszczając pana Wąsowicza, niby żywe zaprzeczenie tego marzenia. Komornik chęciński na przekór jawnej niechęci Sebastiana zaszczycał go niezmienną i natarczywą przyjaźnią.

— Co waść tu siedzisz niby dzik?! — zawołał od pro-

gu; — chodź do kompanii... Na pociechę przy tej plusze rzniemy haniebnie w tryszaka...

— Bóg zapłać; dobrze mi tu — odparł Sebastian.

— Chyba jakowyś afekt skryty dręczy waszmości, boć nie do wiary, by człek młody kameduły figurę prezentował, abo książką się, jako bakałarz czy kauzyperda, zabawiał?... O dla Boga! A toż co? — przerwał sam sobie, otwierając szybko drzwi.

Wyjrzał na drogę. Konny w barwach radziwiłłowskich jechał, trąbiąc przeraźliwie. Z wszystkich namiotów wyszczneły się ciekawe głowy.

— Mości panowie towarzysze! — wołał jeździec, — Jaśnie Wielmożny Marszałek wzywa Ichmościów łaskawych na majdan. Poselstwo umyślne przybyło od cara Dymitra!...

Pojechał dalej trąbiąc.

Zaciekawieni słuchacze ogarniali się szybko, narzucając burki i kapuzy, przypasując szable. Poszli kupą w głąb obozu, rozprawiając żywo.

— Cara Dymitra, cara Dymitra!... — przedrzeźniał pan Kazimirski. — Cygan, nie żaden Dymitr, otworzyście mówiąc...

— A pierwszy może był inny?

— Tamten jeden oszust, a ten drugi...

— Gdzie zaś! ten sam! — oponował żarko pan Rudnicki. — Jeszczem w sierpniu łońskiego roku w Samborze był, gdy on się do teści swej, wojewodziny sędomirskiej, schronił... Tamem go i widział parę razy...

— Ten sam-ci był?

— Nie widziałem tamtego na oczy, więc przysiąc nie mogę, ale teścia go uznała i pismo do papieża słała, że tenże jest zięć jej cudownie salwowany. Rychtyk Bołotnikow, wielki wojewoda, zjachał, od Wenecjan z galer turskich wykupiony. Obediencję mu składał i zaraz w

Siewierszczyznę ruszył, powszechność przeciw Szujskim animować...

— Bołotnikow, na galerach będąc, także pierwszego znać nie mógł...

— Nie nasza głowa, panowie... Ten, czy inny, poselstwo może być arcyważne. Znosili się z nim nasi panowie, koronę mu ofiarowując... Może w tej materii są nowiny?...

Majdan zapchany był ludźmi, brnącymi po kostki w błocie. Poselstwo carskie reprezentował jeden tylko człowiek, pan Zerstinowski, szlachcic zmoskwiczony, który jeszcze czasu posłowania Lwa Sapiehy do Borysa Godunowa w Moskwie został. Wśród ogólnego, natężonego milczenia kończył odczytywać list carski:

„Wy tedy, panowie rotmistrze i towarzysze, do nas zjedźcie się, k'Naszemu carstwu, w sławny zamek Starodub, służyć Nam, Wielkiemu Caru Dymitru Joannowiczu. To wam piszem od Naszego prześwietłego lica... A jako będziecie przy Naszym Carskim Wieliczestwie. My was pożałujem swoim pożałowaniem... Zjechawszy w ziemię sławną moskiewską, stancje najdziecie wszędzie nagotowane. Diengi zapłacone będą z góry. Po czemu płaci król Zygmunt, w trójnasób płacić się obowiązujemy"...

Gdy skończył, kłaniając się audytorium, pan Wąsowicz przysunął się ku niemu.

— Gadajno waść — zagadnął poufale, — jeno na słowo szlacheckie: prawy to Dymitr, czy łgarz?

— Dawniejszy, czyli też nowy? — poparł Kazimirski.

— Waszmościowie — odparł sucho Zerstinowski, — takowe ekstrawagancyjne suspicje są dla mnie zgoła niepojęte. Cała Moskwa *unanimiter* wita swego hosudara...

— Oj, nie cała, boby tu waści nie przysłał, potrójną kopę obiecując...

— Słyszałem — wtrącił pan Budziło, — że panowie

towarzysze Sienkiewicz i Zenowicz do Orszy trzeciego Dymitra sprowadzili...

— Do licha! Wieluż ich jest?

— Mylicie się waszmościowie — prostował z godnością Zerstinowski. — Do Orszy przybył nie hosudar miłościwy, lecz Piotruszka Fiodorowicz, niefortunnego cara Fiodora syn, carowy bratanek, równie jak hosudar cudownym zrządzeniem Opatrzności od siepaczy, przez Godunowa nasłanych, zratowany...

— Dziw, jak wiele cudów zdarzyło się w tej familii! — zauważył z przekąsem pan Chruślicki.

— Odmieńce chyba, że zawdy kogo innego w miejscu ich ubiją?

— Raczcie zważyć waszmościowie — przedkładał poseł, — jak ekstraordynaryjne warunki ofiarowuje w swej wielkiej szczodrobliwości hosudar: potrójna kwarta, wypłacona z góry...

— Ha, pomyślimy — mruknął Kazimirski.

— Panowie! — zawołał patetycznie pan cześnik Walawski, — wspomagając cara Dymitra Joannowicza, elekta naszego wspomagamy, *ergo* Rzeczypospolitej służymy...

— Jeszcze jedna ofiara na ołtarzu dobra publicznego złożona! — powtórzył cienkim głosem pan z Zimnejwody Leśniowski.

— Przestań waść! — oburknął szydliwie Budziło, — *bono publico* głowy nie zawracaj! Bez komedii! Pójdziem my, pójdziesz waść, bo dobrze obiecują płacić.

— Za siebie mów waść, nie mieszając sie w motywa drugich...

— Jaki mi Kato! Radzęć tedy zrzec się kwarty...

— Na dobro waści pewnikiem?

— Panowie bracia, ostawcie hadrunki — interweniował Wąsowicz, — lepiej nad propozycją carską debato-

wać... Nic dobrego tu nie wysiedzim. Mam doma wracać, wolej na wyprawę iść...

— Osobliwie skoro dom sąsiad już zasekwestrował — dociął pomstliwie Leśniewski.

—Idziemy, panowie bracia! za granicami niewdzięcznej Ojczyzny czekać jaśniejszych aspektów...

— Potrójna kwarta. A zdobycz?... Moskwa bogata....

— Książę Rożyński już pono ze swymi chorągwiami poszedł?

— Ja idę! — decydował się cześnik Walawski, — w sukurs carowi moskiewskiemu, da Bóg królowi polskiemu...

— Baczcie bracia, że jeśli *casus* podobny nastąpi, którzy go w niepomyślnych terminach wsparli, pierwsze mieć będą miejsce przy dworze...

— Sprawiedliwości nie byłoby inaczej!

— Da Bóg, wrócim z carem, pokażem sodomczykowi i hetmanom, gdzie raki zimują!...

— My będziem prawa dyktować!

— Moskwiciny chłopy ciemne: zawojujem, je, jako będziem chcieli...

— Ejże! — westchnął nieco sceptycznie Chruślicki,— tak samo gadali, którzy dwa roki temu pojechali...

— Nie bój się waść, z nami tak nie będzie....

— Ja pójdę — stentorowym głosem obwieszczał Budziło. — Kto więcej?

— Ja! — wrzasnął gruby Wąsowicz.

— Ja!

— Ja!

— Waść pójdziesz z nami? — zagadnął Sebastiana komornik chęciński.

— Uchowaj Boże — odparł tenże. — Ja powracam doma.

Odszedł z majdanu do siebie, reszta pozostała. Otoczywszy ciasnym kołem Zerstinowskiego, dopytywano

gwarliwie o szczegóły zaciągów, gwarancje wypłaty i siły aktualne cara.

— Wracam doma — powtórzył drugi raz Sebastian sam do siebie, i uśmiechnął się prawie pogodnie.

Iście, żaden skrupulat nie mógłby mu już rzec: ostań! Po co? Wszak koniec to był. Połowa obozu co najmniej pójdzie do Moskwy, to widać; reszta powróci do domów. Skończone!...

W upartej goryczy klęski ulżyła mu nieco świadomość, że zrobił, co doń należało, dał z siebie, wiele mógł, wytrwał na placówce do ostatniej chwili. Odpowiedzialność za nędzny koniec rokoszu nie spadała w żadnej mierze na jego sumienie. Wolny był; miał prawo wracać bez wstydu do domu.

Do domu! — pomyślał z rozkoszą, — choćby jutro, choćby dziś... Dziś nie zdąży, jutro do dnia....

Do domu!...

Dopiero teraz, spuściwszy nareszcie duszę ze smyczy nieustannie naciągniętej woli, uświadomił sobie, jak bardzo za tym domem tęsknił... Półtora roku! Jakąż radością zdrętwiałemu sercu będzie powrót!

— Hanka... Hanka... Hanka! — rozdźwięczało mu się nagle jak hejnał radosny, zdolny zagłuszyć nawet zgryzotę porażki.

Dawno już przestał wstydzić się tego uczucia, ani go krył sam przed sobą. Wyznawał je owszem śmiało, w niepojętym zdumieniu odkrywając co chwila, jak wielkim szczęściem jest miłowanie. Wśród nieznośnej udręki ostatniego roku, świadomość lubego jasyru, w który oddał, zrazu bezwiednie, potem dobrowolnie, serce, była otuchą, podtrzymaniem, jedynym jasnym promieniem. Bez buntu, z cichą radością, dociekał w bezsenne noce, skąd to kochanie się wzięło, kiedy zajrzało tajną szczeliną do serca, puściło w głębi podstępne korzenie i naraz buchnęło rozrosłe, przemożne, zwycięskie. Czuł się odmie-

niony, bogatszy i młodszy, dostępny tłumowi uczuć tkliwych, wesołych, pobłażliwych, których przedtem ani znał, ani rozumiał, w pogardzie je raczej mając. — Więc nie dziw, iż na myśl, że jutro pojedzie do domu, rozkołysała się w nim dusza niby dzwon. Daremnie karcił się za to, usilnie przywodząc na pamięć bolesne sprawy polityczne, które winny były być pierwszymi, a oto zbladły, osunęły się, zdrobniały zadziwiająco. — Hanka!... Hanka!... dzwoniło nadal w głuchych na wszelkie inne brzmienie uszach.

Położył się na swym tapczanie i, podłożywszy ręce pod głowę, śnił rychłą godzinę powitań. W monotonnym pluskocie deszczu dosłuchiwał się radosnej pobudki powrotu. Z wilgotnej szarości izby, z burej mgły czepiającej się ramy okiennej, wykwitły naraz lekko, wdzięcznie, zarysy rodzinnych gór, oblanych słońcem. Drgające nozdrza wciągnęły wonne wzdechy wiatru, mocny zapach jedli i siana, co wraz z widziadłem wtargnął falą do zatęchłej izby.

— Moje, moje!... — zaszeptał z rozkoszą.

Cofnęła się chyża myśl wstecz, ku wczesnej wiośnie na górach. Śnieg jeszcze grubym kożuchem przywala świerczki po wierchach. Pod przygiętymi gałęziami, niby w komnatce zacisznej, szarak z tęsknotą wypatruje wiosny. W dolinach kwitną szafrańce. Niezmierna mnogość ich pokryła śniegi... Szedł zimą gazda jakowyś, brnął pracowicie nieprzekopaną pierzeją, głębokie ślady nóg pozostawiając. I oto każdy ślad pełen jest dziś kwiatów. Wypełniają je po brzegi, przecudną liliowość płatków kładąc na krawędzi śniegu. Barwią się z dala odciski stóp czarodziejskie, jak gdyby przeszedł tędy jakiś wielki święty, pod którym ziemia z miłości kwiatami rozkwita...

Albo — jak gdyby przeszła tędy Hanka...

Wyobraził ją sobie brnącą pod górę ku zasypanej koszarze. Z trudem wyciąga drobne, smukłe nogi, odziane w

ciężkie, jałowicze buty. Wybucha śmiechem, zapadając wyżej kolan, chwyta pobliskie gałęzie. Pacyna śniegu spada na głowę śmiejącej się, na ciemnych rzęsach błyszczy pył srebrzysty... W modrych od głębokiego cienia śladach stóp pełno już kwiatów liliowych...

— Moja... moja... moja!...

Przymknął oczy, olśniony widzeniem. Chwile oczekiwane rozsnuły się przed nim, niby tęczowe weneckie paciorki. Nizał je na nitkę myśli, przebierał cicho, radośnie. Usnął, ani wiedząc kiedy. Sen-przyjaciel otworzył dalsze drzwi marzeniu, upieścił odludka. Widział się we śnie mownym, wesołym, swobodnym. Wzlatywał w szczęście jak ptak...

Nieśmiałe chrząknięcie zbudziło go nagle. W izbie zaczynało szarzeć. Podniósł głowę, a widząc w półmroku uśmiechniętą gębę Jaśka Dobrocieskiego, pewny był, że śni dalej.

— Na koniec ja panicza nalazł — mówił chłopak radośnie; — a to już, bywało, myślę: trza wracać z niczym do domu...

Sebastian oprzytomniał i zerwał się na równe nogi. — Matka umarła! — przeleciało jak wicher przez głowę.

— Co się stało?! — krzyknął. — Gadaj!

— Wszystko dobrze, zdrowi wszyscy — uspokajał chłopiec. — Pietrek... chciałem rzec panicz młodszy, list do panicza dali...

— List? — powtórzył Sebastian ze zdumieniem.

Jaśko wyjmował ostrożnie zza podszewki czapki zmięty, przepojony zapachem potu, skóry i sadła papier, i ukazał z tryumfem nietkniętą pieczęć.

— Alem się najeździł!... Pod Warszawą byłem... i w Rykach... i znów pod Warszawą...

— List? — powtarzał w duchu Sebastian, patrząc nań tępo, z nieokreślonym niepokojem.

— Idź Jasiek do szopy, gdzie konie; tam mój chłopiec jest... da ci jeść, boś pewno głodny...

— Dziękuję łaski panicza.

Wyszedł, rad z dokonanej tak szczęśliwie misji. Sebastian został sam. Ujął do ręki ostrożnie nierozpieczętowany papier, badawczo patrząc na dziecinne, duże pismo Pietrka. — Po co brat pisał? O czym, skoro wszyscy zdrowi? Co się wydarzyć mogło tak ważnego? Z nagłą decyzją rozerwał pieczęć i podszedł do okna.

„Miły mój bracie Sebastianie!

„W pierwszych słowach tego listu pozdrawiam cię braterskim pozdrowieniem i zapytuję, czy jesteś zdrów i jak ci się powodzi? Piszę ten list , aby cię zapytać, zali to prawda, że miłujesz krewniaczkę naszą Hankę i chcesz się z nią żenić, bo matka i stryj powiadają, że tak sobie miarkowali. A nie z ciekawości pytam, jeno że my oboje z Hanką miłujemy się okrutnie i pobrać się serdecznie byśmy radzi, a nie wiemy, co ty na to? Twoje prawo starszego pierwsze, więc choć nic nikomu nie gadałeś, pytam się ciebie ućciwie, odpowiedz kochany bracie, bo nam strasznie tęskno i nielubo w niepewności żyć. Jeżeli prawda, że Hankę miłujesz, tedy nie proszę cię wcale, byś mi jej ustąpił, sam czując, że gdyby mnie o to samo dziesięciu braci molestowało, łby porozbijałbym im, a dziewki nie oddał. Ale ty jesteś starszy brat, i prawo twoje. Dlatego proszę cię, odpisz szczerze, jak ona rzecz jest, to albo my się zaraz pobierzewa, albo ja do hetmana wrócę, a Hanka do klasztoru, prawi, pójdzie, — bo za ciebie nijak iść nie chce.

„W domu wszystko porządkiem ordynaryjnym idzie. Przybyło nam 22 owiec, w tym macior 13, a tryków 9. Pani matka zdrowi są,— o tym liście nic im nie gadałem. Stryjcowi pedogra dokucza.

„A teraz pozdrawiam cię uprzejmie, miły mój bracie, i Boskiej Opatrzności polecam, rychłej odpowiedzi wyglądając.

Piotr."

Szary kartelusz, dużym, dziecinnym pismem zapisany wysunął się z rąk i upadł z szelestem na ziemię. Sebastian stał nieruchomo, ogłuszony. Co było właściwie w tym liście?... Przybyło 22 owiec... macior 13... to dobrze... Matka zdrowi... Chwała Bogu... A więcej? A więcej?! co?... Miłują się... Hanka i Pietrek... Hanka i Pietrek... Hanka i Pietrek... miłują...

Siadł na tapczanie, niezdolny pojąć nic więcej jak te dwa imiona, najbliższe, najdroższe na świecie, jedyną dotąd radość życia stanowiące. Powtarzał je uparcie, nieskończenie, niby w bolesnym osłupieniu, niezdolny zebrać myśli, rozpierzchłych nagle jak ptactwo spłoszone rzuconym kamieniem.

Pytają się go ućciwie... Starszy jest... ma prawo... Niech wybiera... Co ma wybrać? Albo oni się pobiorą... (Pietrek i Hanka... Pietrek i Hanka... pobiorą się, Pietrek i Hanka...), albo on pójdzie do wojska, ona do klasztoru... Do klasztoru?... Katolickiego chyba?... I wiarę gotowa odmienić, byle za mnie nie iść... Cóżem jej złego uczynił? Słowa lichego nigdym nie rzekł...

— Boże! Boże! — jęknął głośno, — cóżem jej uczynił?!

Zacisnął wargi, aby nie skowyczeć głośno. Po raz pierwszy uderzyła go myśl, że nie zastanawiał się dotąd nigdy, czy Hanka jest mu wzajemna. Nie przyszło mu ot do głowy, by inaczej mogło być. Może dlatego, że nie było we zwyczaju pytać się dziewek o zdanie; może, nowicjuszem w sprawach afektów będąc, nie sądził, by zdarzało się uczucie nieodwzajemnione, szczęściem będąc jednemu, nielube i przykre drugiemu....

— A oto .. a oto... do klasztoru woli, byle nie za mnie.., Pisze brat: nie ustąpiłbym choćby mnie dziesięciu prosiło na klęczkach...A pewnie! pewnie! skoro cię miłuje... Nie ustąpiłbym i ja... Miłuje, klasztorem nie straszy... W tęskności żyją, jego decyzji czekając...

Leżał na wznak na tapczanie, zapatrzony martwo w zakurzony, krzywy pułap. Zatęsknił naraz dziecinnie, gorąco, za matką. Ulgę przyniosła świadomość, że nie wiedziała o liście. Nie należała do jego krzywdy, nie byłaby na nią zwoliła...

Gdybyż tu mogła być! Nie mówiliby nic do siebie, lecz sam fakt cichej jej obecności zdjąłby mu połowę ciężaru z duszy. Sam jest jak palec, bezbronny wobec nieznośnego terkotania, tnącego serce jak nożem: Hanka, Pietrek... Hanka, Pietrek... miłują się, Hanka, Pietrek!...

Co im odpowie?

Objął głowę rękami w rozpaczy. Prawda! nie dość samej wiadomości, trza jeszcze na nią odpisać. Powziąć okrutną decyzję. Własną dłoń zmusić do skreślenia słów beznadziejniejszych niż śmierć. Zabić swe życie. W głowie, oszołomionej dotychczas samym uderzeniem ciosu, zamajaczyło pierwszy raz pytanie: Co dalej? — Usiadł, patrząc w mrok przerażonymi oczami.

Co dalej?! Co dalej?!... Nie ma już domu. Nie ma dokąd wracać. W przeciągu jednej godziny, dom rodzony, przystań najdroższa, pociecha, ostoja serca, szczyt pewny, — rozwiał się, przepadł, sczezł... Nie ma go już i nie będzie. Jest jeno dom, w którym miłują się Pietrek i Hanka, z niepokojem oczekując jego powrotu. Nie czuł się na siłach, by tam powrócić. Może kiedyś, kiedyś, — nie teraz. Teraz za nic!... Lecz co pocznie? Domu nie ma... Omal nie zaskomlał żałośnie nad swą niedolą jak pies, czując się niby pies bezdomnym. — Wszakże odpowiedź dać trzeba. Dać szybko. Oczekują jej niecierpliwie. Wychodzą oboje przed bramę, słuchając czy Dobrocieski nie wraca.

Trzeba odpisać. Niech nie markocą się dłużej. Trzeba odpisać zaraz, bo jutro może sił zbraknąć...

Zwlókł się z tapczana i chodził po ciemnej izbie. Odpisać... Ale czym?... Nie miał przecie w kwaterze pióra ni inkaustu. Krzyknął na pachołka. Nie było go. Poszli gdzieś widno z Jaśkiem, częstować się wzajemnie. Zagryzając wargi do krwi, Sebastian zmógł się i ruszył do sąsiedniej, Wąsowiczowej kwatery. Buchało stamtąd światło, gwar i brzękanie szklenic. Wolontariusze moskiewscy, panowie Budziło, Walawski, Chruślicki, dwóch Kazimirskich, Wąsowicz, — siedzieli przy winie, ogadując przyszłe profita zamierzanej ekspedycji i niewątpliwie wawrzyny.

— Witamy! witamy! — wołał radośnie na widok wchodzącego gospodarz. — Siadaj waść, o wyprawie mówimy... Ot szkoda, że jechać z nami towarzyszu nie chcesz...

— Właśnie chciałem rzec waszmościom, że odmieniłem decyzję i pewnikiem z wami pójdę.

— Toś nam brat! Wiwat Pielsz

— Wiwat nowy kompan!

— Wiwat!

— Na Boga, coś waść tak przybladł?! Gęba jak u nieboszczyka!

— Febra mnie trzęsie z tej aury...

— Tercjanna to, ani chybi; o tej porze zawdy grasuje. Napij się waść na noc gorzałki grzanej z tłustością... Opuści jak ręką odjął.

— Maliniak lepszy, bo transpirację sprowadza.

— Uprzejmie wdzięcznym za radę... Rodzinę chcę o decyzji zawiadomić — zwrócił się do gospodarza, — i przyszłem prosić o łaskawe użyczenie kartelusza papieru, pióra i inkaustu...

— Ochotnie służę waści... Oto jest wszystko co potrza. U mnie jak w kancelarii, bo diariusz dla potomno-

ści codziennie spisuję... Listy wszakże napisz waść jutro, boć się nie pali nad głową, — a dziś siadaj popić z nami na szczęśliwą drogę...

— Dziękuję uprzejmie; nie mogę.

Skłonił się niezgrabnie i wyszedł w mglistą ciemność nocy. Rozkisłe, gęste lgnisko błota chlupało pod wlokącymi się ciężko nogami. Przystanął na drodze, patrząc nieprzytomnymi z bólu oczami wokoło. Obejrzał się na opuszczoną przed chwilą kwaterę, i na myśl, że będzie musiał iść z tymi ludźmi Bóg wie gdzie, do Moskwy (po co do Moskwy? co go obchodzi cała Moskwa!), tłuc się po cudzych drogach, po obczyznach, — ogarnęła go taka żałość, że rad by rzucił się w błoto i wył. Onże to pójdzie? On? — W co się postanowienia jego obróciły? Ślubował szabli się nie jąć, nawet we własnej obronie, a pójdzie bić się, sam nie wie z kim, ani o co?

— Nie pójdę — rzekł twardo sam sobie.

Lecz wnet opuścił bezradnie ramiona: Nie pójdzie do Moskwy? A gdzie? Co zrobi? Co pocznie? Gdzie się ukryje z swym bólem, gdzie się zatraci? Daleko musi wędrować, daleko, kędyś w północne mierzeje, lodowe morskie rozłogi, gdzie żaden głos, wiew żaden z kraju nie doleci... W pustce obczyzny, w głuszy zaprzepadłej, może zelżeje cierpienie... Uchodzić trzeba czym prędzej a skrycie, a szybko, jak uchodzi zraniony jaźwiec do jamy...

Ale odpowiedź! Ten list, co nań czeka!... Czy zmoże się, by go skreślić?... Musi!

— Pisz! pisz! — powtarzał sobie. — Przede wszystkim trza odpisać, a potem niech się dzieje co chce...

Wszedł do izby, zapalił światło, i siadłszy, pisał jednym tchem:

„Miły mój bracie Piotrze!

„Na twoje pytanie odpowiem szczerze, że chciałem się z Hanką żenić, ale skoro się Panu Bogu spodobało, że wy się miłujecie, niech się dzieje Jego wola. Możecie się

pobrać. Nie będę miał o to żalu niżadnego. Pani matce Dobrodziejce pokłoń się ode mnie serdecznym niskim pokłonem. Pozdrów też Hankę i stryja. Ja do Moskwy razem z innymi, jadę, cara Dymitra wspomagać, przeto nie spodziewajcie się mnie w domu skoro..."

Urwał, bo siły go opuściły, i oparłszy głowę na stole, rozszlochał się jak skrzywdzone dziecko.

ROZDZIAŁ VII

LATAWICA

Choć wrzesień dopiero był, gdy kupa ochotników rokoszowych zdecydowała się iść ku Moskwie, nie ruszyli się przecie aż wiosną następnego roku, a i to niesporo. Po części wstrzymywały ich zabiegi pana Gorajskiego i marszałka rokoszu Radziwiłła, usiłujących jeszcze wzniecić i ożywić dogasający rokosz, bodaj za cenę obcej interwencji, — przeważnie zaś obawa przed zimą. Już też bezpieczniej było lutą porą spokojnie w radziwiłłowskich włościach przesiedzieć, niż pchać się do głodnej i zniszczonej Smoleńszczyzny. Niech się chociaż trawa puści, by konie można przeżywić. Tymczasem zbierano gorliwie informacje, co do sytuacji nowego cara Dymitra; beznadziejna li jest, czy warta poparcia? Przepadnie, czy się utrzyma i będzie miał czym zapłacić? Wiadomości co do tego przychodziły sprzeczne. Wprawdzie oblegany w Tule wojewoda Bołotnikow, filar Dymitrowej potęgi, został uwięziony, a wojska zdziesiątkowane, lecz stojącego w Starodubiu cara zasiliły chorągwie książąt Rożyńskiego i Wiszniowieckiego, oraz kozacy Aleksandra Lisowskiego. Wszechwładny przy boku cara Miechowiecki słał coraz to nowe listy, nagląc rodaków, by przychodzili z pomocą prawemu, po dwakroć cudownie salwowanemu monarsze, wspaniałość jego pod niebiosa chwaląc. Już też skoro Miechowiecki, od paru lat najbliższy carskiej osoby, zaręcza, iż to jest carzyk ten sam — mawiali politycy brzescy, — musi tak być bez ochyby. Wiadomo zaś, że do rzeczy to był człek, kochający się w ludziach rycerskich.

Gdy wiosna wreszcie nadeszła, jęli się zatym wybierać. Ciągnęli jak sójki za morze, dyskurując, wiecując i radząc bez opamiętania. Szli kupą bezładną, co parę mil zapadając obozem, dla odpoczynku i nowych dyskursów, bez których, przez pół trzecia roku przywykłszy, nie mogli się obyć. Ciężką ręką pobierali z ludności samozwańczą kwartę, rachując ją sobie potrójnie, w myśl zapowiedzi Dymitra. Darmo rozsądniejsi przekładali, że w swoim są jeszcze kraju, nie moskiewskim. Gdy nareszcie końcem czerwca weszli w ziemie carskie, nieraźno im znów było małą kupą w nieznany kraj sunąć. Pilnie też wyglądali, czy inne ochotniki z Polski nadciągać nie będą, i ze szczerą radością ujrzeli nad rzeczką Łośminą obozujące wojska pana Jana Piotra Sapiehy, starosty uświatskiego, przesławnego kircholmczyka i wodza. Szedł on pod Moskwę, w sukurs Dymitrowi, w siedem tysięcy przedniego żołnierza, i chętnie panów byłych rokoszan zagarnął, do poszczególnych chorągwi ich przydzielając. Były to zaś chorągwie strojne, ćwiczone, karne, w boju straszne, na polityce nic a nic się nie rozumiejące.

Sam pan Sapieha, z przekonania, nie z sympatii bynajmniej do Króla Jegomości, regalistą był i zwolennikiem istniejącego porządku. Ciągnął na wyprawę nie jako rebeliant, ni rokoszanin pobity. Nie ścigały go kondemnaty lub zasłużona inwidia niczyja. Szedł z swobodnej dobrawoli, bujnej ochoty rycerskiej. Surowy senior rodziny, mądry kanclerz Lew Sapieha zgodził się na tę imprezę i funduszami dopomógł, w skrytej nadziei, że krewniak odzyszcze przy tej okazji włości Opaków i Jelnę w Smoleńszczyźnie, jeszcze za króla Zygmunta Starego utracone. Lecz dla młodego rycerza był to cel najodleglejszy, zgoła obojętny. Wywlokła go z domu nie chciwość, lecz żądza sławy i boju nieukojona. Kompanem serdecznym będąc Aleksandra Lisowskiego, tę samą niósł w piersiach, co on, wartką, niespokojną duszę, tęsknicę-zmorę dalekich prze-

stworzy i sławy. Posłyszawszy, że druh już pociągnął w pole, w rozległe, puste krainy, mężnej stopy zdobywcy oczekujące, — nic zdzierżył. Poszedł w ślad za nim. Jadąc na czele chorągwi, niecierpliwymi oczami sokoła wyglądał przyszłych swych czynów, z zapał zywością butną wzywał przygód, niebezpieczeństwa, tańców z śmiercią walecznych. Nie obejrzał się za Ojczyzną, przechodząc granicę, i nie byłby oglądnął się również posłyszawszy, że nigdy już tędy nie wróci. Cóż o to? Śmierć — kochanica żołnierska. Byle zarobić wprzódy dosyć sławy, nasycić nią duszę głodną!

Prowadził tedy pan Sapieha swoje pułki przez rozległe pustaci smoleńskie. — W ciemnych oczach, płonących wśród młodej, urodnej twarzy junaka, tliły się zamysły ważkie, szalone, ambitne, z których przed samym sobą nawet nie śmiał się jeszcze spowiadać. Uśmiechał się, spoglądając na swe pułki, swoją Argo. — Zaiste, czuł się Jazonem, po złote runo dążącym...

Rozpolitykowani panowie rokoszanie odetchnęli zrazu swobodnie, nalazłszy się w dużej sile; przecie po świętej wolności radziwiłłowskiego obozu niesnadno im było przywyknąć do surowej dyscypliny i żołnierskiego rygoru panującego w chorągwiach. Wnet po przybyciu zaprzysiąc musieli artykuły konfederackie, przez wojsko zaraz po przejściu granicy spisane, — srodze najlżejszą samowolę prześladujące. W ich też oczach osądzono na gardło panów Buskiewicza i Miłkowskiego, którzy, garść pachołków wziąwszy ku pomocy, przejeżdżających kupców ograbili. Buskiewicza ścięto; Miłkowskiego wyprosiło towarzystwo, bo kawaler był wielkiej fantazji i serca, choć wicher. (Za wstawiennictwo dziękując, przysiągł jakowąś wielką wojenną przewagą sławę odzyskać i miłosierdzie wypłacić). Pachołków, którzy wzięli udział w napadzie, bito tęgo powrozami na środku obozu. Toteż gadatliwemu panu Budzile, komornikowi Wąsowiczowi, braciom Kazimirskim,

i innym, włosy stawały na głowie ze zgrozy, rozumieli bowiem, że w niewolę tyrańską popadli. Niektórzy jednak, w tej liczbie Sebastian Pielsz, błogosławili twardy ład żołnierski, panujący w obozie pana Sapiehy, sprzykrzywszy sobie do cna poprzednią gadaninę próżniaczą. Wśród chorągwi usarskich niemało było dawnych rycerzy Chodkiewiczowych towarzyszów Pietrka, mile go wspominających. Choć zgryziony i posępny odludek Sebastian w niczym nie przypominał serdecznego kompana, beztroskiego śmieszka — radzi go przyhołubili, przez pamięć tamtego.

*
* *

Wiodąc za sobą długi szereg wozów, Sebastian wjechał do rozległej wsi Pogorełoje. Siedzący na wozach pachołcy spoglądali nań koso, jako na dziwaka, co miast brać wprost siano z licznych, czerniejących w pobliżu brogów, jechał do wsi... Po co? na co?...

Wieś była szara, szeroka i cicha, niby bez ludzi. Pustką i opuszczeniem przypominała Sebastianowi widzianą niegdyś wieś wymarłą czasu moru. Wzdrygnął się mimo woli na to wspomnienie, ale po chwili z ulgą skonstatował, że tutaj pustka rzekoma była jeno ostrożnym wybiegiem. Skąpy dym snuł się gdzie niegdzie nad dachem. Półnagi dzieciak wyjrzał zza któregoś węgła. Miał wielki, wydęty brzuch, cienką szyję, i kończyny jak piszczele. Sebastian kiwnął nań ręką, wołając, lecz malec pierzchnął co tchu, z wrzaskiem przeraźliwym. W sąsiedniej chacie w małym otworze okiennym mignęła brodata twarz — i znikła z równym pośpiechem. Zsiadłszy z konia, Sebastian kołatał do drzwi długo i daremnie. Ruszył ku drugiej chacie, z tymże samym skutkiem. Nareszcie jeden z pachołków przywlókł za kark capniętego znienacka wyrostka. Ten wytrzeszczał ogłupiałe oczy głodomora, na

każde zapytanie odpowiadając tylko głośnym, jękliwym sapnięciem.

— Gadaj, gdzie tu jest starszyna, bo baty dostaniesz! — krzyknął zniecierpliwiony Sebastian.

Wyrostek ukazał ręką większą nieco od innych chatę, stojącą opodal, i wśliznąwszy się z rąk pachołków, przepadł jak zmieciony. Sebastian poszedł we wskazanym kierunku. Z grubych bierwion zbite drzwi zawarte były od wewnątrz, jak inne, lecz pachołcy, osobliwie krępy Maciek Bury, podsadziwszy się pod nie, w mig je wyważyli. Sebastian wszedł do ciemnej, zadymionej izby. Wysoka postać majaczyła w mroku. Była to żona starszyny. Wyświechtany, raz do roku przed „Jordanem" zmieniany kokosznik wieńczył jej chudą twarz o biegających niespokojnie oczach. Sama była w izbie, choć niedosłyszalne szmery w stronie piekarnika mogły równie dobrze ujawniać obecność tam szczura, czy też skrytego przemyślnie starszyny. Żółte, zawiędłe ręce złożyła na piersiach, patrząc na wchodzących z tępym przerażeniem.

— Siano zabieram dla wojska. Siano... Rozumiecie? — zaczął zwolna, dobitnie Sebastian. — Chcę zapłacić... Czyje ono jest? Wiele się należy?

Ptasie oczy starej znieruchomiały w trwożliwym zdumieniu; zabełkotała pośpiesznie:

— Bieritie gaspada! bieritie wsio!... nikomu ano nie nużno... Pożałujsta... bieritie..,

— Zapłacić chcę, ale komu? — powtórzył Sebastian.

— Ja nie znaju... eto nie nasze; sochrani Bog, nie nasze... Bieritie — upierała się, wietrząc szatański jakiś podstęp w tych nieoczekiwanych słowach.

Wzruszył ramionami, wysyłając pachołków, by ładowali podwody.

— Sera, masła, nie ma u was? — zapytał, zbierając się do odejścia.

Skrzywiła się dziwnie bolesnym grymasem, nie odpowiadając nic.

— Zapłacę, zapłacę dobrymi pieniędzmi — zapewniał, ukazując jej garść groszaków.

Przylgnęła do nich wzrokiem żarłocznie, drapieżnie, lecz wstrząsnęła głową przecząco.

— Nie ma? — powtórzył zniecierpliwiony.

— W całej derewni nie znajdziesz, baryń, ni jednej żywiny; ot, czemu siana nie trzeba... — odparła zwolna, nie spuszczając urzeczonych oczu z pieniędzy.

Stojąc już w progu, Sebastian obrzucił spojrzeniem nędzną, czarną izbę. W dymie snującym się wzdłuż ścian majaczyły rzędem ubogie, spłowiałe ikony. Rzucił na nie okiem mimochodem i zauważył, że wszystkie wiszą na wywrót, głowami do dołu.

— A toż co? — zapytał, ukazując na nie ręką.

— Za karę — rzekła krótko stara.

— Co takiego?

— Za karę — powtórzyła twardo. — Nie wysłuchali nas, — niech się hańbią. — A prosili my: Święty Mikoło cudotwarny, Święty Olegu, Święta Eufrazjo dziewico, pomiłujcie... dajcie przetrwać zimę, zwólcie żyć!... Nie zwolili... Troje nam dzieci umarło... Ni jedno nie ostało w izbie... Ni jedno! Ja i mąż sami... Troje było... Mąż prawi: Nie chcieliście, wy ikony, pomocy dać, poczekajcie! Poprzewieszał je... Zostaną tak, póki odmiany nie będzie... Jaka może przyjść odmiana? Dzieci nie ma!... Nie ma... nie ma... Pusta zostanie się izba...

— Skąd tu taka bieda u was? — zapytał, zdjęty mimowolną litością.

Zakołysała piramidą kokosznika, w nagłym przypływie zaufania rozpoczynając długą, żałosną opowieść. Jękliwie monotonny głos rozsypał się ni to w zawodzenie, ni to w przyśpiew smętny, o dawnym, ledwo w pamięci majaczącym dostatku, gdy za bogaczy ich ogólnie uważano.

Tak, tak, za bogaczy!... O srogich czasach, co potem nadeszły, gdy za bezbożne zbrodnie Borysa Godunowa Bóg zesłał na ziemię głód. Nie wiedzieć wprawdzie, w czym naród winien jest śmierci cichego cara Fiodora, przez Borysa Godunowa ubitego, ale kara musi być. Cierpieć muszą za to wszyscy. Takie prawo... Straszny głód. Odkąd świat światem, nie było takiego. Ludzie korę z drzew żarli i trupy. A kiedy trupów zabrakło, to żywych... Byle kto słabszy sam wyszedł z izby wieczorem, już go zabito, zjedzono... Było tak, było!... Hospodi!

Imieniem Bożym, niby bolesną pieczęcią, znacząc punkty opowieści, mówiła dalej o strzelcu, wysłańcu cesarskim, co z listem za Smoleńsk jechał, przystanął we wsi konia napoić. Krasawiec był, głodu nie znał. Tęgi, rumiany na gębie. Zobaczyły go z okna Wasilczycha, Jefimka, Antonowiczówna i popadia. Umówiły się. Zwabiły chłopa do izby. Przyszedł, durny. Drzwi zawarły, toporem krasawca zarąbały, z odzienia zwlekły... Ciało w komorze trzymały... po kęsku jadły. Mróz był... Starczyło na trzy niedziele... Ot, czasy, czasy! Hospodi!

Urwała, patrząc nieruchomo w ścianę. Sebastian wzdrygnął się mimowoli i spojrzał ku wyjściu, lecz stara podjęła dalej:

— Potem mór przyszedł, czarna śmierć zawzięta. Myśleliśmy, że już koniec świata. Trzy słońca stały na niebie, a stare Antychrysta swymi oczami widziały... Uciekał kto mógł. Na Sicz w kozaki, albo do atamana Chłopki Kosołapa. Gorszy moru był Chłopka Kosołap. Pod świętą Moskwą stał, złymi oczami na złociste cerkwie patrzył... Aż tu zaczęły przychodzić monarchy, o carewiczu Dymitrze Joannowiczu prawić. Że żyje, panować idzie... Podali się na niego wszyscy ludzie z tej wołosti... Myśleli: będzie car, będzie lżej... Nie było lżej, nie było!...

— Szedł carewicz Dymitr Joannowicz z wielkim wojskiem, polskim, litewskim, kozackim, bardzo ciężkim dla

ubogiego narodu. Zaś rok nie minął, ubiły kniazie Szujskie carewicza. Hramoty rozesłały po grodach, że nie praw on był, — Łże-Dymitr, duszogubca, czort, poganin przeklęty... Pisały hramoty: które na Łże-Dymitra przysięgały, srogo będą odpowiadać; pokarze je Bóg i car; Antychrystowi duszę zaprzedały. Hospodi!... Skąd naród mógł wiedzieć?! Monarchy powiadały, to wierzyli... Bieda! Bieda!... Szedł tędy kniaź Szujski z wojskiem, z sołdatami carskimi swoimi... Ograbili... Mordowali... Niczemu nie przepuścili... Aż teraz znów chodzą tu pielgrzymy jakieś, bogomodlce; powiadają: Car Dymitr Joannowicz żyje zdrów; kniaź Szujski sam łgarz, czort, Antychryst; cara, słoneczko jasne, chciał zabić... Hospodi!... Nowe wojska z Polski idą. Niech idą! Zabiją pewno... A niechaj zabiją! Stoi kto bardzo o życie? Nie słodkie ono, oj nie!... A wy, panowie Litwa, za Dymitrem Joannowiczem, czy za Szujskim?

— Za Dymitrem.

Spojrzała nań z jakąś rozpaczliwą odwagą.

— Darujcie baryń, powiedzcie starej: praw on? Carewicz, czy duszogubca, poganin? Kto łże?... Hospodi! jak ciężko duszy... jak ciężko!...

Otarła brudnym rękawem załzawione, ropiejące oczy.

— Grzech, wielki grzech, oszukiwać prosty naród — westchnęła. — Naród sam wiedzieć prawdy nie może. Skądby znał?... Gramotne, uczone winny pouczyć, powiedzieć... Bo duszę można zagubić nie wiedząc... Powiedzcie panie, praw on?

— Nie wiem, matko — wyznał ze wstydem Sebastian.

Rzucił na stół co miał przy sobie pieniędzy, i wyszedł śpiesznie. — Pachołcy siedzieli już na wysokich jak chaty furach siana. Dosiadł podjezdka i ruszył przed nimi do obozu, rozłożonego w Carowym Zajmiszczu. Gródek to był spory, ostatnimi czasy silnie ufortyfikowany, w ręku wojewody wiaziemskiego, antagonisty Szujskich, zostają-

cy. Wojska pana Sapiehy zajęły Carowe Zajmiszcze dopiero tegoż dnia z rana, i Sebastian spotkał ostatnie tabory wjeżdżające w bramy ogródka. Zamykali pochód teorbaniści, ulubieni panu Sapieże, na krępych, myszatych, garbonosych konikach. Jadąc, kołysali się do taktu w wysokich kozackich kulbakach, gdy jeden śpiewał dźwięcznym, silnym głosem:

Słońce nyzeńko, misiacz błyzeńko,
Wyjdy, taj wyjdy, moje serdeńko...

Sebastian zachwiał się w siodle jak uderzony, — zdarł konia. Tchu mu zbrakło; w oczach, rozszerzonych nagłym bólem, zawirowały pstre tumany płatków. Przystanął, rozglądając się w koło bezradnie, nie umiejąc zdać sobie sprawy z tego, co zaszło. Ciasny spazm trzymał za gardło. Jakieś drapieżne, niewidzialne ręce rozrzucały w gruz od trzech kwartałów starannie wznoszony gmach zimnej obojętności. Przenikliwy ból sięgał wskroś serca. Poczuł, że cierpi jak wówczas, pod Brześciem... Ale dlaczego? Dlaczego?...

Oj znaju, znaju, koho kochaju.
Tolko ne znaju, z kim żyty maju...

— dolatywało już z dala. Pochylił się na grzywę końską, zrozumiawszy. To ta piosenka! ta piosenka! W niej była gorsza szaleju trucizna! Od niej słaniał się w strzemionach, zmagając się darmo z bólem. Z jej słów, tak prostych na pozór, szedł jad, toczący krew żywą spod serca.

Ta piosenka!... Ona wywlokła z zabitej, obręczą woli zaklepanej skrzyni wspomnień — obraz dawny, przecie przytomny jak żywy: opleciony chmielem ganek, przygarbione, dobre plecy wuja... te same słowa dzwoniące

srebrem w czyichś ustach... Pamięci! — nie pytaj w czyich!!

Zamknął oczy, by nie widzieć. Rad by zasłonić uszy, by nie słyszeć skowytu własnej tęsknoty, zbudzonej nagle, rozjadłej. Jadąc stępa za wozami, zaciskał palce, aż trzeszczały stawy. Dość tej męki!...

Zapomnieć! zapomnieć co prędzej!... O Boże! pozwól zapomnieć! Jak dopomagasz zapomnieć matce o zmarłym najmilszym jej dziecku... Cóż przyjdzie z daru strasznego pamięci? Nigdy, nigdy nie powróci to, co utracone... Mogą się zmienić króle, państwa, światy, lecz nie odmieni się to, że umiłowana kochania twego nie chciała... Po co masz tedy człowiecze pomnieć czarowny dźwięk głosu, strzelistą wiotkość kibici, słodycz jedyną uśmiechu?... Zapomnij, zabądź co rychlej!... Skryj wspomnienie, zadepcz ziemią, przybij mocno, i nie powracaj w to miejsce!... Nie daj się podejść zwidzeniom. Nie słuchaj, nie patrz, nie spuszczaj oczu ni uszu z arkanu, bo nie wiesz, skąd, z której strony — dźwiękiem, zapachem, czy słowem, — zmora wychynie ku tobie... Wyjrzą jej głodne pazury z prostaczej śpiewki włóczęgi-przybłędy... Rzucą ją skróś nocy letniej żaby kumkające w stawie... Spłynie z księżyca... Zaczepi cierniem krzów w kwiecie... Uchwyci cię na rozstaju... Ni chwiliś od niej bezpieczny... Jak ninie... Jak ninie!!

Darmo zacina się, surowym chwytem zwiera rozbiegane myśli. To samo stoi wciąż w oczach: — opleciony chmielem ganek... przygarbione plecy wuja... jej głos... pełne niebo gwiazd... I jedna gwiazda, sunąca...

Drgnął, wyprostował się w siodle, olśniony nagłym przypomnieniem: Latawica! Latawica! — W owej to chwili urok go opętał, zrodziło się życia nieszczęście! A ostrzegała go Hanka... Rozśmiał się z jej słów niebacznie,

a ot skąd przyszła gryząca go zmora... Czepiła się, i już nigdy swobody ni folgi nie zazna... Latawica! Latawica! — wiedźma pożądań daremnych...

ROZDZIAŁ VIII

MEDEA

— Pewna to aby wiadomość? — pytał po raz trzeci pan Sapieha, marszcząc gęste łuki brwi.

Zdumiony niespodziewaną nowiną chodził szybko wzdłuż i wszerz komnaty. Afanazyj Jefimow, bojar, wysłaniec wojewody wiaziemskiego, kłaniał mu się w pas co chwila, tłustą ręką bijąc się w piersi na znak, że mówi szczerą, niezawodną prawdę. Gdy pochylał krępą postać, odzianą w papuzi tułup, kudłata, lśniąca od tłuszczu broda sięgała mu prawie do kolan.

— Nowina! Nowina! — powtarzał pan Sapieha. — W Lubieńnicy stoją! niespełna stąd cztery mile!... Trza ku nim skoczyć co rychlej... Ot, niebożęta, dwa lata w turmie przesiedziawszy...

Odprawił ręką bojara.

Nieoczekiwana wiadomość poruszyła go nie tylko ze względu na sentyment dla długo więzionych rodaków. Przypadkowe spotkanie z carową Maryną wielce szło na rękę jego planom, nie skrystalizowanym jeszcze wprawdzie ostatecznie, lecz koło jednego punktu coraz uparciej krążącym.

Klasnął w dłonie na pachołka, by zwołał panów rotmistrzów. Gdy zeszli się, w krótkich słowach powiadomił ich o tym, co wojewoda wiaziemski donosił.

— Imaginujcie sobie waszmościowie — mówił żywo, rozanimowany, — że wojewoda sędomirski, Jejmość Carowa z fraucymerem i pan małogoski ze swoimi ludźmi

w Lubienicy stoją! Puścił ich z więzienia Szujski, by z Rzecząpospolitą w sroższy nie popaść zatarg... osłonę grzeczną dał... Wszakże car Dymitr Zborowskiego z Masalskim pchnął, którzy osłonę znieśli, zaś wojewodę z Carową nazad od granicy zawrócili. Tylko pan Gosiewski i jezuity nie chcieli ostać, i do Polski się przebrali...

Urwał na chwilę, przystanął, a opanowawszy wrażenie, spokojnym już, zwykłym głosem wydawał rozkazy: Chorągwie panów Strawińskiego i Dziewałtowskiego mają wyruszyć ku Lubienicy, jako asysta, o świcie. Najlepsza kolaska i co chędożniejsze brożki pójdą dla Jejmości Carowej i fraucymeru. Na głowie pana Samuela Tyszkiewicza, oboźnego, pozostaje przygotowanie wszystkiego co potrza, na przyjęcie tak dostojnych gości... Pan Sapieha tuszył, iż nie potrzebuje *minutatim* wykładać, co i jak czynić należy. Wiadomo: wjazd ma być *sollemniter* odprawiony. *Tandem* łuki, oracje, palba, — pochodnie, jeśli przyjadą o zmroku... Komnaty paradne w gródku trza by z pajęczyny obmieść, wapnem obielić, podłogi ługiem zszorować lub piaskiem przytrząsnąć, zaś robactwo wykadzić, osobliwie wszy. Zdałoby się także kocurów tam parę puścić, bo szczury srogie harce odprawują, co białogłowy zazwyczaj inkomoduje. Za czym i poczęstunek uczciwy czekać powinien. Trzy dni czasu ma pan oboźny, by godnie to wszystko zładować...

Pożegnał ich, a zostawszy sam, zaplótł dłonie na karku i chodził, zamyślony, tam i sam po izbie. Krok jego był to powolny, zadumany, to rwący się, niecierpliwy, zdręczony ciasnotą miejsca. Jakoż ciasno mu było wszędy, ciasno w domu, w rodzinie, w kraju, we własnej swej skórze. — W pewnej chwili, przechodząc koło gotowalni, spojrzał przelotnie w stojące na niej podróżne stalowe zwierciadło. Wypolerowana tafla odesłała mu własną jego, nieco ostrą twarz, suchą, arcypańską urodę konkwistadora-rycerza. Uśmiechnął się — nie wiadomo, sam do

siebie, czy ze siebie, — z pewną pogardliwą dufnością. Mimo woli pogładził młodego wąsa nad stanowczymi, chłodnymi ustami.

*

* *

Gdy nazajutrz wczesnym rankiem pan starosta wyjechał do Lubienicy, w obozie zapanował gorączkowy ruch. Każdy przykładał się z chętną pomocą. Wśród towarzystwa wielu było, których krewni lub znajomi ruszyli przed dwoma laty do Moskwy, w orszaku bądź Mniszchów, bądź obu posłów królewskich, panów Oleśnickiego i Gosiewskiego. Wszystkich ich miano dawno za straconych. O losie samego wojewody sędomirskiego i jego córki rozliczne krążyły legendy. Ciekawość zatem paliła... Pan Samuel Tyszkiewicz, wraz ze swoim *alter ego* panem Mirskim krzątał się żwawo, i gdy trzeciego dnia posłaniec obwieścił rychły przyjazd gości, wszystko już było gotowe.

Pan Sapieha winien był być zadowolony. Oboźny przeszedł sam siebie. Trzy łuki, jeden za drugim, przybrane zielenią i kwieciem, głosiły w łacińskich inskrypcjach sławę monarchini, której cnoty i stałość zwyciężyły oporną fortunę. Nie mniejsze hołdy spotykały jej rodzica, wzór mężów, obywatelów, niezłomnych Scewolów, — oraz pana Oleśnickiego, kasztelana małogoskiego, w którym wielbiono wielkoduszność i męstwo. Droga przytrząśnięta była majem. Wojsko, szpalerem stojące, prezentowało uroczyście broń. Grzmiały raz po raz moździerze. Pod pierwszym łukiem sam pan Samuel Tyszkiewicz stał z karteluszem w dłoni, z którego piękną odczytał orację.

Jadący przodem, obok starosty uświatskiego, wojewoda sędomirski odpowiedział na tę przemowę uprzejmie, choć z pańska. Niewola i przebyte upokorzenia nie umniejszyły jego dumy. Owszem, wyżej może jeszcze, niż pierwej, podnosił do góry czerwoną, kogucią twarz, zwieńczoną białą jak mleko czupryną. Z niedbałą łaskawością

kłaniał się na obie strony wiwatującym. — Dalej, kilku trębaczy poprzedzało kolaskę carowej. Młodziutka twarz wojewodzianki od niewczasów i dwuletniej przeszło niewoli zaostrzyła się i pobladła, nabierając wyrazu niechętnego uporu. Pogardliwie wysunięta warga czyniła ją podobną do ojca. Tylko oczy, czarne, bystre, wymowne, wdzięczne były w bladym licu, uśmiechające się przychylnie witającym. Z przodu kolaski zwiędła twarz starej jejmości wydała się patrzącemu zza pleców Wąsowicza Sebastianowi dziwnie znajomą. Nim jednak zdążył rozpoznać, przejechały. — W następnej kolasce pan Oleśnicki, niefortunny poseł królewski, jeszcze czasu wesela carowej z Dymitrem wysłany, uśmiechał się wesoło, dobrodusznie. — Cztery panny fraucymeru, Tarłówna, Bielińska, Kmitówna i Krasicka, nastroszone niby zmokłe kurki, spoglądały trwożliwie ze swego pojazdu, nieczułe na łakome spojrzenia wojaków. Żal je zbierał okrutny, że zamiast wjeżdżać bezpiecznie do lubej ojczyzny, wraz z panem Gosiewskim, Niemojewskim i innymi, — ku znienawidzonej Moskwie nazad muszą się obracać... Chorągiew usarska Dziewałtowskiego i kozacy Buzowskiego zamykali pochód.

Wieczorem, po świetnym bankiecie, pan Sapieha przyszedł niespodzianie na majdan, gdzie się towarzystwo zbierało.

— Mości panowie, mili towarzysze — zaczął ujmującym swym głosem, — przywieźlim Jejmość Carową i jej fraucymer, ale obdarte niebożątka, chłopskim prosto adiustunkiem nędzę swą słoniące, aż i litość bierze patrzeć. Sama Carowa w jednym giezłeczku ostała, jako mi pan wojewoda sędomirski prawił... Barbary plugawe, psy od poganów zawziętsze, tak ograbiły niebogę. Wszystkie ochędóstwo, co ojce jej dali, a Król Jegomość przyczynił, zabrało moskiewskie hultajstwo. Ma kto z waszmościów materią jaką, lebo odzież zbędną, na białogłowski manier

przerobić się dającą, — upraszam dać nieboraczkom. Toćże im z komnat wyjść wstydno. Ja deklaruję dwie strefy altembasowe, kryzów kilka, galanów pęk spory, trzęsienie z zapon i dwa żupany hatłasowe...

— Ja mam żupan grodeturowy fałdzisty, po ojcu, całkiem jak nowy! — krzyknął ochoczo Wąsowicz.

— Ja paludament pupkami oszyty, z łańcuchem.

— Kołpak sobolowy dam... — meldował cześnik Walawski.

— Ja delijkę aksamitną, niestarą...

— Sztukę bławatu okrutnie foremnego...

Deklarowali i inni, prześcigając się w hojności. Zebrała się kupa darów. Na delegata dla odniesienia ich nazajutrz rano naprosił się pan Wąsowicz. Przystali nań wszyscy, bo chłop był mowny i śmiały, — on zasię dobrał sobie do kompanii Sebastiana Pielsza, w tej intencji, by asystę przyzwoitą mając, w dyszkurowaniu nie mieć żadnego od towarzysza impedymentu.

Dwóch pachołków niosło za nimi zebrane materie. Meldowali się na gródku, u komnat carowej.

— Jejmość ochmistrzyni fraucymeru wnet przyjdą — oznajmił pacholik.

Jakoż nie czekali długo. Dostojnie, posuwistym krokiem weszła do izby pani miecznikowa samborska, Barbara Kazanowska, Sebastian poznał ją teraz od razu, i zbladł. W nadziei, że go nie pozna, nie spyta o Hankę, cofnął się za Wąsowicza, rad skryć się lub zbiec nie czekając.

Ale pani miecznikowa nie zwracała na niego najmniejszej uwagi. Oczy miała lekko przymrużone, twarz wyniosłą. Zrudziałą, haniebnie wystrzępioną i pocerowaną suknię ujmowała w dwa palce, dygając ceremonialnie.

— Jejmość dobrodziejko! — zaczął z fantazją Wąsowicz, — zasłyszawszy o okrutnym a zgoła nieludzkim postępowaniu barbarów, miana ludzi niegodnych, które to

monstra (bodaj nigdy z Tartaru plugawe głowy ich nie wychynęły!) ograbiły ze wszego dobytku białogłowskiego Jejmość Carową wraz ze szlachetnym jej fraucymerem. — zebraliśmy między nami co nieco przyodziewku, na któren się żołnierska bieda mogła zdobyć, i szczerym sercem składamy. Wprawdzie rzec możesz, Mości Dobrodziejko, iż na Olimpie zbytnio o szaty nie stoją, zaś Junona panuje światu w byle szatce. Prawda to szczera! Nie przynosi także ujmy niedostatek, w wojennej potrzebie a srogich losu zawieruchach sprawiony... Że jednak białogłowskim sercom miłe zazwyczaj stroiki, tuszym, iż wielka władczyni raczy przyjąć od nas wdzięcznie rzeczone obmioty, ochotnie u stóp jej złożone z gorącą prośbą, by w rychłej korzystniejszej fortuny odmianie oddanych sobie sług nie zapomniała...

Pogładził wąsa, zadowolony z oracji, i skinął na pachołków, by rozwinęli tołuby. Rozłożył chrzęszczące, lśniące materie na stołkach, i spojrzał, dumny z wrażenia. Na pożółkłą twarz miecznikowej uderzyły gorączkowe wypieki, oczy zabłysły wilgotno.

— Dobrodzieju mój!... — zaczęła serdecznie, lecz urwała, wysiłkiem woli opanowując wzruszenie. — Bóg zapłać waszmościom panom — poprawiła się z uprzejmą dystynkcją; — wdzięcznym sercem przyjmujem te dary. Wprawdzie Jejmość Carowa do małżonka jedzie, gdzie dawne splendory będą jej zwrócone, tymczasem wszakże: Bóg zapłać!... Niewątpliwie — dodała protekcjonalnie — bliską jest chwila, w której odpłacim się stokrotnie za uczynioną przysługę... Miło mi będzie poznać nazwiska waszmościów, by je Miłościwej Pani sprezentować...

— Oto lista ofiarodawców — podał szybko Wąsowicz kartelusz; — jest tam i moje skromne nazwisko, zaraz po panu staroście uświatskim... Jestem Wąsowicz, herbu Ślepowron, komornik chęciński, oto zaś kompan mój Seba-

stian Pielsz herbu Nabra, obaj wolontariusze w służbie Jejmości Cara...

— Pielsz?! — zdziwiła się jejmość, — toż ja waści znam! Zrazu lico wydało mi się znajome... A waść, nie poznajesz mnie? Ani się przysuniesz? Bogiem a prawdą, zawdy był z waćpana mruk, mało polityczny — zauważyła z niezatartą urazą w głosie. — Pamiętam... Waść zabrałeś z Pinian faworytkę moją, Hankę, córkę nieboszczyka Bazylego Pielsza... Co z nią? powiadajże!

— Za mojego brata idzie — odparł krótko Sebastian, który poprzednio zdążył już opanować twarz i nadać głosowi przesadnie obojętne brzmienie.

— Mój Boże! — wykrzyknęła ze szczerym żalem, — za waścinego brata idzie?! Nie ujmuję ja zasłudze, przecie bolesne to zdarzenie, gdy taka fortuna, taka gloria na nią czekały! Przeczuciem istym wiedziona, odradzałam, prosiłam... Waść ją namówiłeś... Chyba nie wiesz, czym by była, ostawszy: panną fraucymeru Carowej!... Waści to wina, że ją taki los ominął!... Ja sama fraucymer dobierałam. Jejmościanki, co tu są, mnie zawdzięczają swoje wywyższenie... Jużci Hankę byłabym pierwszą wybrała... A ona za mąż idzie, za bylc szlachcica... Daruj waść... Powtarzam, iż nie ujmuję zasłudze, ani klejnotowi, wszakże inszy carski dwór, niżeli szlachecki.. Taki los!...

Wzdychała, chwiejąc głową, przystrojoną w dziwaczny, zniszczony i spłowiały kornet.

Zniecierpliwiony Sebastian chciał już rzec, że wraz ze świetnym losem ominęły Hankę dwuletnia poniewierka, nędza, a może i śmierć, — lecz w tejże chwili pachołek wezwał jejmość ochmistrzynię. Hosudaryni potrzebowała jej obecności.

— Idę! — zawołała śpiesznie. — Uprzejmie żegnam waszmościów, o łasce i pamięci Miłościwej Pani zapewniając...

Cofała się tyłem, dygając ceremonialnie raz po raz.

* * *

Pobyt w Carowym Zajmiszczu przedłużał się nad spodziewanie, na co zresztą nikt z woluntariuszy osobliwie się nie uskarżał. Car Dymitr ze swoim wojskiem stał w Tuszynie i liczni posłańcy jeździli z listami od jednego obozu do drugiego. Widno toczono jakieś pertraktacje. Lato było piękne, słoneczne. Wygrzewając się próżniaczo na wałach gródka, rycerstwo i woluntariusze słuchali chciwie opowiadań towarzyszy, co z wojewodą i carową przyjechali. Ci zaś, szczęśliwi, że się na koniec wyrwali z niewoli, chętnie po raz setny, a coraz to barwniej, opisywali przebytą tułaczkę, wszystkie mizerie zniesione od moskwicinów, rzeź majową, grozą dzień Sądu Ostatecznego przypominającą.

— Nie byłoby całej tej katastrofy, gdyby nie zbytnia dufność Hosudara — opowiadał rozwlekłym nieco głosem rękodajny pana kasztelana małogoskiego, inć Haraburda, zebranym w koło woluntariuszom rokoszowym. — A chodzili go ostrzegać, że się sedycja szykuje; sam wojewoda chodził i pan starosta sanocki... Toż samo Bosmanow, hetman jego nad wszystkimi wojskami, wielkiej fantazji człek, choć Moskal... Bodajby ich był usłuchał! Ale gdzie! Ani gadać nie zwolił... Nie boję się, mówił, tych grubych capów (co się rozumiało bojarów), bo pospólstwo i strzelcy za mną... Prawda, że byli mu chętliwi jako nikomu, ale hołota to, której lubienie wiatr, a odmiana afektów skora... Tak zbytnio dufając, bram zamku zawierać nie kazał, nawet i w nocy. Stała niby przy wejściu kupa strzelców, — Boże się pożal tej straży! W pień toporki powtykawszy, a ruszniczyska i amelije na ścianie rozwiesiwszy, spali smaczno, ni kija w ręku nie mając. Znów halabartniki Niemcy, co sklep swój niżej pokojów hosudarskich mieli, wnet pierzchli, ino się tumult wszczął. Snadź wcze-

śniej od bojar spraktykowani byli. By wiary panu swemu dotrzymali, snadno mogli, z halabartami w ciasnych gankach a przejściach się zastawiwszy, wielki gmin dłuższy czas zadzierżeć... Inaczej by się wszystko obróciło... *Tandem*, rumor usłyszawszy Bosmanow hetman, któren od piąci niedziel z miłości ku Caru pode drzwiami jego dla bezpieczeństwa sypiał, skoczył do drzwi z szablą, gdzie go też wnet rozsiekali. Sam Hosudar, poczuwszy gwałt, wypadł z komnat. Już drzwi wyważali. Z ganku na podwórze skoczył, gdzie było ze dwadzieścia łokiet wysoko. Tamże omdlał, nogę skręciwszy. Czerń a strzelcy, co mu życzliwi byli, jęli go trzeźwić, on zasię do nich: „Chrystolubcy, mirze krzczony, drugi moje wierne, wiedźcie mnie na płoszczadę k'narodowi mojemu. Tam ja bezpieczny"... — Wiedli ge, ale bojary *coniurati* przypadli, wydarli, utrupili... Za czym obawiając się dla siebie gniewu populacji, która isto wielce chętliwa carowi była, stanęli na onej płoszczadi, powiedając wsiem, jako on jeretykiem był, rozstrygą, duszokrajcą, jako krzyż w napiętku buta nosił, bałwany, co je czcił, pod łóżkiem chował, cielęcinę jadał, pierze u głowy nosił, wiarę prawosławną odmienić chciał... Takimi nieszczerymi słowami odwrócili odeń *credulum et simplex vulgus*, na nas je w końcu szczując... „Pomścijcie teraz obrazy Bożej — powiadają, — bijcie Litwę, a te dostatki i ochędóstwa, coście u nich widzieli, będą wasze"... Do woli było tych słów czerni, ciemnej nad pojęcie, a chciwej i łakomej. Rzucili się wszyscy jak lunął do rzeźby, a my, zgoła ni przygotowani, ni ubezpieczeni...

Umilkł i oczy mu się zamgliły, bo stracił w owym dniu nieszczęsnym wielce umiłowanego brata, który, wraz z ojcem siedzącego obok pana Cikowskiego i wielu innymi, okrutnie zamęczony został.

— Potem — ciągnął schrypłym nieco z żalu i gniewu głosem — hosudarowe ciało na Łobnoje miejsce wywlekli, spalili, popiół na cztery wiatry rozsiali... A szkoda! Ry-

cerski, światły był pan... Sprawiedliwy, hojny, nad ludem się litował, bojarów w garść brał...

— Bez to powstały na niego — wtrącił pan Cikowski.

— A bez to... Hej, szkoda się stała!... I tyle krwie naszej!... tyle krwie! Dusza się zżyma w człowieku, a serce pomsty woła... Tegom do kraju z panem Gosiewskim nie wrócił, nazad się tu obracając, by sprawiedliwy żal swój zaspokoić...

Milczenie trwało przez chwilę.

— Tfu, do licha! — sarknął nagle Wąsowicz — co to za gadanie: spalili, utrupili... jak o nieboszczyku? Któż tedy stoi w Tuszynie?!

Obaj dworzanie spojrzeli po sobie zmieszani.

— Racja, racja, mości panie — tłumaczył się Haraburda; — jeszcze w turmie będący doszły nas wiadomości, że bojary inszego wtedy ubiły po ćmaku, — nie Hosudara; insze ciało spalono, zaś Wielki Kniaź uszedł cało i w Polsce się skrył... (Może to być, bo powiedali, że maszkarę trupowi na gębę nałożyli, niby dla pośmiewiska). Darujcie waszmościowie, dwa lata przywykłszy zwać go nieboszczykiem, trudno się z prawdą oswoić...

— Niepolityczna to omyłka, wyznam waści.

— Pewnie że nie — przyznał się Haraburda łagodnie.

— Ale carowej jejmości coś do łożnicy nie pilno? — zagadnął z przekąsem Budziło.

— Odmieniła się widno... Jakeśmy jechali do Moskwy, to cięgiem głowę z kolebki wyściubiała, a pytała, czy daleko? Nie ma co gadać: tamtego wdzięczniej czekała...

— Tamtego?...

— A waść jak ta budzisuka, ino słowa podchwytujesz! — żachnął się pan Haraburda zniecierpliwiony. — Niechaj mnie!... Mówię: tamtego, bom go znał, a o tym jeszcze nic nie wiem, zali ten sam...

Grzejący się nie opodal do słońca, niczym jaszczurka, Sebastian Pielsz chwytał leniwie uchem co dziesiąte sło-

wo rozmowy. Senne, bezmyślne odrętwienie przenikało go wraz z ciepłem. Jak wielką jest ulgą nie myśleć! Nie myśleć, bodaj przez chwilę!... Utrzymać jak najdłużej błogosławiony moment bezczucia, niewiedzy... W powietrzu, ponad nim, drżał i dzwonił rój muszek maleńkich, przed godziną zapewne wyrojonych z otaczającego gródek oparzeliska, przed zachodem słońca żywot swój skończyć mających. Nieświadome i beztroskie, pląsały tymczasem w blasku, podnosiły się przejrzystym, opalowym tumanem, opadały i unosiły się znowu, przejęte niewątpliwie arcyważnymi dla nich sprawami.

— Cóż my innego? — pomyślał mimo woli Sebastian. Poczuł pewne cierpkie zadowolenie, że sprawy tyle bólu i męki przyczyniające nie większe są w obliczu nieba od trosk muszki jednodniówki... Od czasu do czasu głośniejsze słowo pana Haraburdy wpadło mu w uszy. Wtedy przypominał sobie obojętnie młodego chrystianina z Hoszczy, na którym pan kasztelan kijowski tak wielkie nadzieje dla zboru budował, i świetnego carewicza w Samborze. Mimo woli, do wspomnienia dołączał się podziw dla tej zuchwałej, chłodnej siły, z bezwzględnością do swojego osobistego celu dążącej, upartej, wstającej po raz drugi jak feniks z popiołów... Miliardy muszek, pyłków lotnych w świetle, unosiły się wciąż ponad jego twarzą... Zwolna podziw dla śmiałości Samozwańca zmienił się w politowanie, szczere, bezbrzeżne, głębokie. Cóż ci o to, pyszny człecze? Co z tego zostanie?... Czy warto dobijać się na świecie czegokolwiek?

Podniesiony znagła głos przerwał jego rozmyślania. Spojrzał z niechęcią w stronę towarzyszy. Pan Kazimirski junior nadchodził wzburzony, gestykulując z daleka, biorąc brata, komornika chęcińskiego, i cześnika na świadków krzywdy, jaka go spotkała od pana Kołyszki, towarzysza sapieżyńskiej usarskiej chorągwi. Niegodny szlacheckiego klejnoty, Kołvszko sprzedał mu zaocznie konia.

parol szlachecki dając, że szkapa nie jest nosata, zołzowata, ani naturzysta. Omieszkał natomiast dodać, że hanienie utyka, ostrego szpata mając w zadniej nodze. Gdy nabywca podniósł alarm, odmówił zwrotu pieniędzy, przypominając, że za chromotę nie ręczył, jeno za zołzy, nosaciznę i naturliwość, od tych felerów zaś dzianet był wolny.

— Uszy mu obetnę! — krzyczał Kazimirski młodszy, tupiąc z rozdrażnienia. — Na rękę nie wyzwę, za hultaja uważając, ale obszelmuję łotra!

— Czego się waść sierdzisz? — reflektował wzburzonego towarzysz pancerny Wyrwicz. — Jeśli za chromotę nie ręczył, to praw...

— Jak to praw?! podły łgarz! Nie pytałem o chromotę, boć wiadomo, że nikt szkapy kulawej nie kupi...

— Nosatej też nie, a przecie o nosaciznę pytałeś...

— Psi adwokat! — syknął urągliwie Kazimirski; — o mankamenta pytałem ukryte we wątpiach, których na oko nie poznasz...

— Zołzy we wątpiach siedzą, wedle waści?

Dyskusja się zaogniła, bo głosy były podzielone, za i przeciw nieobecnemu, a chytremu Kołyszce. Zapalczywsi sięgali już do szabel, lecz bliski tętent odwrócił w porę uwagę ogólną gdzie indziej.

— Wojewoda sędomirski z pocztem — rozpoznał jadących Walawski.

— Do Tuszyna jeździł, uznawać cara, zali ten sam jest, czy nie, i teraz widno powraca...

— Raz już jeździł tamtej niedzieli i wrócił *in dubio*...

— Kpiny to chyba, panowie? Jakże? nie uznał, ujrzawszy, zali to zięć, albo nie?

— Prawi, że nie widział dostatecznie, bo ćma była tego dnia...

Zamilkli, bo pan Mniszech z asystą nadjeżdżał. Twarz

miał rozpromienioną, wesołą. Skinął im głową uprzejmie.

— Okrutnie czegoś rad, ten stary cygan — mruknął kąśliwie Budziło.

— Jak waść ojca Jejmość Carowej nazywasz? — rzucił się ostro Cikowski.

— Nic, nic... uspokój się mości panie... *Tandem,* podług was, Kołyszko hultajem nie jest?

Przerwana na chwilę dyskusja nad skomplikowanym *casus conscientiae* imci Kołyszki — zawrzała.

*

* *

Wojewoda zaś rad był rzeczywiście. Jechał zwolna przez obóz, rozglądając się w koło, a ujrzawszy pana Sapiehę stojącego przed swoim namiotem, klasnął się rozgłośnie w kolano.

— Miły mości gospodarzu! — zawołał donośnie, rozmyślnie jakby podniesionym głosem, — z radością zwiastuję, że prawdziwość Jegomości Cara *stabiliter* i dokumentnie stwierdziłem. Nie lekce, jako wiesz, decyzję powziąłem; badałem, na próbę brałem... I oto dziś sumiennie zdeklarować mogę, iż ten jest zięć nasz miły, imperator wszej Rosji, Dymitr Joannowicz!

Zsiadł z konia, i wziąwszy poufale pana Sapiehę pod ramię, zniknął z nim we wnętrzu namiotu.

— Spojrzyj, miły gospodarzu — rzekł, gdy zasłona osunęła się za nimi, i podał staroście szeroki kartelusz, ze zwisającą u dołu pieczęcią.

— „Wiadomo czynimy — czytał półgłosem starosta, — iż my, wdzięczni będąc niezmiennej przyjaźni, przez miłego Pana Ojca Naszego, Jaśnie Wielmożnego pana Georgija z Wielkich Kończyc Mniszcha wojewodę sędomirskiego nam okazywanej, tąż samą odpłacić radzi, obiecujemy miłemu Panu Ojcu Naszemu, skoro tylko Pan Bóg

na stolicy naszej posadzić nas będzie raczył, trzykroć sto tysięcy rublów ze skarbu naszego niemieszkanie wypłacić, tudzież w dziedzictwo wieczyste czternaście zamków w ziemi Siewierskiej, z przynależącymi do nich włościami, darować. Czego aby był pewniejszy, pieczęcią Naszą opatrzyć kazaliśmy i ręką własną podpisaliśmy się. Dan w obozie Naszym, pod stołecznym miastem Moskwa, *die 14 Octobris, anno 1608*".

— Iście, dokument tożsamości niezbity! — rzekł nie bez ironii pan Sapieha, oddając cenny kartelusz wojewodzie.

— Czternaście zamków w Siewierszczyźnie! To lepsze od rublów. Kraj tam wprawdzie wyniszczony, ale grunty przednie! Co zaś do cara — ciągnął czule wojewoda, — nie mógł przyjechać k'nam skorzej, chorym będąc od paru niedziel. Przeto obiecałem mu, iż sami pomkniemy się ku Tuszynowi, by stęsknionych małżonków dłuższym rozstaniem nie nękać...

Pan Sapieha spojrzał nań bystro.

— A Jejmość Carowa już wiedzą? — zapytał nagle.

— O czym? — zdziwił się wojewoda.

— Że to nie mąż, jeno prosty mużyk, pijanica, — rąbnął twardo starosta uświatski, nie spuszczając z niego oczu.

Pan Mniszech spłonął jak wiśnia.

— Na Boga, ciszej!... ściany słyszą... Nie, nie wie nic. Tailim to dotąd przed nią..

— A jak nie zechce?

— Musi — odparł krótko wojewoda, składając nadanie carskie ostrożnie, by pieczęci nie uszkodzić.

*

* *

— Musi nie musi — myślał pan Sapieha, jadąc w niewiele dni później obok kolaski carowej.

Zaledwie półtorej wiorsty dzieliło ich od Tuszyna. Raz po raz spoglądał na nią badawczo, starając się dociec, czy zna już prawdę, czy nie. Lecz twarz wojewodzianki była nieruchoma i zamknięta, czarne oczy tkwiły uparcie wbite w jeden punkt daleki.

— Nie przyzna go — kontynuował rozmyślania młody wódz. — Nie przyzna. Choćby ją stary uprzedzał, gdy tego chama zobaczy, w gębę plunie i nie przyzna... A wtedy...

Uśmiechnął się do swych najtajniejszych myśli. Znał dostateczny upór wojewodzianki, wiedział, że, jeśli nie zechce, nie usłucha ojca. Znał również jej dumę, silniejszą nad wszelkie uczucia. Nie przyzna Dymitra-szalbierza za męża, lecz nie zrzeknie się też łatwo korony i nadziei panowania. Co by Szujscy nie czynili, pozostaje ich carową, prawnie, przez patriarchę, według wschodniego obrządku, koronowaną. Nie zrezygnuje z tej prerogatywy. Więc co uczyni?... Wdową jest swobodną...

Uśmiechnął się po raz drugi zwycięsko, radośnie. Uczyni to, co on, Sapieha, zechce... Przyjmie go za męża i opiekuna, pojąwszy, że jedyna to dla niej droga do władania... Będą panowali społem. Razem zasiędą na tronie. Zgniecie Szujskich jak robaków, zgarnie całą Moskwę... Wkroczy do Kremlu otwarcie, nie potrzebując udawać nikogo. Nie jest, Bogu dzięki, bękartem, bodaj krwi królewskiej, ni durnym chłopem, narzędziem w ręku polityków. Nie ma racji ukrywać swego nazwiska, podszywać się pod trupa cudzego. Odwagi mu nie zabraknie, by sięgnąć po tron, a starczy na carowanie jeniuszu i głowy...

— Tak będzie!

Wyprostował się w strzemionach i strzelił dumnie oczyma wokoło. Bezbrzeżna równina moskiewska rozkładała się w okrąg. Jego się stanie łupem, skoro zechce. Czyż nie musi być ta ziemia zawsze łupem czyimś? Niewolna, sen-

na, ciemna, bierna, przeogromna... Nie jej stanowić o sobie. Jak przed wiekami poszli stąd wysłańcy do Waregów, prosząc: Prijditie i kniażitie nami, — jak przychodzili przed paroma laty na dwór Wiśniowieckich wzywać pierwszego Dymitra, — tak pokłonią się do nóg i jemu...

Urwał marzenia, bo obóz carski był tuż.

*
* *

— Dla Boga! kogo ja widzę! — krzyczał radośnie komornik chęciński, jadący w ostatnich szeregach jazdy sapieżyńskiej, ujrzawszy stojących tuż przy wjeździe przyjaciół rokoszowych dawno niewidzianych, panów Marka Wilamowskiego i Andrzeja Młockiego. Korzystając z tego, że jechał na końcu, zeskoczył z konia, oddając go pachołkowi, i pociągnął za sobą Sebastiana.

— Co słychać w kraju? Gadajcie! Dawnoście w Tuszynie?

— Dziś z rana przyjechalim — objaśniał, ściskając go, Wilanowski, — z poselstwem tajnym do hosudara Dymitra...

— Tajnym?

— Nie dla waszmościów, którzyście naszymi socjuszami są... Radziwiłł marszałek nas wysłał, pertraktować z Dymitrem, by, objąwszy tron carski, do Krakowa się obrócił...

— Stara piosnka...

— Nie szkodzi. A waćpanowie tutaj ze starostą uświatskim przybywszy? Gwarancje zapłaty za wysługi macie? Bo różnie o tym gadają...

— Oho! — roześmiał się Wąsowicz, — zabezpieczyło się wojsko. Delegacja do cara jeździła z aktem *formaliter* spisanym, któren akceptować i podpisać musiał, że, gdyby w dziesięć niedziel po ukończeniu potrzeby zapłata pułków nie doszła, tedy im wolno w ziemie Siewierską i

Riazańską wjachać, z nich prowenta na użytki swe, aż do zupełnej zapłaty, obracając.

— Mądrze wykoncypowane; może i my tu ostaniem?

— Ostańcie, raźniej w kompanii. Widzieliście się już waćpanowie z carem?

— Kiedy? Toć mówię, żeśmy dziś ledwo zjachali, kwatery nawet jeszcze nie mając...

— Najdziemy ją razem, a teraz pośpieszajmy skoro, obaczyć, jako się będą z carową witali.

Poszli szybko na przełaj przez obóz, bo wojsko znacznie się już oddaliło. Z przeciwnego końca zawrzały przeraźliwie trąby i cienkie kozackie piszczałki. Car wyjeżdżał na spotkanie swej małżonki. Pośpieszyli kroku, i za parę chwil stanęli na jego drodze.

Otoczony świtą bogatą bojarów i panów towarzyszy polskich, po prawej ręce mając księcia Rożyńskiego, po lewej kniazia Massalskiego, jechał stępa, pod wielką adamaszkową chorągwią. Sebastian wychylił ciekawie głowę ku nadjeżdżającym. Ujrzał grubego, brodatego mężczyznę w sowitym bojarskim stroju i wysokim sobolowym szłyku, z twarzą pospolitą, tępą. Siedział na koniu ciężko, niewprawnie, po chłopsku, garbiąc wypukłe plecy i szeroko rozstawiając nogi.

— To nie on! — krzyknął prawie z przerażeniem.

— Co waść mówisz? — zapytał Wąsowicz, nie dosłyszawszy.

— To nie on! To nie car!

— Jakże nie? Car Dymitr. Czego chcesz?

— Nieprawda! to nie on! — powtarzał Sebastian wzburzony, — z tego chyba podobny do tamtego, że obadwa ludzie!... To nie on! na duszę przysięgam, nie on! Szalbierz jakiś, łgarz, oszust, nie Dymitr!

— Cichaj waść! cichaj natychmiast, bo już tutaj poglądają!

— Niech poglądają! niech słyszą! Każdemu powiem, że oszusta bronim!

— Cichajże!... Wściekł się chłop, zwariował, czy co?

— Nie zwariowałem! Nieprawda! Znałem tamtego; w Hoszczy nocowaliśmy razem, potem w Samborzem go widział... To nie ten!

— Szmat czasu! Mógł się odmienić w takowych losu kolejach...

Nie odczuł szyderstwa w głosie Młockiego. — Wąsowicz z Wilamowskim odciągli go przemocą na bok, daremnie starając się pomitygować.

— Straszne rzeczy! straszne rzeczy! — powtarzał. — I waszmościowie — zwrócił się nagle z pasją do obu rokoszan — na króla go chcecie?! Tego mużyka, oszusta, — na króla?!

— Ejże — mruknął pan Młocki niecierpliwie, — dosyć tego! Ten oszust, a tamten co był?

— Łgarz, jako i ten jest...

— Co się waść rozumiesz na kabałach politycznych!

— Zresztą, co tu gadać — zakonkludował Wąsowicz, — ani to brat twój, ani swat... O co się swarzysz? Żona go przyznała; czego chcesz więcej?

— Żona! — wykrzyknął Sebastian w osłupieniu.

— A ot, tylko co się witali, jenoś w zapalczywości nie spostrzegł...

— Nie może być! Nie może to być!

— Obaczysz za godzinę, gdy wyjdą razem patrzeć na smotr wojsk. Chorągwie już się szykują..

— Obaczym...

— Rudnicki ku nam idzie! patrzajcie! — przerwał Wąsowicz dyskusję, machając ręką nad głową.

— Jak mi Bóg miły, Rudnicki! Bywajże tu chłopie, bywaj!

— Laboga! to cały rokosz już tu jest! Widzi mi się, że nie Tuszyn to, ale Pokrzywnica...

Witali serdecznie od brzeskich czasów niewidzianego kompana, pytając, co by tu robił.

— To, co wszyscy — odparł krótko, — czyli aktualnie nic... Jakaś alterkacja zaszła między wami? — dodał, spoglądając ze zdziwieniem na czerwoną jak burak twarz Sebastiana.

— Bynajmniej — zaprzeczył żywo Wąsowicz, — jeno nasz Kato sądecki, pierwszy raz cara ujrzawszy, powiada, że mu się nie widzi do tamtego, któren był, podobnym...

Roześmieli się wszyscy czterej wesoło.

— Powiem wam tedy coś lepszego — rzekł Rudnicki; — niepodobny on i do tego, któregom w Samborze u wojewodziny z Bołotnikowem oglądał... Widno że lepszy Janusa: we troje się mieni...

— W Samborze łońskiego roku był nie Dymitr, ale Mołczanow — objaśniał Wilamowski. — Tego wymagała polityka. Na wszelki *eventus*, Dymitra cudownie salwowanego udawał, choć nie wiedziano jeszcze, zali się Dymitr zratował...

— Poczciwa teścia! List do papieża pisała, takoż na wszelki *eventus*... Przednia komedia, panowie!

Śmieli się w głos, idąc powoli na plac, na którym odbyć się miał przegląd wojsk. Sebastian wlókł się za nimi, zdumiony i osowiały. Wbrew zwyczajowi pchnął się w pierwszy rząd ciekawych.

— Albom ja zdurniał lub oślepł, — albo to nie może być — mruczał, stając naprzeciw podwyższenia, dla cara i carowej przygotowanego. Panowie Wąsowicz, Rudnicki i obaj posłowie uśmiechali się drwiąco za jego plecami.

— A przyglądaj się waść pilnie — szepnął Wilamowski.

— Wpatrzysz się lepiej, różnicy takiej, jak zrazu, nie uwidzisz...

— Wojewoda sędomirski takoż kilka razy jeździł, nim rozpoznał...

Sebastian obejrzał się na nich, i nagle zamilkł. Krew mu buchnęła do twarzy. Zrozumiał. Pojął sens wszystkich docinków, półsłówek i żartów. Poznał, iż wszyscy wokoło wiedzieli dobrze, że to zgoła inny człek, i w skrytym porozumieniu przystali na tę zmianę. On jeden, prostak ciemny, głupiec, wierzył... Jakże sam sobie wydawał się śmieszny! Jakże był naiwny! Każdy z obecnych z dawna wiedział, że tamten Dymitr, mąż wojewodzianki, człek mądry, światły, rycerski, — zginął. Jego trup, nie czyj inny, leżał w Moskwie przed dwu laty na Łobnojem miejscu... Jego to prochy spalone rozrzucono na cztery wiatry... Kto by uwierzył naprawdę w bajkę o powtórnym cudownym ocaleniu? Nikt, prócz niego, Sebastiana...

Poczuł wstyd, cierpki, gryzący. Nie za swoją łatwowierność, nie!... Z pamięci wypłynęła, nie wiedzieć czemu, zwiędła głowa, chwiejąca śmiesznym, wyświechtanym kokosznikiem. Ptasie, pełne cierpienia cierpliwego oczy... Żałosny głos: Wielki grzech oszukiwać prosty naród... Naród sam prawdy wiedzieć nie może. A duszę można zagubić nie wiedząc. Powiedzcie panie: praw on?...

— — — — — — — — — —

Rozległy się skąpe wiwaty. Carstwo wyszli z namiotu i zasiedli na krytych kobiercami stołkach. Otaczali ich: starosta uświatski, książę Rożyński, rycerz wielkich cnót, pokąd ich szpetny nałóg pijaństwa nie zgasił; — chłodnej, zamkniętej twarzy kniaź Massalski, — liczne bojary, rycerstwo i fraucymer carowej. Sebastian mógł się teraz przyjrzeć dokładnie rzekomemu Dymitrowi: Zgarbiony, zerkał podejrzliwie spode łba małymi, chytrymi oczkami. Każdy rys jego twarzy tchnął bezmyślną, prostacką tępotą. — Mimo bogatego stroju wygląd miał niechlujny. Czkał głośno co chwila, jakby po przepiciu. Wielkie, włochate ręce spoczywały ciężko na kolanach. Carowa siedziała przy nim nieruchomo. Bledsza niż kiedykolwiek, drobna jej twarz ginęła w zbyt obszernej kryzie pana Sa-

piehy. Usta miała zaciśnięte, posępne. Pan starosta świątski spoglądał na nią z wyraźnym zawodem, zdziwieniem, może nawet wzgardą.

Gdy chorągwie strojno, szumnie przeciągały, car sztur chnął żonę poufale w bok.

— Nu, Maryszka — rzekł ochrypłym głosem, — maładcy Paliaki. Progonim Szujskawo, — a?

— Tak jest, Miłościwy Caru — odparła. Usta jej zadrgały konwulsyjnie. Zdawało się, że wybuchnie płaczem. Opanowała się jednak i siedziała nadal nieruchoma, złowroga i nieodgadniona.

Sebastian poczuł w sercu szczerą litość dla jej męki, a zarazem większą niż kiedykolwiek pogardę i wstręt do całej wyprawy i do towarzyszy.

— Ich to są sprawy — pomyślał; — niech czynią jak chcą... Ale co ja robię w tym wszystkim?

ROZDZIAŁ IX

KONDOTIERZY

Rozległy obóz tuszyński (zwany wielkim, dla odróżnienia od posuniętego bardziej ku Moskwie obozu pana Sapiehy), przysypany śniegiem, wyglądał raczej na miasteczko w dzień targowy niźli na wojenne *campo*. W długich, zwartych rzędach stały obok siebie — domy przeniesione w całości na karkach chłopskich ze wszystkich wsi okolicznych, ziemianki w śnieg zakopane, i szopy lepiechą kryte a nawozem ogacone, przez pachołków i konie zajęte. Wielkie zagrodzenia pełne były przeznaczonego na rzeź bydła, z mniej wyniszczonych wojną ziem moskiewskich spędzonego. Wzdłuż drogi stały niezliczone a pstre kramy przekupniów, ku kwaterze carskiej zewsząd ściągających. Brodaci kacapi sprzedawali gorzałkę, piwo i dziegieć od skór. Tatarzy w kolorowych myckach, odbijających jaskrawo od śniegu, zachwalali bakalie, korzenie i piękne wschodnie tkaniny. Okutani w kożuchy chłopi klęczeli przed workami pełnymi cebuli, ziarnek słonecznika lub dyni, z Siewierszczyzny przywiezionych. Nie brakło też którzy handlowali naczyniem różnym, bronią, sprzętami domowymi, nawet ikonami. Wysyłane codziennie po karm i spyżę dla koni ekspedycje wracały zawsze obciążone łupem, — ubogim wieśniaczym, lub bogatym, zależnie od tego, czy na drodze znalazły się tylko ogołocone ze wszystkiego wioski, czy też bojarski grodek, lub miasteczko. Panowie żołnierze spieniężali natychmiast zdobycz u kupców, od których wczorajszy właściciel odkupywał nieraz swą własność nazajutrz.

Na wąskich pierzejach, przekopanych w śniegu między domami, panował ustawiczny ruch. Zwolna, uroczyście, przesuwali się stojący przy Dymitrze bojarowie w barwistych, długich tułupach. Przystawały zalęknione, wilkiem patrzące mużyki, dla powózek pospędzane. Fyrtały się, na poły lękliwe, na poły zuchwałe, dziewki obozowe. Wszystko to zagubione w przeważającej ciżbie panów żołnierzy, butnych, gadatliwych, niepomiernie pewnych siebie.

Pośrodku obozu, na szerokim placu, stały, widne z dala, dwa dworce z kominami, o szklanych oknach, starannie ogacone i opatrzone przed zimnem. W jednym mieszkał car Dymitr z carową Maryną i dworem, — w drugim książę Rożyński, naczelny wódz Dymitrowych wojsk, po wyjeździe starosty uświatskiego niepodzielnie rządzący obozem. Pan Sapieha dość już dawno posunął się pod Troicki Monaster. Mierziła go bezczynność, i rad zaczynał czynić z wrogiem; przy tym, jako dobry wódz, nie życzył sobie bynajmniej trzymać swych chorągwi wśród anarchii, nieładu i łupiestwa, panujących w tuszyńskim obozie. Po jego a także Lisowskiego odejściu, przy osobie cara Dymitra zostały pułki kniaziów Rożyńskiego i Wiśniowieckiego, parę tysięcy kozaków przybyłego niedawno atamana Zarudzkiego, kupa wolontariuszów spod różnych znaków zebranych i spora przygarść wrogich Szujskiemu bojarów ze swymi pocztami. Wszyscy oni jednako nieznośnie ciężyli okolicy, dręcząc wynędzniałą ludność ciągłymi rekwizycjami i rabunkiem. Zniszczeni ostatecznie, do rozpaczy przywiedzeni chłopi uciekali na Sicz, albo w obszary przez Szujskich zajęte. Ci spotykali po drodze zbiegów, opuszczających tamte właśnie strony, w nadziei, że pod Dymitrem jest lżej. Jednym i drugim, schwytanym, bojarowie ucinali za karę uszy albo prawe ręce.

Żyjąc we względnym dobrobycie obozowym, zwolennicy cara Dymitra tyli, pili i rozprawiali. Gadanie odcho-

dziło jak za najlepszych czasów brzeskich albo sandomierskich. — Pośród wrzaskliwej bandy tych krzykaczy znajdował się i Sebastian. Nie pociągnął pod Moskwę ze starostą uświatskim, zatrzymany w Tuszynie przez Wąsowicza. Gruby komornik bowiem zrzucił z ulgą z ramion surową dyscyplinę Sapieżyńskich chorągwi i nakłonił obojętnego, wykolejonego samotnika, aby pozostał z nim razem. Pan Wąsowicz uczynił zeń sobie w tym czasie nieodłącznego adlatusa, cień niemowny, którego milcząca obecność, mogąca uchodzić za aprobatę, dodawała powagi i ważności komornikowym wywodom. Choć zdawna antypatyczny Sebastianowi, posiadł nad nim wpływ ogromny i niezrozumiały na pozór, spowodowany gruntownym zeszkapieniem, zapadnięciem się na duchu dawnego ulubieńca Farnowskiego. Wszystko, co go otaczało, stało się Pielszowi tak dalece wstrętne, przykre i nielube, że pan Wąsowicz przestał wydawać się gorszym niż drudzy... Poddając się kurateli grubego szlachcica, nie potrzebował przynajmniej myśleć, decydować, wybierać. Pozwalał nieść się bezwolnie losowi, który tłukł nim niby woda kamieniem o dno potoku. Spychał z grzbietu dzień za dniem, każdy podobnie obrzydły i uprzykrzony. Przywykł powoli nic nie robić, nie czuć, nie słyszeć, a przede wszystkim nie zastanawiać się nad niczym ani wspominać niczego. Dopiąwszy tego, przestał prawie cierpieć. Nie było to jednak łagodne, błogosławione zapomnienie, cichy śnieg, pod którym dusza leczy swoje rany i zbiera siły, aby odnową wytrysnąć, — lecz ciężki duszny czad, tuman dręczący, trzymający mózg jakoby w ciągłej obręczy przepicia, w rozmyślnym ogłupieniu, będącym ucieczką przed własnym sumieniem. W podświadomych, najgłębszych zakamarkach myśli nie przestawał drżeć przed chwilą, w której musiałby spojrzeć w głąb samego siebie, rzucić okiem wewnątrz własnej, niegdyś tak hartownej, nie uznającej kompromisów duszy. Ukochana dawniej sa-

motność zdawała się teraz wrogiem, czyhającym jeno na chwilę sposobną, by rzucić w twarz palące pytanie: Ktoś jest? Co między tymi ludźmi robisz? Coś z duszą twoją uczynił?!...

Czując, że nie zdoła znieść podobnego zapytania, ogłuszał się rozmyślnie paplaniną Wąsowicza i przyjaciół jego, nurzał się w płaskiej ich pospolitości, towarzyszył milcząco na wszystkie narady i codzienne niemal burzliwe zebrania żołnierskiego Koła, przysłuchując się tym samym wieczyście sporom. Postarzał, wychudł, znędzniał na duszy i ciele i, o ile to było możliwe, jeszcze bardziej sposępniał. Gorzkie, niedbałe fałdy koło ust zastygły w odlew tak nieruchomy i zwarty, że trudno było przypuścić, by mógł kiedyś uśmiech pogodny, może dłoń czyjaś, wygładzić je i rozsunąć.

Co prawda, gdyby nie opieka pana Wąsowicza, z którym razem kwaterował, skapiałby ze szczętem, a nieraz głodem przymarł. Wbrew bowiem sutym obietnicom, przywożonym pod Brześć przez Zerstinowskiego, kwarty, a bodaj jej części, nikt jeszcze nie dostał. Kto nie umiał sobie radzić sposobem doraźnej rekwizycji, nie byłby się ostał żadną miarą. Lecz pan Wąsowicz nie od parady miał głowę na karku, toteż nie zbywało mu na niczym, przy nim zaś i ponuremu towarzyszowi.

Nie przeszkadzało to bynajmniej, że w chórze ogólnym narzekań głos komornika chęcińskiego był najdonioślejszy. Niesłowność cara, wyrwanie odeń przyrzeczonych zobowiązań, stanowiły niewyczerpany a coraz bardziej palący temat ciągłych obrad Koła, i pan Wąsowicz nie omieszkał za każdym razem roztaczać szeroko swych żalów. I dziś szedł żwawo z nieodstępnym Sebastianem na plac wolny za taborami, gdzie się towarzystwo zbierało. Słoneczny dzień kładł błękitne, głębokie cienie na drodze, zapalał tysiączne iskry w kryształowych ostrzach sopli, zwieszających się ze strzech. Śnieg skrzypiał pod nogami.

Idąc, pozdrawiali towarzyszy dążących w tę samą stronę. Zazwyczaj przebieg obrad kończył się ułożeniem i przesłaniem carowi ultimatum pisemnego, wedle którego wojska miały nazajutrz powracać do domu, o ile zaległa kwarta natychmiast wypłacona nie będzie, — dzisiejsze jednak zebranie zanosiło się burzliwiej, bo cierpliwość towarzystwa wyczerpała się doszczętnie. Toteż na placu czarno było i gęsto od głów.

Wśród ogólnego hałasu i krzyków pan Młocki oskarżał nieobecnego na sali wojewodę sędomirskiego, że carską szkatułę ze szkodą dla wojska, swój jeno profit na oku mając, chytrze podbiera. Pan Budziło poparł to oskarżenie, dodając, że car onegdaj ofiarował ubiór teletowy i rząd srebrny księciu Jadamowi Wiśniowieckiemu. — Temu pijanicy! — trząsł ręką, zgorszony. Oburzone towarzystwo domagało się krzykliwie wypędzenia wojewody i księcia z obozu. Reprezentujący na zebraniu cara, bojarowie Hrehory Szachowski, Michaił Sałtykow i Fiedor Andronow, obsaczeni zewsząd przez żądających pieniędzy, — rozkładali bezradnie dłonie i, łypiąc chytrze powiekami, zapewniali po raz setny, że Jego Wieliczestwo Hosudar pożałuje hojnie panów rotmistrzów, skoro jeno na stolcu imperatorskim szczęśliwie zasiędzie. Nie dano im jednak dokończyć długiej a dobrze znanej litanii obietnic. Całe towarzystwo jednym głosem zażądało przybycia samego cara, grożąc, że w razie odmowy ruszą na jego kwaterę. Widząc wzrastający tumult, Szachowski wysunął się chyłkiem przezornie. Za nim podążył Sałtykow. Wzburzone rycerstwo przychwyciło za aksamitny brzoskwiniowy tułup pragnącego pójść w ich ślady Andronowa, zapowiadając niesłychane gwałty, jeżeli cara zaraz nie sprowadzi. Dla pewności wysłano z Andronowem kilku co najlepiej wyszczekanych towarzyszy, jako delegatów. Poselstwo odniosło skutek. Po dobrej godzinie czekania nadjechał car Dymitr z monarszą okazałością, ma-

jącą na celu olśnić i ściszyć rycerstwo. Spod jasnobłękitnej sobolowej szuby przebłyskiwał złoty żupan. Wysoki szłyk marmurowy oszyty był w koło perłami. Dwóch bojarów trzymało ponad nim adamaszkową chorągiew. Wbrew jednak wspaniałości ubioru, prostacka jego twarz zdradzała żywy niepokój. Stanął pośrodku Koła, tuląc głowę w ramiona, jakby w oczekiwaniu razów.

— Zdrastwujtie, gaspada — zaczął. Ale zgłuszono go krzykiem:

— Gdzie diengi?

— Potrójna kwarta!

— Płać, taki synu, albo wracamy do Polski!

— Do Szujskiego lepiej! Do Szujskiego!

— Pierwsi ci bitwę wydamy, hultaju!

— Po coś obiecywał, gałganie!

— Gaspada rotmistrze — zaczął car znowu, równie bezskutecznie, bo krzyki trwały wokoło.

— Nie gadania nam trza, ale rublów!

— Na podarki dla faworytów jest, a dla wojska nie ma!

— Hańba! krew za ciebie przelewamy, ni grosza za to nie widząc!

— W Siewierszczyznę, panowie, ruszajmy! tam szukać wedle umowy!...

Skulony i stropiony car rozjaśnił nagle oblicze.

— Gaspada Paliaki! — zakrzyknął, — nie szumitie! budut' diengi!

Uciszyli się natychmiast. Obstąpiono go ciasno, słuchając co powie.

Tłumaczył długo i przedkładał, że ni pieniędzy, ni klejnotów na razie nie posiada. Czekają one na niego w skarbcu moskiewskim, wraz z tronem. Co do podarunków rzekomo rozdawanych faworytom, fałsz to podły i obmowa. Panowie rycerze mogą sami przyjść i sprawdzić. Jeżeli jednak on, Hosudar, ubogi jest jak sierota, ma za to

oddane sobie bogate i zasobne grody, co niewątpliwie pieniędzy obrońcom prawego cara nie odmówią. Niechże zatem panowie rotmistrze wybiorą spośród siebie delegatów, którzy z wiernikami bojarami i skryptem carskim pojadą do grodów siewierskich zbierać z nich daninę Delegaty mogą ruszać choćby jutro — zakończył.

— Wiwat car! — krzyknęło drwiąco parę głosów.

— A nie okpisz? he? — spytał groźnie sam książę Rożyński, ujmując cugle carskiego podjezdka.

— Jej Bohu, nie! — przysięgał, bijąc się w piersi.

Pozwolono mu odjechać spokojnie. Cała uwaga Koła zwróciła się teraz na wybór odpowiednich delegatów. Nie było to sprawą łatwą, bo w tym zacnym gronie nikt zbytnio nie ufał nikomu. Nareszcie zdecydowano się wysłać panów Wilamowskiego, Kazimirskiego seniora, Budziłę i Rudnickiego.

— A pilnujcie się, bo Moskwiciny chytre jako gady!... Ni na chwilę nie dajcie wiernikom mówić ni z kim bez was — upominał ich książę Rożyński.

— Już my sobie poradzimy; znamy tę hołotę — uspokajał Kazimirski.

Roztrząsali plan podróży, gdy z obozu, na oszędziałym od mrozu koniu, nadjechał pan Pobiedziński, olbrzym, o wąsach jak wiechcie, srodze oszronionych. Zdziwiono się jego przybyciu, bo pozostawał pod Pskowem.

— Czołem waszmościowie! Czołem!

— Czołem! — krzyknięto skwapliwie. — Co słychać?

— Mróz w polu, że ślina marznie...

— Wiadomo; ale co z Pskowem?

— Wszystko dobrze — zapewnił, zabijając z grzmotem ręce na potężnej piersi. — Takem się za wami stęsknił, waszmoście, żem prosto tutaj zajechał, dobrą nowinę powiedzieć, choć uszy całkiem mi skrzepły...

— Rozgrzejem cię, nie bój się, jeno praw nowinę...

— Taka oto: Psków się zdał i pięćdziesiąt tysięcy rub-

lów dla Hosudara przysłali... Taki to zasobny gród!... Pięćdziesiąt tysięcy!...

— Na Boga! co gadasz! Dawajże je żywo!...

– My tu już ze wszystkim zeszli; w szczęsnąś się porę nadarzył....

— Dawajże je, dawaj skoro!

— Toćże przy sobie ich nie mam — tłumaczył się wesoło szlachcic. — Zdałem je zaraz porządnie do carskiej kwatery...

— Oj, to gorzej! — mruknął niechętnie Wąsowicz.

— Tfu, do kaduka! Zły pomysł waszmościn!

— Jakżeś mógł, towarzyszu, tak poszkapić sprawę?!

— Trza było pieniądze u mnie, jako u naczelnika, złożyć — rzekł gniewnie Rożyński.

— Nijak nie mogłem—submitował się Pobiedziński.— Wojewoda sędomirski z samym carem jegomością zastąpili mi drogę co ino przed dworcem. Wojewoda powiada: „Masz waść od Pskowian pieniądze, dajże je rychło, bo chcemy towarzystwo wypłacić, które się burzy i samemu Hosudarowi szpetnie łaje"... Cóżem miał rzec? Toć carskie pieniądze... A ot, są na wozie w trzech mieszkach, powiadam, — i wzięli...

— Wojewoda sędomirski... wojewoda sędomirski — powtarzał niechętnie książę. — Trza się mieć na baczności, mospanowie.

— A delegatów takich w Siewierszczyznę pchnąć, boć te pięćdziesiąt tysięcy — psu mucha...

Rozchodzili się do kwater, podejrzliwie pomstując na wojewodę i tupiąc z mrozu nogami. Czterej delegaci poszli ku dworcowi dopilnować Sałtykowa, który odpowiedni reskrypt carski koncypował. W piśmie tym, do miłych a wiernych przy prawym hosudarze stojących grodów skierowanym, car nakazywał dać wiela tylko mogą rubli, futer i klejnotów, koniecznych dla prowadzenia dalszej wojny ze zmiennikiem Szujskim. Car zobowiązywał się

uroczyście zwrócić te pieniądze wiernym swoim grodom, gdy tylko stolicę posiędzie.

Zątem nazajutrz rano delegaci, bojarowie wiernicy carscy Szachowski i Andronow, oraz przydane dla asysty i bezpieczeństwa dwie sotnie kozaków Zarudzkiego, ruszyli w objazd oddanych Dymitrowi ziem. W obozie zapanowało względnie spokojne oczekiwanie. W ciągu najbliższych paru dni mróz odrobinę sfolgował, za to jął sypać gęsty, puszysty śnieg. Wiatr zachodni porywał go, nim spoczął na ziemi, kręcił w powietrzu, tworząc białe wiry, leje i fontanny. W tej mlecznej ślepi o dwa kroki nie byłbyś poznał człowieka. Kupcy pochowali kramy. Ulice opustoszały. Żołnierze siedzieli w ciepłych izbach, nie kwapiąc się wyjść w zawieruchę. Korzystając z tego, wynędzniali chłopi okoliczni podchodzili pod sam obóz, kradnąc resztki opału, słomy, grzebiąc za jadłem w stosach wyrzuconych nieczystości i odpadków. Migali wśród śnieżnej kurzawy, znikali niepostrzeżenie, i pojawiali się znowu niby bezszelestne widma. Za nimi zasie od borów, równie cicho, chociaż śmielej, sunęły pojedyńczo lub gromadą — wilki. Niby we wspólnej namowie stawały, wietrząc, równie chciwie jak ludzie, w stronę szop, pełnych koni i bydła. Czasem w nieprzeniknionej gęstwie białej nocy nagłe zdradliwe spotkanie... Truchlejące, trwożne oczy, na wprost błyszczących pożądliwie ślepiów. Daremna próba ucieczki. Krótki krzyk: Hospod!.. zdławiony w jęku ostatnim.

Tuż, za ścianą, w pełnej dymu i zapachu pieczonego mięsa izbie, pan Wąsowicz krzywi się z niechęcią:

— Słyszeliście? Wilki pewnikiem kogoś zarznęły, zarazy!

— Wilki najlepsze stróże — uśmiecha się pan Chróślicki; — w taką noc złodzieje wszystko by rozniosły, żeby nie one...

— Bo pewnie!... Na zdrowie, sąsiedzie....

— Niech służy!

Siedząc w kącie, Sebastian słucha pogwarki, nie słysząc, — jak to on umie. Na dworze z wyciem przelatuje chajawica, sroga pani lutej pory; niesie z sobą niesamowite skomlenia, ni to żałosne jęki, ni pohukiwania, potrząsa białym tumanem. Walą się z nieba bez końca puchate, miękkie pierzyny, — zasypią, zatrą, skryją i przesłonią wszystko. — Sebastianowi zda się, że obojętna ich białość kładzie się równie i na jego duszę, osnuwa czucie w zapomnienie, bezwład, nicość. Zasypia dusza, przestaje wyć z tęsknoty serce. Hej, niech pada śnieg, niech pada, niechaj nawali pod niebo!... Niechaj zatonie w nim wszystko, zaginie, skrzepnie, nie wstanie...

.....

— Rany boskie! Trwoga w obozie, czy co?! W taką noc! — zrywa się pan Wąsowicz z miejsca przerażony. Pan Chróślicki łapie szablę. Otwierają na oścież drzwi.

Buchają kłębem zabłąkane śnieżki, wraz z nimi niesie się z głębi obozu głos dzwonu alarmowego. W mlecznym mroku biegają ludzie z zapalonymi wiechami, smolne pochodnie przebłyskują przez kurzawę krwawo, niby wilcze ślepia. Gwałt, wrzaski nieludzkie niosą się z wichrem przez obóz.

— Chyba Szujski następuje?! Śpieszmy, waszmościowie! śpieszmy!

Wybiegają co żywo, przypasawszy szable. Kupy zbrojnych biegną ku środkowi. Wszyscy krzyczą, lecz nikt jeszcze nie wie, o co chodzi.

— Nie bitwa, bo palby nie słychać...

— Żywiej, mospanowie! żywiej!

— Co się stało? — pyta gorączkowo komornik przelatującego mimo towarzysza.

— Zdrada! Car zdradził! Delegaci powrócili!...

Przebiegł dalej, zwołując innych. Jakoż na zapchanym szczelnie, głowa przy głowie, majdanie, oświetlonym setką pochodni, mrugających niesamowicie wśród zawiei, — panowie Wilamowski, Rudnicki, Kazimirski senior i Budziło krzyczą, stojąc w saniach, z których jeszcze nie zdążyli wysiąść. Wokoło stoi starszyzna, — sam kniaź Różyński, pijany zresztą jak zwykle.

— Zdrada, panowie!!! — ryczy Wilamowski. — Rozsiekać wora! Na śmierć nas chciał wydać!

— Rozsiekać! — potwierdza tłum.

— Do dworca! Na gardle mu siąść! Judaszowi podłemu! Szelmie!

— Do dworca! — przywtarza tłum.

— Na boga, powiadajcież w przód waszmościowie, co zaszło, *ab ovo*...

— *Ab ovo* zaraz opowiem — sapie Budziło. — Uciszcie się mospanowie!... Zdam dokumentną relację... Słuchajcie, co obmyślił ten arcypiekielnik!

— Słuchamy! Słuchamy! Rozsiekać!

— Czekajcie! zaraz opowiem!... Wyjechali my rano we wtorek... Uf! z indygnacji w grdyce mnie zapiera... We czwartek kole południa mija nas jakiś chłopina... Szkapę miał z rybim okiem, którą-m poznał, bom ją przy carskiej kwaterze uwiązaną widział, gdy Sałtykow, ów reskrypt dla nas spisywał... Co za mżyk? — pytam tedy Andronowa. — „Ja znaju? — prawie ten cap; — mużyk jakisik tutejszy". — Ejże, on w obozie był!... „Nie wozmożno! to tutejszy człowiek, nigdy go w obozie nie było..." Lepszą mam pamięć, niż ty, skopie, myślę, bo bylem szkapę, choćby chłopską, raz obaczył zapamiętam... Ty kuda? — krzyczę za chłopem. „W Kostinu" — powiada. — No, nam droga w inną stronę, przez Biełoje; ruszajże sobie... Zajechali my na noc do Biełoje. Rano wyszłem przed izbę zobaczyć, jaka pogoda, a tu, masz! Co do krocset?! szkapa z rybim okiem mignęła między płotami!

To, mówię waszmościom, jakby mnie coś żgnęło. Pchnąłem pachołka za chłopem: Ty tu skąd? Gadałeś, że jedziesz w Kostinu?... Mużyk trzęsie się ze strachu i nie gada nic. Dałem mu w gębę parę razy, i obszukać kazałem: Listy! Z carską pieczęcią!... Zdrada to jakowaś, myślę. Poniechawszy mużyka, co tchu do kwatery bieżę. Podeliberowawszy z panami towarzyszami, otworzyli my one listy, choć to gardłowa rzecz. I ot! Aż nam dech odjęło, panowie! Oto one listy... Dalibóg, jak wspomnę, cholera mnie chwyta, że gadać zgoła nie mogę... Te listy! Dyskrecjonalne, tajne, do wszystkich grodów, do których zajeżdżać my mieli... Tenor, krótko rzekłszy, taki: Delegatom (niby nam) pieniędzy nijakich nie dawać, a uda się gdzie delegatów (niby nas, panowie, nas!) przyłapić i zadawić, abo pod lód puścić, to i charaszo...

Umilkł, a wrzawa straszliwa wybuchła na nowo. Najspokojniejszym oczy płonęły wobec tak jawnej perfidii. Powietrze drżało od krzyków, krzyżujących się pośród zawiei.

— Rozsiekać zdrajcę! Gorze! Na szablach go roznieść!!

— Wor przeklęty! Oszust! rakarz!

— Oto komu służym! Hańba! Hańba! Gorze!

— Na dworzec! Hajda! na dworzec!

Ponieśli się ławą ku carskiej kwaterze, ze zdziwieniem zastając ją obsadzoną silnie kozakami Zarudzkiego.

— Puszczaj waść! — krzyknął do niego Rożyński.

— Ani kroku dalej, Wasza Miłość! — syknął zuchwale ataman. Podniósł do góry głowę, mierząc wyzywająco chwiejącego się na nogach wodza. W prawej ręce trzymał gotowy do strzału pistolet, w lewej szablę, a oczy wyraźnie mówiły, że nie ustąpi bez walki.

— Puszczaj waść! — powtórzył książę. — Na bok! na bok! Słyszysz?

— Nie ustąpim, Wasza Miłość!

— Ejże, mości Zarudzki! — wołano z szeregów, — z worem trzymasz? zdrajcą? Judaszem, gałganem?! Ruszaj precz, bo uderzym! Na bok!

— Nie dopuszczę żyw nikogo do carskiej kwatery...

— Jaki mi zelant! Nie wiesz chyba, co on zrobił!

— Nie gadać! Pewnie są w zmowie! Bigosować!

— Bigosować! Do szabel! do szabel!

Zanosiło się na walną bitwę, lecz w tejże samej chwili w przeciwnej stronie obozu wybuchnął wrzask nieludzki.

— Pan wojewoda sędomirski ucieka z obozu! Pan wojewoda sędomirski!!

— A niech go diabli biorą! — zakrzyknął Rożyński,— co nam do tego? Niechaj idzie z Panem Bogiem!

— I ze pskowskimi rublami?!

— O dla Boga! słuszne słowa! Zadzierżyć go trza! Zadzierżyć!

— Uciekałby to cichcem, nocą?

— Rety! trzymać! ludzie! rety!

Plac przed dworcem opustoszał w moment. Kilkotysięczny tłum poniósł się na przełaj w stronę, skąd dochodził krzyk. Ataman Zarudzki odetchnął. Schował szablę do pochwy i jął przechadzać się zwolna przed dworcem, nasłuchując bacznie dolatującej z oddali wrzawy. Chwilami podnosił głowę ku dwom oświetlonym oknom. Poprzez kryjący szyby mróz światło sączyło się nikłe, rozwiane, kładło nieśmiałe połyski na młodej twarzy atamana.

Urodziwy był wielce. Do doskonałej piękności brakowało mu jeno czegoś nieuchwytnego, owej swobodnej, uprzejmej pewności, jaką nadać może tylko szereg pokoleń, nie potrzebujących kłaniać się przed nikim. Jakoż, choć uważano go powszechnie za dobrego szlachcica, był w istocie chłopskim synem ze wsi Zarudy, w Tarnopolskim położonej. Przed sześciu laty zabrali go w jasyr Tatarzy. W niewoli dzielnością i sprytem pozyskał serce starego,

wraz z nim ogarniętego szlachcica, który go kształcił, czytać i pisać nauczył, za syna uważał i klejnot własny darował. Po śmierci starego chłopak zdołał zbiec na Sicz. do kozaków, gdzie wprędce atamanem zasłynął. Ale nikt o tych kolejach młodego rycerza nie wiedział, ni paranteli dochodził. Opiekunowy sygnet zdawał się dostateczną gwarancją urodzenia, a męstwo legitymacją. Piękna przyszłość, utkana zasługą i sławą, leżała przed atamanem. Pomimo to nie znać w nim było radości, bujnej, kozackiej, beztroskiej.

Stojący w pogotowiu przed dworcem mołojcy spoglądali z milczącym zdziwieniem, nie pozbawionym krytyki, na udręczoną twarz swego dowódcy. Dlaczego obstawał za „worem", miast pozwolić wyłupić go rzetelnie, jak tego chciało najsłuszniej rycerstwo, jeszcze w tym tęgo dopomóc? Jakiej się nagrody spodziewał? Miękki, chybotliwy blask, siejący się przez okryte mrozem szyby, zgasł. Mleczny mrok wzmagającej się nieustannie zawiei utulił dworzec, żołnierzy i atamana...

Równocześnie w odległym o wiorstę prawie, przeciwnym końcu obozu rozjuszone towarzystwo otaczało kryte sanie zatrzymanego wojewody Mniszcha. Bardziej niż zwykle czerwony z gniewu i alteracji, wojewoda podnosił surowo głos, wzywając panów braci do opamiętania. Z gestem rzymskiego senatora godnym rzucał gromko w zawieruchę ubolewanie, że wolność szlachecka od swoich nawet zaczyna być oprymowana. Nieszczęsny więzień, małoż dotąd wycierpiał! Jeszcze i swoi nań się zasadzają!... Wiera — konstatował, — na kształt otaczającej barbarii, manierem jej się przejąwszy, waszmościowie poczynają...

— Bez frazów! — krzyczano wokół. — Gdzie pieniądze z Pskowa?!

— Pieniądze z Pskowa? — powtórzył wojewoda w najwyższym zdumieniu.

— Pobiedziński przywiózł. Gdzie są?!

— Bodajem skonał, jeśli są u mnie! Bodaj mnie żywcem zatchnęło!

— Nie wierzym, stary cyganie! Oddawaj!

— Oddawaj!! — ryczano groźnie zewsząd.

— Pieniądze! — roześmiał się gorzko wojewoda, potrząsając siwą głową. — Pieniądze?! Własną chudobę oddałem, by dziecko ratować, groszam moskiewskiego nigdy nie widział! Ze swojego ustawicznie dokładam, a ot jaka mnie nagroda od waściów spotyka...

Łzy stanęły mu w oczach. Niektórzy z otaczających, zmiękczeni, gotowi byli go puścić, lecz książę Rożyński trwał uparcie przy swoim.

— Nie byłby nocą wyjeżdżał, korzystając z tumultu — dowodził. — Panowie! skoczcie no, samo kilku, do tamtego łotra (jutro porządek z nim zrobim) z zapytaniem, gdzie pieniądze. Niech je ukaże, dopiero puścim wojewodę...

— Niech ukaże! dobrze mówi!

Ze dwunastu towarzyszy popędziło ku dworcowi. Tymczasem pan Mniszech przedkładał otaczającym, by go nie zadzierżywali dłużej, przy tak nieznośnej pogodzie, po przyjacielsku doradzając towarzystwu wracać do kwater, miast stać na wietrze i mrozie. Nie słuchano go jednak, czekając, aż z mroku śnieżycy wysunęli się cwałem powracający wysłańcy.

— U niego pieniądze! niego! — wołali z daleka.

— U wojewody pieniądze!!!

— Nieprawda! — jęczał pan Mniszech, opadłszy bezsilnie na poduszki, — nieprawda!! Oszczerstwo! Bracia! Nie wierzcie ni słowa! To oszust! łgarz! szalbierz! wor!!

— Ty sam wor!! Oddawaj!! — wrzeszczano wokoło.

Tłum napierał coraz groźniej. Zewsząd wyciągały się ku wojewodzie zaciśnięte pięści, leciały groźby, trzaskały szable. W nagłej decyzji pan Mniszech sięgnął pod

siedzenie, i wydostawszy stamtąd ciężki miech skórzany, cisnął go daleko w śnieg.

— Macie! bierzcie! udławcie się! — wycharczał z pasją. — W konie! — wrzasnął do woźnicy.

Nikt go już nie zatrzymywał, bo wszyscy rzucili się gdzie upadł miech. Stojący przed kolasą konni hajducy ze smolnym kagańcami ruszyli przodem w skok. Za nimi ze zgrzytem płóz runęła kolaska, zniknęła w śnieżnej zawiei. Za nią cztery pary sań z łubami i kilkudziesięciu konnych.

Nie patrząc już na odjeżdżających, tłum skupił się przy rzuconym mieszku. Cisnęli się, depcząc sobie nawzajem po piętach i zaglądając podejrzliwie jedni drugim przez ramiona. W worku dzwoniły ruble. Rozsupłano sznurki, wysypane srebro, przeliczono przy pochodniach. Było osiem tysięcy.

— A czterdzieści dwa tysiące zabrał — stwierdził ponuro Rożyński. — Pokpiliśmy na głowę. Rzucił przygarść, niby prosię wilkom, na odczepne...

— O reta! pokpiliśmy!!

— Gdzie te syny, co stali przed końmi? Trza było trzymać, ażbyśmy zliczyli!...

— Czemuś waść nie trzymał sam?!

— Gonić, mospanowie! gonić!

— W tę zawieję?! Przednia rada! Nim konie skulbaczym, odsadzi się już o milę...

— Dobrze zmiata, nie bójcie się...

— Nie trzeba było puszczać, nie byłoby potrza gonić... Śladu nie dojrzysz, bo sypie... Nie wiada, czy do Sapiehy, czy na Smoleńsk skręcił...

— Przepadło, wymknął się stary lis...

— Na dudków nas wszystkich wystrychnął!...

— Biada, waszmościowie! biada!

— Nawet po rublu na głowę nie chwaci!

Rozchodzili się klnąc cara, wojewodę i własną nie-

ostrożność. Pan Budziło szedł, sapiąc, pobok Wąsowicza.

— Bieda, bieda — powtarzał, — a najgorszej pono nowiny jeszczem nie zdążył powiedzieć...

— Dlaboga! jeszcze coś złego? Chyba dość na jedną noc?

— Otóż właśnie nie dość, jenom rzec zabaczył: Król z hetmanami i wielką siłą już stoi pod Smoleńskiem, rozejm z Szujskimi zerwawszy...

— Ha! — rzekł Wąsowicz, zaskoczony, — i co będzie?

— W tym sęk, co będzie? Król zarówno przeciw Szujskim jak i Dymitrowi się deklarował. Albo nam tedy do króla trza przejść, wszelkiej sperandy się wyrzekając, albo ze swoimi z wątpliwym skutkiem się bić...

— Reta! reta! — alterował się komornik, — niespodziewana kabała! Do Sodomczyka przejść, powiadasz waść? Wolałbym do Kanibalów! Nowy to dowód jawnej jego przewrotności; na nas, niewinnych, zażarty jeszcze na obczyźnie godzi!

— Krzywda! krzywda sroga! — przywtarzał markotnie Budziło.

— Wyżenąć nas chcą! Na nasze krwawe wysługi nastąpić! Litości nikt nie ma nad nami, niebożętami!

Szli, biadając i brnąc w śniegu, który padał bezustannie, spokojniej, bo wiatr nieco przycichł.

— Niech pada, niech pada! — myślał wlokący się z tyłu za nimi Sebastian. — Niech zasypie cały świat, i obóz, i mnie z nim razem... By nawet znaku nie było pod białym, grubym kożuchem... Znaku, ni śladu żadnego...

ROZDZIAŁ X

CAR I KANCLERZ

— Nie pij Onufry więcej; już dawolno — wyciągnął rękę Miechowiecki, odstawiając kufel.

Car Dymitr skrzywił się z żalem.

— Daj, ja car; wódki sobie będę żałował?...

— Będziesz pił, jak pójdę, teraz nie! Rozpiłeś się na szczęt, odkąd mnie nie ma, brodiago...

— Ciężko, miły druhu, ciężka carska dola...

— Ejże! — parsknął śmiechem Miechowiecki. — Kołdun ci się spasł jak u wieprza, a gadasz, że ciężko...

— Ciężko, ciężko — mruczał uparcie car, ocierając wierzchem dłoni zaczerwienione pijackie oczy.

Siedział rozwalony na ławie; spod jedwabnego zupana wyzierała brudna rubacha. Patrzył tępo na Miechowieckiego z wyrazem nieokreślonego lęku, podziwu, wdzięczności i zabobonnej trwogi. Patrzył niby na szatana, czarta-pokuśnika, co za cenę duszy zmienił jego, prostego mużyka, w cara. Jakoż wychylająca się z cienia, pozbawiona zarostu twarz byłego sekretarza i kanclerza miała coś szatańskiego w swej złośliwości. Z szyderczym uśmiechem przyglądał się „carowi", niby ulepionej przez siebie dla zabawy kukle.

Co prawda, mógł tak spoglądać. On wszakże był autorem błażeństwa drugiej Dymitriady, on dostarczył głównego aktora i sztukę genialnie wyreżyserował. Kupom zbrojnym żądnym grabieży i pomsty za rzeź majową, bojarom niezadowolonym z Szujskiego, ciemnym moskiewskim tłumom błagającym Boga o jakąśkolwiek odmia-

nę — podał usłużnie dalszy ciąg dramatu, zmienionego w komedię. On wynalazł w Starodubiu rzekomego Dymitra, nie różniącego się od tysiąca innych mużyków niczym, jak pewną, większą nieco, dozą sprytu i ambicji;— pchnął go na arenę, kierował jego krokami, szepcąc do ucha słowa, które należało mówić, pisząc zań listy i odezwy. Źródłem nieustannej wesołości była dlań myśl, że do trudnej roli wybrał tego właśnie ciemnego prostaka, chodzącą antytezę zmarłego, a jednak tłumy nań przystały... Zamknęły oczy i poszły, ujrzawszy przy jego boku możliwość osiągnięcia własnych korzyści i celów.

— I świnię na tronie posadzić, a miech z talarami jej dać, też by poszli — myślał, znajdując w tym przekonaniu cyniczną przyjemność.

Nienawidził Moskwy i pogardzał nią. Nienawidził równie prawie swoich współrodaków. Bawiąc się przednio, a bynajmniej nie bezinteresownie, widokiem ludzi, podrygujących niby jasełkowe lalki wokół postawionego przezeń Pomazańca, nie byłby ustąpił pupila na krok, kierując nadal, wcale pomyślnie, imprezą. Na nieszczęście dla niego i cara, zbytnią arogancją i zadufaniem naraził się Rożyńskiemu. Popędliwy wódz wygnał go, pół roku temu, sromotnie z obozu, klnąc się na zbawienie duszy, że własną ręką ubije kanclerza carskiego jak psa, jeśli odważy się powrócić kiedykolwiek. Miechowiecki, znając kniazia, nie wątpił, że obietnicy dotrzyma, i z żalem placu ustąpił. Od owej chwili dziś po raz pierwszy cichaczem przyjechał. Gwałtownie potrzebował pieniędzy, car zaś na listy, których zresztą sam czytać nie umiał, był głuchy. Poza tym zbierała kpinkarza ochota spojrzeć na Marynę; ujrzeć ją przy boku „cara“ i zapytać uniżenie, czy trafnie wybrał jej męża. Asystując wojewodziance od wieczoru zaręczynowego poprzez uroczystości koronacyjne aż do ostatniej chwili zamachu i klęski, — znał dobrze jej dumę i pogardliwą wyniosłość. Nieraz ich na sobie doświad-

czył. Rad by więc teraz zobaczył tę pyszną carycę przy boku obecnego małżonka...

— Gdzież jejmość carowa? — zapytał.

— Ja znaju? — odmruknął chłop.

— Kto będzie znał? Żona twoja...

— Czort ją zabieri! — splunął car.

Miechowiecki roześmiał się głośno:

— Cóż ty? nie sławna żeńszczyna?

— Wodka sławnaja, wodka mat', a etu Paliaczku — k'ciortu!

— Znasz się, chamie, na marcepanie... Nie wie nikt aby, żem tu jest? — zaniepokoił się nagle.

— Ja nie gawarił nikomu...

— Bando na mnie ogłosili. By się Rożyński dowiedział, gotów ubić... Ale ty car; obroniłby mnie?

— Nu — bez wielkiego przekonania potwierdził chłop.

— Na carskiej kwaterze jestem... tu przecież nie ośmielą się zajść?

— Kiedyś tu chcieli, ale Zarudzkij nie puścił...

— O cóż ciebie nachodzili?

— O diengi! Płoche carstwowanie bez dienieg... Daj mnie diengi, budu ja wielikij, sławnyj Hosudar... Wot!...

— Nie masz dienieg? — powtórzył przeciągle, z przykrym zawodem w głosie, Miechowiecki...

— Nie mam, drug... Wsio zabrali... niczewo nie ostawili... Bez dienieg niet carstwowania... rugają, sromosłowią... A Paliaki chuże wsiech!...

— Nijakiego respektu dla Majestatu! — parsknął znów z cicha Miechowiecki.

— Nu...

— Rekwizycje możesz robić, z grodów pieniędzy dostać — pouczał go.

— Uże wział...

— Ale car jesteś przecie?

— Nu... da...

— I bojary dumne pokłony ci biją?

— Nu...

— Hosudar jesteś, imperator, klejmo carskie masz...

— Nu... da...

— Bacz Onufry: kto to zrobił?

— Ty! Bodajeś zdechł, przeklęty! — warknął naraz car, nienawistnie.

— O!... taka wdzięczność? — zdziwił się sekretarz. — Źle ci, powracaj w Starodub, znajdą sobie lepszego, nie bój się...

— Odwykł ja od pracy... ciężko ostać, ciężko wrócić... Sobacze życie!..

W głosie jego było tyle żalu i goryczy, że Miechowiecki, cynik bez sumienia, zamilkł zaskoczony, spoglądając na „cara" niby na nowego, pierwszy raz ujrzanego człowieka. Lecz chłop już się pohamował.

— Wodka mat', ty moj drug... — rzekł, przysuwając do siebie łakomie gąsiorek.

Miechowiecki nie bronił mu już, bo w tejże chwili pod oknami zabrzmiały głośne okrzyki. Zaczęli nasłuchiwać uważnie.

— Ty moj drug — powtórzył car, — jedź już lepiej... Rożyński mocno na ciebie nastaje... Pijanica, a zawzięty! Jakby się dowiedział....

— Pijanica?! On także?! To u was taki generalny manier, widać...

Urwał, bo krzyki wzmogły się, zbliżyły.

— Car jesteś — podjął Miechowiecki gorączkowo, — nie puścisz ich tutaj... Gwałt by to był. Nie dopuść, ja twój gość!...

— Nu, nu — mruczał car niepewnie.

W tejże chwili rozległo się gwałtowne kołatanie do drzwi wejściowych.

— Nie puść! — szeptał Miechowiecki. — Niech pa-

chołek idzie, powie, że hosudar śpi... Nie ośmielą się... Prędzej!

— Hospodi! Hospodi! — powtarzał bezradnie car, nie słuchając.

Drzwi jęczały od silnych uderzeń.

— Dalej, chłopcy! Zdrajca tam jest! Bando na kancellariusa!! — zagrzmiało pod drzwiami.

Miechowiecki zbladł jak trup, poznawszy głos Rożyńskiego.

— Pchnij pachołka, capie! — syknął. — Gdzie są drzwi drugie?! Loch jaki?! Kto temu diabłu powiedział, że jestem?!

— Hospodi! Hospodi! — powtarzał nieprzytomnie przerażony car.

W tejże chwili drzwi pękły pod naporem ramion. Gromada ośnieżonych ludzi wtargnęła do izby. Na czele szedł książę Rożyński, z czekanem w ręku, bez szabli. Wyjątkowo nie był pijany, lecz zimna, nieubłagana zawziętość malowała się na jego wyniosłej, sępiej twarzy.

— Jest psubrat! szelma! wywołaniec! łotr! — ryknął dojrzawszy kanclerza. — Dalejże, chłopcy! brać go!!

— Gość jestem carski! Wara ruszać! — wrzeszczał przeraźliwym głosem Miechowiecki, uskakując za plecy Dymitra.

— Ja car... nie rozrieszaju — przytwierdził tenże nieśmiało.

— *Crimen laesae majestatis!* Gardło dacie! wara ruszać!

— Da, da... ja nie razrieszaju... Paszli, dobryje ludi, won..

— Precz! — huknął książę, odrzucając cara na bok — Chłopcy! zakłuć to ścierwo jak świnię!

— Wasza Miłość!! — jęknął rozdzierająco Miechowiecki, padając na kolana. Lecz nie skończył. Ugodzony berdyszem w głowę, padł, charcząc, na ziemię. Posypały

się razy. Drgał chwilę konwulsyjnie na podłodze, aż znieruchomiał.

— Ja car, nie razrieszaju — zaczął Dymitr, — wy, kniaź, budietie atwieczat,...

— Milcz sukinsynie, sobako, bo i tobie łeb zdejmiem, jak nic! Patrzcie go! Z gnoju my cię podnieśli, ale ani się opatrzysz, jak do gnoju wrócisz!...

— Nie szumitie, kniaź... Niczewo — tłumaczył się już pokornie.

— Swołocz! Sam będziesz odpowiadał, żeś wywołańca sprowadził i bronić chciał...

— Jej Bohu, ja nie wołał... Sam jemu mówił: uchodi... A on został...

Lecz Rożyński nie słuchał już. Kopnął pogardliwie nogą nieruchome ciało wroga i wyszedł, — pachołcy za nim. Za progiem otarli starannie śniegiem skrwawione ostrza berdyszów.

Car został sam. Łyknął wódki i podszedł do leżącego.

— Wot, biedniaga... miłyj drug moj — mruknął.

Klęknął przy trupie i, żegnając się raz po raz, zaczął przeszukiwać kieszenie zmarłego.

— Niet niczego — westchnął; — wierno za diengami przyjechał... Wsie chotiat dienieg — zakończył filozoficznie.

Przeżegnał się jeszcze raz i wrócił do wypróżnionego w połowie gąsiorka.

ROZDZIAŁ XI

OCKNIĘCIE

— Ja ci powiadam, bracie: bierz tego wilczura... Pohany na oko, ale w potrzebie będzie okrutnie cnotliwy — dowodził Wąsowicz. — Sam bym go dla siebie brał, jeno że nieochajno na takim gadzie wyjechać. Ty wszakże o paradę nie stoisz? Do bitwy lepszego nie najdziesz, a przeżywi się byle czym, bodaj korą...

Sebastian kiwał potakująco głową, dobijając z grubym kacapem targu o konia kirgiza. Był to stwór tak mało do konia podobny, że chyba nikt drugi z towarzystwa nie zechciałby go dosiąść, ale Sebastian obojętny był istotnie na wszelką paradę. Niewielki, kudłaty zwierz, silnie na muskularnych, niskich nogach rozparty, miał sierść jednostajnego brudnożółtego koloru, krótką szyję i wielki, niezdarny łeb.

— Wytrwałe to, bo wytrwałe, krzepkie, bo krzepkie, może nawet ścigłe; ależ szpetne! — dziwował się Kazimirski junior. — Chyba go waść każesz zgolić i na inną, przystojniejszą maść przemalować?

Sebastian obojętnie machał na wszystko ręką i łyskając wściekle ślepiami bydle kazał pachołkowi odprowadzić do stajni. Potrzebował konia, bo służący mu wiernie wałach, jeszcze z Czarnego Potoku wzięty, dostał silnego ochwatu.

Zadowolony z kupna, szedł dalej z komornikiem chęcińskim, obaj słuchając nowin świeżo przez pana Kazimirskiego ze Smoleńska przywiezionych. Wokoło iskrzył się, płonął i skrzypiał pod stopami śnieg. Był to drugi nowy śnieg, druga zima rozpoczynająca się w tuszyńskim

obozie. Całe lato zeszło na drobnych utarczkach, dość niefortunnym obleganiu Troickiego Monasteru przez pana Sapiehę, — łajaniu cara i ściąganiu uciążliwym kwarty.

— Poselstwo, jako rzekłem, będzie tu na dniach — ciągnął Kazimirski. — Zważcie waszmościowie, że przybędzie nie do cara, którego pod Smoleńskiem zgoła nie przyznają, jeno do nas, do towarzystwa... Niemały splendor, — co?! Jużcić namawiać będą, by się z wojskiem królewskim połączyć, ale o tym mowy nie ma...

— Mowy nie ma! — potwierdził Wilamowski, podchodząc ku nim. — Konfederację trzymać będziem...

— A co myśli pan starosta uświatski, nie wiecie? — zagadnął Wąsowicz.

— Sam jeszcze pono nie wie, na obie strony się chyląc...

— Klechy!! jak mi Bóg miły! Jakie ich licho przyniosło? — wykrzyknął naraz Wąsowicz, ukazując palcem dwie ciemne postaci, stojące przed dworem księcia Rożyńskiego.

— Prawda! Jeżelim nie oślepł, to ksiądz jegomość Kulesza, ten wyższy — przywtórzył ze zdumieniem Wilamowski.

— Na wywiady pewnikiem przysłali tych jezuitów przeklętych...

— Co po nich w obozie?! Obywalim się bez tego... Wyżenąć! — szurzył się pan Kazimirski.

— Dajcie spokój, waszmościowie — mitygował Wilamowski, idąc szybkim krokiem w przód. — Nie taki to ksiądz, jak inni... Zamojskiego, kanclerza nieboszczyka, kapelan. Żołnierz szczery, do niejednej wygranej dopomógł, z krzyżem w ręku przed wszystkimi nacierając... Pod gołym niebem, sypia, konia u ręki uwiązawszy... Miłość i kredyt u ludzi wojskowych ma takie, że każdego przywiedzie gdzie zechce...

— A właśnie! a właśnie! tacy najgorsi! — mruczał nieprzejednany Kazimirski.

Lecz Wilamowski witał już serdecznie księdza Kuleszę, barczystego chłopa o szorstkich, energicznych ruchach. Młodszy jego towarzysz, szczupły, widocznie nieśmiały, kłaniał się z oddalenia z zalęknionym pośpiechem, gdy Wilamowski rekomendował kapelanowi swoich przyjaciół. Boczyli się, lecz otwartego grubiaństwa nijak im było okazać.

— Znam skądciś tego człowieka — pomyślał Sebastian, spojrzawszy mimo woli na stojącego z boku młodego księżynę.

Oderwał szybko wzrok, w instynktownej obawie zahaczenia jakiejś nici bolesnej, mogącej zerwać opryskliwie narzucone, lecz jakże kruche bezczucie! Strup pozornego zobojętnienia niedoskonale przykrywał nie zagojoną ranę, żywe ciało, — nie lza go było zaczepiać... Ze złością zauważył, że ksiądz przygląda mu się również uporczywie, choć nieśmiało, skubiąc z zakłopotaniem rękawy kożuszka. Odwrócił się i stanął koło Wąsowicza, czekając niecierpliwie, rychło pójdą dalej. Czuł teraz wyraźnie na karku, na plecach, natarczywe, stroskane spojrzenie, i gniew go brał coraz większy. Czego chce ten klecha nieznajomy? Niech sobie idzie do stu diabłów!... Nieznajomy?... Nie może to być... Widział go gdzieś niewątpliwie. Gdzie? Mniejsza o to... Nie dociekać! nie dociekać! Najwyższym wysiłkiem odegnał myśl szukającą, całą uwagę skupiając na to, o czym rozmawiano.

— Skąd ojciec wielebny spadłeś? — wypytywał Wilamowski księdza Kuleszę...

— Z poselstwem ruszyliśmy, jeno pan kasztelan przemyski zadzierżył się nieco w Możajsku, tedy my pojechali w przód... Gody za pasem; toć siedemnastego dzisiaj. Może w spowiedzi trza pomóc?... Musi tu być jakiś ksiądz?

— Nie ma, bo i nie potrzeba — burknął niechętnie Wąsowicz.

— Po cóż pan poseł zadzierżył się w Możajsku? — pytał podejrzliwie Kazimirski.

— Wojsko tam chciał ostawić, które Król Jegomość dla obrony przed Szujskimi dał, — by do obozu jako w goście do swoich, bez większych sił, zjechać — tłumaczył z prostotą ksiądz. — Trza zatem było kwatery wynaleźć, oboźnego naznaczyć... Więc księdza żadnego nie ma, powiadacie?

— Bo i katolików tu nie masz...

— Ejże, chyba poniektórych znajdę. Nie może być, by same różnowierce były... Pan Wilamowski to już jeden... Waszmościowie zaś z którego kościoła, jeśli zapytać się wolno?

— Ja chrystianin — odparł wyzywająco Kazimirski.

— Ja niby katolik, ale o popów nie stoję — wycedził pogardliwie Wąsowicz.

— A waść? — zapytał ksiądz Sebastiana, którego surowa, zastygła twarz zwróciła jego uwagę.

— Też chrystianin — wybąkał Pielsz niezrozumiale.

— Chrystianie! — zdziwił się kapelan. — Sądziłem, że wasza wiara zabrania zażywać miecza nawet we własnej obronie, a cóż dopiero w służbie najemnej...

— Wiara siła rzeczy broni, a przedsię człowiek to czyni i dobrze się ma! — roześmiał się niefrasobliwie Kazimirski.

— Oj, niebardzo dobrze, nie! — westchnął ksiądz Kulesza.

Spojrzał znów na Sebastiana, lecz ten, bez słowa, zawrócił się nagle i odszedł. Towarzysze, ruszając ramionami, patrzyli za nim, gdy brnął na oślep przez śnieg, nie widząc nic i nikogo, jak gdyby od nich uciekał.

— Dobry chłop, ale ma tu coś — zauważył znacząco Wąsowicz, stukając się w czoło.

Sebastian zaś uciekał rzeczywiście. Proste zapytanie księdza uderzyło go w głowę niby obuchem, rozdarło płachtę zarzuconą rozmyślnie na uczucie. On chrystianin?! Był nim owszem,niegdyś, niegdyś... Był gorącym, surowym i czystym, sprawom ducha wysokim oddanym... Był samotny, swobodny, bliski Bogu... Lecz teraz? Czymże się stał? Komu służy? Jakiej sprawie?! Chrystianin w tym bagnie?! Dla Boga!!

Chwiejąc się na nogach jak pijany, doszedł do kwatery, minął ją, i skrył się w szopie, na sianie, bezpieczny od ludzkich oczu. Tam, zwinięty naokoło swego bólu niby robak, widział migające jak w zwierciadle minione bezpowrotnie lata. Uśpiona tak długo świadomość, raz szarpnięta, rozbudzona, stanęła nieubłaganie, zmuszając go do spojrzenia w samego siebie, tego, który był... Oto on, Sebastian na synodzie w Hoszczy zaprzecza prawa zażycia oręża nawet w dobrej sprawie. (On, ten sam, dzisiejszy Wąsowiczowy przyjaciel!) Oto powiada wujowi: Choćbym miał sam jeden z moją wiarą ostać!... W gardle rechoce śmiech szyderczy, palący jak hańba nie zmyta... Oto rokosz... Rokoszowi nie byłem winien... Nie lekce decyzję powziąłem... Z namysłu... Trza było ratować zbór... Nie moja wina, że z rokoszu wynikło — ot co...

— Nie moja wina — powtórzył, i odetchnął z ulgą. Na moment tylko.

— Nie byłeś winien?... Może... Ale teraz? teraz?! — dopytywało sumienie. — Czymżeś jest teraz? Odpowiedz!... Czymżeś jest? Najemnikiem w służbie u oszusta! Nie lękaj się nazwać rzeczy po imieniu... Nie szukaj próżnych wybiegów! Chrystianin, surowy sędzia dla drugich, w tuszyńskim obozie... Ha! ha! ha! właściwe to miejsce dla człowieka, co wedle Ewangelii żyć przysiągł...

— Dosyć! dosyć — jęczał przerażony. Lecz rozbudzony głos nie dawał folgi, szarpiąc, wywlekając na jaw

wszystkie jego sprawy, szukając chciwie tej najboleśniejszej, najgłębiej skrytej, jądro rzeczy stanowiącej.

— Skądeś się tu wziął, surowy górski rycerzu? —pytał wróg nieubłagany. — Co cię z tą kompanią sprzęgło? Odkąd ich drogi są twoje?... Odpowiedz!

— Los mną rzucił... ja nie chciałem...

— Los?! Jakże było temu losowi na imię? Nie Hanka?!... Słuchaj! ja ci odpowiem: Przez dziewkę tuś jest; przez dziewkę, co wolała miłowanie twego brata niźli twoje...

— Oh, oh! — jęczał w bezsilnej męce.

— Przez dziewkę! — powtarzał niezrażony głos-szyderca. — Podobną znaleźć możesz w każdym dworze... Dla niej, bez to, że cię nie chciała, zaparłeś się Jedynej Prawdy, Boga, pryncypiów, i mnie, twojego sumienia... Oto na jakim fundamencie stała wiara którąś się pysznie wynosił... Potężny to iście był zakon!...

— Dość! dość! — błagał daremnie litości. Dusza, niby złowiona w matnię, darła się i wiła w męce, tłukła bezsilnie o ściskające ją zewsząd zapory, — zwątlała, leciała w dół, kędyś na samo dno istnień, brocząc krwią lepką, serdeczną. Długie godziny mijały. Nie widział, nie słyszał ich. Skulony w sianie, nie czuł zimna doskwierającego, ani głodu. Zdrętwiałego zbudził wreszcie, idący niby z daleka, głos komornika chęcińskiego, szarpiącego go silnie za ramię.

— Co ci jest?! — krzyczał gruby szlachcic. — Piłeś, czy co? Z kim?! Od wczoraj szukam jak szpilki... Wstawaj! Kasztelan przemyski zjechał przed nocą z setką grzecznej usarii. Dwie chorągwie lekkie, piechota, wozy i wszelakie *impedimenta* zostały w Możajsku... Szumnie wjeżdżali. Książę Zbaraski, starosta krzemieniecki, drugim jest posłem przy kasztelanie... Bardzo oficjalnie wjazd się odbył. Rożyński nie pił i oracje do rzeczy miał... Caryca i wor z okien jeno pozierali. Kasztelan ani pojrzał w ich

stronę, do nas tylko poselstwo mając... Wstawaj i ruszajmy skoro, bo wnet będą w Kole swą rzecz odprawować...

Sebastian powstał bezmyślnie, niewiele rozumiejąc; ogarnął odzież i poszedł bez słowa za gadatliwym towarzyszem. W głowie mu szumiało, zarówno z czczości, bo od wczorajszego południa nic w gębie nie miał, jak z udręki. Nogi uginały się, niby po ciężkiej niemocy. Szedł jednak, mrużąc oczy przed olśniewającym blaskiem słońca.

Za taborami, na wyiskrzonym śniegiem placu, gdzie zwykle zbierało się Koło, stało już całe rycerstwo. Zbrojnie i strojnie, zwartymi szeregami, w należnym ordynku, ani podobni do zwykłych, swarliwych krzykaczy. Trza było bowiem godnie posłom się okazać. Pan starosta uświatski przybył z chorągwią ze swego obozu. Stał, przygryzając spękane od mrozu wargi, zamyślony. — Urodziwy ataman Zarudzki mierzył posłów królewskich niechętnym spojrzeniem. Pijany mimo rannej godziny (zapewne by wczorajszą trzeźwość powetować) Rożyński wspierał się oburącz na czekaniku, z trudnością tamując chwiejność ruchów. Poważny pan Stadnicki z Liska, kasztelan przemyski, poseł królewski, znany Sebastianowi z czasów sejmiku w Sądowej Wiszni, wystąpił na środek Koła. Twarz miał dobrotliwą, rozumną.

— Mili panowie bracia — zaczął spokojnym, choć donośnym głosem. — Doszły nas słuchy, iż są którzy ekspedycję smoleńską Króla Jegomości srodze dyfamują, głosząc, że dla krzywdy panów ichmościów, z zażartości przeciw bywszym rokoszanom podjęta była. Tedy, zanim do innych materii przejdziemy, rad bym wyłożył motywa, które Rzeczpospolitą do takowej imprezy skłoniły. Nie pachnie wojna nikomu i wżdyć wolelibyśmy grzbiet rozejmu z Szujskim podpisanego trzymać, na hazardy wojenne nie idąc. Jakże było jednak zdzierżeć, gdy Szujski pierwszy kardynalnych warunków paktu nie dojrzał, posłów królewskich nadal więżąc, a z Karolem Sudermańczykiem

zbrojne przymierze zawierając? Zapewne wiadomo ichmościom, że Pontus de la Gardie z silną armią zaciężną Dymitra Szujskiego wspomaga, za co Moskwa obiecała Szwecji sukurs w nowej wojnie o Inflanty. Na tak jawne *casus belli* nie lza było oczu zamykać. — Nie dość tego. Zaiste, niewdzięczni byśmy byli synowie miłej Ojczyzny, nie starając się w tym roztargnięciu, w jakie Moskwa popadła, odzyskać własnych utraconych ziem, jako smoleńskich i innych. Na ostatek zaś rzekę konfidencjonalnie ichmościom, iż siła bojarów dumnych, co najprzedniejszych, nie chce mieć na tronie carskim ni Szujskiego zmiennika ni żadnego wora, samozwańca, łgarza, jako ten jest, przy którym się upieracie, — jeno tęskniąc za prawdziwym panem i za ładem, królewicza Władysława carem chce oglądać, z czym się już *privatim* niejednokrotnie deklarowali. Z takowego obioru jak wielkie wynikłyby pomyślności i bezpieczeństwo dla Rzeczypospolitej, ani potrzebuję gadać, boć to samo jasno widać. Oto więc jakie auspicje otwierają się przed nami, — oto gwoli jakowym pobudkom wszczęta była ta potrzeba. Szczęsny, komu w niej dopomagać przyszło, szczęsny i stokrotnie zasłużony! Komparację zaś stateczną przeprowadziwszy, — komuż to waszmościowie służycie? Czego się po onej służbie spodziewacie? Jużci nie sławy, bo w innym ona, niż tutaj, gnieździe się lęgnie. Nie zasługi ni glorii u potomności, bo łgarstwo i gloria nie chodzą parą. Znęcił was ów szalbierz jeno złotymi promisjami fortuny. Gdzież ona? Siła może ten obiecać, co o słowa dotrzymanie nie stoi. Nie wypłaci się wam nigdy z tego, co przyrzekał, nic sam nie posiadając. Tronu nie posiędzie. Skarbca carskiego nie obejmie. Prędzej czy później, sczeźnie nikczemnie, abo do stanu chłopskiego, z którego wyszedł, powróci. Z jakimże licem, panowie bracia, powracać będziecie wówczas do dom?... Miłościwy nasz Pan, wiedząc, jak wiele zacnej krwie tu służy, wysłał nas ku wam z orędziem ojcowskim,

wzywając, byście się łączyli z nami, zbratani szlachecką powinnością oddania cnocie i sławie należytego obroku. Raczcie pomyśleć zatem, waszmościowie: Co bliższe sercom? Rzeczpospolita, czy ów wor, jak go sami zwiecie? Co droższe: Wątpliwa onego zapłata, czy zasługa wieczysta wobec Ojczyzny i fawor Miłościwego Pana? — Nie ukrzywdzi was Rzeczpospolita, panowie. Na pierwszym sejmie poruszoną będzie sprawa zapłaty słusznej za czas służby wojennej ichmościów. Z tej strony obaw żadnych żywić nie należy. — Oto wszystko, com chciał rzec, raz jeszcze kordialnie a życzliwie prosząc obecne tutaj przezacne rycerstwo, by zechciało ku dobru Ojczyzny nachylić swe animusze.

— Wczoraj jeno przyjechałem —odezwał się stojący pośród audytorium ksiądz Kulesza, — nie gadałem jeszcze prawie ni z kim; przecie spojrzawszy w marsowe lica miłych panów towarzyszy, czytam w niejednym frasunek: po com tu przyszedł? co czynię? zgoła innym mi się to być wydawało... (Tu spojrzał mimo woli na stojącego nie opodal Sebastiana, który cofnął się o krok).

— Czemuż ostajesz tedy, towarzyszu? — ciągnął ksiądz. — Ba, czemu? bo łatwiej, wiadomo, w błoto wejść, niż wyleźć, bo każdy krok głębiej ciągnie... Prawda to jest. Przecież panowie, mili towarzysze, oto jest moment sposobny do chwalebnego odwrotu! Oto braterskie ręce wyciągnione! Pora cisnąć łeż i zdradę, w regiment honoru wracając. Nie dziwota wprawdzie ludziom rycerskim bić się dla samej rozkoszy, o przyczyny ni konsekwencje nie dbając; gdy jednak wybór otwarty jest, któż by się wahał?...

Zaległo na chwilę milczenie. Pośród szeregów rycerstwa szumiało jak w ulu, lecz oficjalnie nikt głosu nie śpieszył zabierać, czekając co inni powiedzą. Pan Woytkowski, człek starszy, rozumny, dośmiały, wyszedł na środek, dziękując panu posłowi imieniem zebrania za życzliwe słowa,

i obiecując, że towarzystwo złoży nazajutrz deklarację w tej tak arcyważnej sprawie.

— Jużcić wiemy — dodał, zakończywszy, — że nie kto inny był sprawcą tego poselstwa, jeno pan hetman polny... Ani król Jegomość, ani panowie Potoccy k'temu by się nie kwapili...

— Nie neguję, że pan hetman pryncypialnym był motorem i instruktorem — rzekł pan Stadnicki poważnie, — wszakże z pełną aprobatą Miłościwego Pana. W królewskim imieniu mówiłem...

Zamilkł. Wśród oczekującej ciszy zgromadzenia starszyzna wypowiadała swe zdania. Pan starosta uświatski, zachowując zagadkowy uśmiech na twarzy, rezolwował ostateczną odpowiedź do dni trzech. Kniaź Rożyński opowiedział się gromko za królem, a przeciw worowi, który to okrzyk powtórzyła za nim ochoczo połowa jego rycerstwa. Ataman Zarudzki, przeciwnie, deklarował się za carem i gniewnie opuścił Koło. Inni gardłowali co sił, lecz poszczególne głosy ginęły w tumulcie. Wśród zamieszania Sebastian z nagłą decyzją podszedł do pana Stadnickiego.

— Wasza Miłość — rzekł szybko, zacinając się, — wolontariuszem jestem, nie związanym z nikim... Okrutnie chciałbym przejść w służbę pana hetmanową...

— Hetman rad przyjmie — odparł spokojnie kasztelan. — Jedź waćpan z nami. Zadzierżym się tu jeno parę dni, decyzji panów towarzyszy czekając... A po obiedzie zajdź waść do mojej kwatery; potrza mi niektórych informacjów — dodał, gdy Sebastian, ukłoniwszy się, odchodził.

*

* *

— Pod Smoleńskiem? Toć wiadomo: stoimy już blisko rok — opowiadał półgłosem towarzysz posła, książę Zbaraski, słuchającemu z uwagą staroście uświatskiemu, — a

rezultat mizerny, bo twierdza okrutnie wzmożona, my zaś kartaunów burzących nie mamy. Hetman zrazu to przepowiadał, inszy plan podając, ale drudzy przegadali, lekce sobie jego prognostyki ważąc. Animozje osobiste tam są, na czym rzecz cierpi. Litwa z Koroniarzami nieżyczliwie k'sobie spoglądają, bardziej na siebie wzajem krzywi, niż na Moskwicinów... Panowie Potoccy troskają się jeno o to, by hetman buławy wielkiej nie otrzymał... Zaś jegomość kanclerz, waszmościn stryjec, choć, jako może, goi te inwidie i mediatorem rad staje, — zbytnio pragnieniem rychłego końca kampanii zajęty...

— Wiadomo...

Uśmiechnęli się obaj wesoło, znając dobrze przyczynę tej niezwyczajnej u wielkiego statysty Lwa Sapiehy ochoty powrotu. Była nią urodziwa Halżusieńka, młodziutka małżonka, wnuk kanclerzowych współrówieśnica latami, aktualnie we Wilnie przy Królowej Jejmości przebywająca. Stary kanclerz, rozmiłowany w niej srodze, niechętnie ją na czas dłuższy samą pozostawiał.

— Imaginuj sobie waść, że co dnia spod Smoleńska posłaniec z listem do Wilna bieży, co dnia... — ciągnął książę, zniżając jeszcze bardziej głos. Urwał, bo Sebastian Pielsz uchylił drzwi i chrząknął zakłopotany, nie wiedząc, zali ma wejść.

— Pan kasztelan przemyski kazał mi się stawić —tłumaczył swe przyjście nieśmiało.

— Pan kasztelan wnet nadejdzie; poczekaj tu, ot, mości towarzyszu — rzucił książę, wskazując ręką boczne drzwi. Podjęli z panem Sapiehą przerwaną rozmowę, parskając co chwila ściszonym śmiechem.

Sebastian przeszedł do sąsiedniej izby. Siedzący w niej samotnie pod oknem młody ksiądz, towarzysz kapelana Kuleszy, zerwał się, kłaniając z pośpiechem wchodzącemu.

— Znowu ten... — pomyślał Sebastian z niechęcią.

Usiadł na ławie, patrząc obojętnie w zasnute szklistym

gajem mrozu okno. Ksiądz stał, patrząc weń pilnie, jakby chciał coś rzec. Zalęknione to spojrzenie sięgnęło samego dna Sebastianowej pamięci. Poznał go, przypomniał sobie. Był to proboszcz z Pinian, przyjaciel nieboszczyka wuja Bazylego.

Skąd się tu wziął? Czego chce od niego?

Dawne, śmiertelnie bolesne, odepchnięte dzieje stanęły w oczach jak żywe. Jeszcze wczoraj byłby się ugiął przed ich nawrotem okrutnym. Lecz między chwilą, co była, a męką dnia poprzedniego leżała ulga decyzji, walnego wysiłku naprawy. Dokonane z rana postanowienie wyniosło go z odmętu pogardy samego siebie, skrzepiło, dźwignęło na nogi. Bez ciekawości ni sympatii, ale śmiało, zwrócił pytająco ku księdzu swą surową, wymęczoną twarz.

— Jegomość Pielsz?... Wszak prawda? — odezwał się tamten cichym głosem. — Widzieliśwa się na pogrzebie w Pinianach. Góra z górą, jak to mówią..., ale człowiek z człowiekiem zawdy się zetknie. Tyle lat!...

Urwał skubiąc nerwowo rękawy, co było snadź jego zwyczajem. Walczył z pętającą mu usta nieśmiałością tak gorąco, choć bezradnie, że Sebastianowi zrobiło się go mimo woli żal.

— Księdz chciałeś mi coś powiedzieć? — zapytał.

— Chciałem, owszem... chciałem. — Zaczerwienił się i przełknął kilkakrotnie ślinę, jak gdyby mówienie przychodziło mu z wysiłkiem.

— Oto w czym rzecz — podjął z determinacją. — Widzieliśwa się na pogrzebie... Zdarzył się wówczas osobliwy wypadek z poręką, *alias* cyrografem...

— Pamiętam! cud znamienity! — przerwał szyderczo Sebastian.

— Tak jest. Myśleli my wszyscy, że cud... Od zmysłów odchodziłem z radości. Dziw, że dusza ze mnie nie

uleciała. A oto... Czy uwierzysz waszmość panie: nie cud to był bynajmniej...

Sebastian spojrzał na mówiącego z uwagą.

—Klechę miałem do pomocy. Zmyślny, sposobny, ale niedobry człek... Niewiela o nim trzymałem, przecie nigdy bym go o taką niecnotę nie posądził. On to zrobił... Papier sfałszował... zmarłemu do ręki dał.. Bez wiary człek! bez sumienia!... A ja wierzyłem!...

W pamięci Sebastiana mignęły szczurzy, węszący nos, sprytne oczy klechy, gdy go namawiał, aby otworzono jeszcze trumnę.

— Żem tego wcześniej nie odgadł! toć jasne było! — pomyślał.

— Wierzyłem — powtórzył ksiądz, spuszczając oczy. W głosie jego drgał ból istotny, rzetelny. — Pycha mnie uniosła... Gdzieżby dla mnie, grzesznika, Pan taki cud uczynił? Niepodobieństwo... Ja przecież wierzyłem. Wszyscy wierzyli... wstyd rzec, za jakowegoś świętego mnie poczytali. Wymawiałem się, małość swoją widząc, ale nie dosyć, widno nie dosyć!... Aż rok temu... rok i pięć niedziel bez mała... chciał ów klecha święceń dopiąć, plebanem ostać. Odmówiłem mu rekomendacji do jegomości księdza biskupa, za złego człowieka, cielesnego, chutnika, go mając... On zasię wtedy prawdę mi z onym cudem, jak było, wyjawił, grożąc, że wszystkim toż samo opowie, gdy mu, czego chce, nie uczynię...

— To bestia! Cóżeś ksiądz zrobił?...

— Cóżem miał zrobić? W pierwszą niedzielę sam, z ambony, ludziom to ogłosiłem, pychę swoją i łatwowierność wyznając... Miałem dopuścić, by w fałsz wierzyli?

Sebastian spojrzał na niego z szacunkiem.

— Żeś się to ksiądz nie bał osłabić w swoich korreligionarzach wiary w cuda? — zauważył.

Proboszcz otworzył oczy szeroko, po dziecinnemu.

— Jakże?! Ej, mości panie! Kościół ma dość prawdziwych cudów, nie potrza mu świadectwa zmyślonych.... A kłamstwa ścierpieć nie lza...

— Cóż ludzie rzekli na tę deklarację?

– W tym bieda — westchnął ksiądz. — Nie uwierzyli zgoła! — Nie uwierzyli! Com im mówił, przekładał! Jedni myśleli, że na próbę ich biorę, inni, że mnie zły opętał... Nie uwierzyli... Luto mi było ostać. Wstyd... Rzuciłem parafię. Ksiądz kapelan Kulesza za pomocnika mnie raczył wziąć. Z nim teraz peregrynuję, Boga o przebaczenie za zbytnią dufność w sobie prosząc... Wybacz waść, że przydługi czas zabrałem, nie chciałem wszakże, byś w błędzie ostawał...

— Ni chwili w ów cud nie wierzyłem — mruknął Pielsz.

Ksiądz spuścił głowę zawstydzony.

— Słusznie, słusznie... Gdzieżby? tak wielki cud... dla kogo? Słuszna kara... ale ciężko...

Zamilkli obaj. Szybki zimowy mrok zasnuwał izbę.

Pachołek uchylił drzwi:

— Jegomość pan poseł wołają pana towarzysza!...

Sebastian wyszedł śpiesznie.

Proboszcz piniański, Wawrzyniec Kosowski, został sam, tak pogrążony w myślach, że nawet nie zauważył jego wyjścia. Było mu istotnie nieznośnie ciężko na duszy. Opowiadając Sebastianowi sam fakt mistyfikacji, przemilczał wszystko, co z tej okazji wycierpiał. Drwiny jednych, zarzuty drugich, posądzenia, że do zmowy należał, trzecich. Bezgraniczna śmieszność, jaką się czuł okrytym we własnych oczach, utrapiona myśl, że mimo woli przyczynił się do otumanienia swych parafian, niepewność, zali dobrze postąpił wyprowadzając ich z błędu, skoro i tak w sprostowanie jego nie uwierzyli, — wszystko to zatruwało mu życie. Ostatni rok (rok i bez mała pięć niedziel)

przepojony dlań był piołunem. Rozgłoszony wszędy przez dwór wojewody cud stał się powszechnie znanym, i równie pod Smoleńskiem jak i tutaj, o sto mil od kraju, coraz to spotykał ludzi z dawna o nim wiedzących. W prawości swojej czuł się zobowiązanym tłumaczyć każdemu, jak się rzecz miała istotnie, a tym samym przeżywał codziennie od nowa bolesne swe rozczarowanie. Nękała go też świadomość, że nie umie stać się użytecznym księdzu Kuleszy. Z uwielbieniem, pełnym podziwu, patrzył na kapelana, gdy ten jednym słowem tęgim, rubasznym, popartym uśmiechem anielskim, nieraz jednym spojrzeniem i gestem, brał w posiadanie żołnierskie twarde dusze, przeglądał je na wskroś i zagarniał. Okutany w długi, po pięty sięgający kożuch, tkwił od rana w skleconej naprędce, konfesjonał zastępującej budce, dokoła której cisnęły się tłumy żołnierzy. Proboszcz najszczerzej pragnął mu pomagać, lecz panowie towarzysze, uznawszy go szybko za spowiednika dobrego dla bab, woleli czekać na mrozie parę godzin, lecz dobić się kolejki u kapelana. Zziębniętego, bezczynnego, odesłał ksiądz Kulesza do dworca. Poczucie własnej nicości i niedołęstwa przytłaczało więc tym bardziej wątłą postać „cudotwórcy", jak go nieżyczliwi nazywali.

Izbę zapełniał mrok. Proboszcz pchnął drewnianą zasuwę, zawierającą małe, w bierwionach wycięte okienko (szklane okna nie odmykały się zgoła) i przytknął skołataną głowę do zimnego otworu. Powietrze było ciche, szafirowe, tchnące mrozem jak ciemna głąb studni wilgocią. Miesiąc jeszcze nie zeszedł, i niebo usiane było tysiącami gwiazd. Drżały jak gdyby z chłodu, niezliczone. Zapominając na moment swojego frasunku, ksiądz zadziwił się, że jest ich tyle. Nie zliczyłby nawet tych, co się mieściły w wąskim otworze okienka. Nie czując zimna, zapatrzył się w bezdeń przestrzeni, w blask sunący skroś powietrza na oślizgłych łyżach mrozu. Poczuł zawrót w głowie, a zara-

zem ulgę, nagłe uciszenie serca. Z gwiazd, obcych niby, a przecie tych samych, z cudzej ziemi oglądanych, zeszła ku niemu pełna litości odpowiedź.

*

* *

— Wezwałem waści, byś mnie zaprowadził do carowej — mówił pan Stadnicki do Sebastiana. — *Officialiter* nic nam do szalbierza ni jego żony, wszakże *privatissime* mam pewne polecenie od pana hetmana, które chcę jej poufnie przełożyć.

Narzucił na strojny żupan ciemną szubę, futrem podbitą, i poszli z Sebastianem ku stojącemu po przeciwnej stronie placu carskiemu dworcowi, nie zauważeni w mroku przez nikogo.

— Jak się zameldować? — mruczał kasztelan. — Rad bym, by jak najmniej o mojej bytności wiedziano...

— Rzekę, iż nam sprawa wypadła do ochmistrzyni fraucymeru, co nie zastanowi nikogo.

— Słuszna. Kto zacz, ochmistrzyni?

— Kazanowska, z Nieborogów...

— Miecznikowa samborska! — zdziwił się kasztelan.— Znałem jej męża... Że się babinie chciało puścić na te awantury!

Przywołany pachołek powiódł ich bocznym wejściem, świecąc dymiącym łuczywem, i zastukał gwałtownie do izby.

— Jejmość ochmistrzyni! — krzyknął.

Pani Kazanowska wysunęła głowę, cofając się lękliwie na widok gości. Postarzała znacznie od zeszłego roku, gdy ją widział ostatnio Sebastian. Zżółkłe, zapadłe policzki układały się w gorzkie fałdy koło ust, próżne torebki jak wypłakane łzawnice zwisały pod zaczerwienionymi oczami. Zrudziała i wystrzępiona suknia pełna była pracowitych łat. Lecz dygała ze zwykłą dystynkcją, witając uprzejmie Sebastiana.

— Wielcem rada, wielcem rada — powtarzała. — Nie dziw się waćpan, że w takowym adiustunku mnie widzisz... Aktualnie ja jedna reprezentuję cały fraucymer Najdostojniejszej Carowej Jejmości, ja jedna... Panny jejmościanki porzuciły nas, wyjeżdżając jeszcze we wrześniu do Polski... Słyszałeś waćpan o czymś podobnym?! Nic to! Dokompletujem fraucymer niebawem, z najprzedniejszych rodów panny dobierając..., już skoro...

— Stadnicki jestem, z Liska — przerwał kasztelan, wysuwając się naprzód. — Chcę się widzieć z Jejmość Carową, jeno tak, by ów... jak go nazwać?... car... — (uśmiechnął się szyderczo) — nie wiedział...

— Laboga! Pan kasztelan! Laboga! — wykrzyknęła miecznikowa, lecz wnet pohamowawszy się, odparła ceremonialnie: — Jej Wysokość Hosudaryni przyjmie niewątpliwie waszmościów. Jego Wysokość Hosudar raczy o tej porze spać.

Poprowadziła ich do drugiej izby, równie nędznej i ogołoconej jak pierwsza. Łuczywo kopciło, wbite wprost w szpary między bierwionami. Mech, którym utkane były szczeliny, jeżył się fantastycznie długimi, ciemnymi smugami w poprzek ścian. Sosnowe, niedbale sklecone ławy i stoły stanowiły jedyne sprzęty. Świerszcz ćwierkał głośno pod pułapem. Siedząca przy oknie carowa Maryna podniosła się na ich widok, zdziwiona. W zaostrzonej, wychudłej twarzy żarzyły się po dawnemu czarne, dumne oczy. Szczupła, dziewczęca jej postać ginęła w zniszczonej i wymiętej sukni, uszytej z adamaszku przez pana Wąsowicza przed półtora rokiem ofiarowanego.

Kasztelan skłonił się nisko, całując jej rękę. Sebastian i miecznikowa cofnęli się do izby przyległej.

— Wasza Wysokość — zaczął poseł, — prywatnie przychodzę z poleceniem od szczerego przyjaciela, pana hetmana polnego, której to misji wdzięcznym sercem się podjąłem, będąc najżyczliwszym admiratorem Waszej

Wysokości i sługą sercem oddanym. Kogóż by zresztą nie zmiękczyły srogie dopusty Fortuny, którym Wasza Wysokość w tak młodych leciech z godnym podziwienia męstwem podlegasz? Któż by nad nimi ślozów nie wylewał? Któż by się nie ulitował?—Lecz dość tych udręczeń! Dość tej żałosnej kalwarii! Salwuj się Wasza Wysokość! Tu srogie idą termina, wątpliwości żadnej co do końca tej imprezy nie zostawiające. Ten, którego ci za małżonka, nieszczęsna wdowo, narzucono, — zginie. Przepadnie, wróci skąd wyszedł. Ostaw go! Jedź z nami pod Smoleńsk, skąd przynależną godności eskortę do lubej ojczyzny przydamy. Odetchniesz w bezpieczeństwie a spokoju. Dość tych utrapień! Sam Król Jegomość prywatnie rzec mnie upoważnił, że mieszkanie i opatrzenie przystojne, stanowisku Waszej Wysokości odpowiadające, oznaczy...

Słuchała pilnie, ze zmarszczonymi surowo brwiami.

— Król Jegomość! — syknęła, gdy skończył. — Dobrodziej! Od niego najcięższa krzywda nas spotyka! Sam chce dla siebie carstwo zawojować, prawa moje i mego męża, które pierwsze i święte są, depcąc!

Kasztelan spojrzał na nią ze zdziwieniem.

— Wasza Wysokość — odparł, — niesłuszne to są skargi. Ten, którego ku podziwieniu memu mężem nazywasz, nie osiedzi się na carstwie ni stolca posiędzie. Ni prawa nie ma za sobą, ni siły. Kto przy was ostał? Kozaki, paru bojarów, kupa naszego towarzystwa, z którym dziś gadałem i które niewątpliwie na stronę królewską się przechyli. Kniaź Rożyński już się ku temu deklarował. Starosta uświatski niechybnie uczyni to samo. Ot co!... Moskwiciny albo się Szujskiego trzymają, albo królewicza Władysława życzą, albo jeszcze za Filaretem patriarchą i Golicynem ciągną... Łupiestwa kozackie, swawole pożałowania godne naszych, zraziły już nawet tych, co się wprzódy najochotniej nowego Dymitra trzymali... Po

prawdzie nie dziwota, boć persona „męża“ Waszej Wysokości w nikim wzbudzić ufności nie może...

Spłonęła rumieńcem gniewu.

— Cóż się zmieniło od czasu, gdy go sam Król Jegomość, nuncjusz i co najprzedniejsi senatorowie forytowali? — zapytała wyniośle.

Popatrzył na nią w litosnym zdumieniu, jak na obłąkaną.

— Nie wiem, zali Wasza Wysokość raczysz sobie żartować — odparł zwolna. — Dla tak drażliwych dyskusyj nie przyszedłem... Nie w tym rzecz. Zlecenie moje drugi raz powtarzam: Jedź Wasza Wysokość z nami. Żałosny przewiduję koniec. Nie do takiej cię doli mać hodowała, nie... Widywałem cię nieraz z siostrami na zamku samborskim... pomnę dobrze: kwiatuszki misterne, pieszczone, paniątka szczęśliwe... Inne tam były, niżli tu, komnaty, inne życie... Doświadczyłaś już Wasza Wysokość schyzmatyckiej barbarii plugawców, płci ni żadnych względów przyrodzonych nie szanujących... Drżyj przed tym, co cię jeszcze spotkać może! Niechaj tego wszystkiego. Powracaj do dom szczęśliwie...

— Jakoż, bywszy carową i władczynią mogłabym o stać na nowo poddanką? — zapytała, podnosząc dumnie głowę.

Uśmiechnął się pobłażliwie.

— Widziała już historia dziwniejsze odmiany fortuny...

— Nie ja się im poddam — odparła z energią; — kogo raz Bóg wywyższył, świecić musi. Nie ustaje słońce być słońcem, chociaż je chmury zakryją... Wracać do domu? Ustąpić?! Nie pomścić swych krzywd na tych zdrajcach? Nie ugiąć ich? Nie zatryumfować?! Na swoim nie postawić?!

— Zgubę znajdziesz, nie pomstę i tryumf, Wasza Wysokość — przerwał jej zapał. — Żal młodych lat, żal

krwie twojej zacnej... Ostatni raz namawiam: niechaj tego chłopa i powracaj....

Nagła podejrzliwość błysnęła jej w oczach.

— Król Jegomość przysłał waści z namowami, by z moją osobą usunąć główną zawadę do zawojowania Moskwy...

Pan Stadnicki zbyt był spokojnym człowiekiem, by się rozgniewać; przeciwnie, szczera wesołość przemknęła przez jego poważne lica.

— Parol dajc — rzekł, — że osoba Waszej Wysokości, również jak jej „męża", najmniejszą jest do zawojowania Moskwy zawadą...

Urażona do żywego, jęła prawić z ogniem o niezawodnych jakoby widokach powodzenia, o grodach, które lada chwila poddadzą się Dymitrowi Joannowiczowi, o rychłym zajęciu Moskwy... Nie przerywał już, słuchając z głęboką litością, jak bredzenia chorego dziecka..

W sąsiedniej izbie, oczekując powrotu kasztelana, Sebastian znosił cierpliwie potok wymowy pani miecznikowej.

— Ta Hanka! — powtarzała, trzęsąc z oburzeniem dłońmi, — ta Hanka z głowy mi wyjść nie może! Taki los! Pierwszą mogłaby być po mnie we fraucymerze Carowej Jejmości!

Nic nie mówiąc, ogarnął przeciągłym spojrzeniem jej zdarty ubiór i znędzniałą twarz. Zrozumiała ten wzrok i wybuchnęła oburzeniem:

— Waćpanu się zdaje, że nie ma czego żałować, bo w mizerniejszej odmianie fortuny mnie widzisz? Dziw, jak pospolity i presumpcjalny to sąd! Co prawda, trudno spodziewać się po waści lepszego dowcipu. Bez urazy, mruk byłeś zawdy, nijakich faworów cenić nie umiejący... Snadź przyrodzenie to właściwe Pielszów... Nieboszczyk był taki sam, Hanka taka sama... Dałam jej kiedyś cukry weneckie z wesela... Prawda, waćpan byłeś wówczas, widzia-

łeś... Weneckie cukry! Miast schować, zadziała je gdzieś, wyrzuciła zgoła. Zaraz sobie pomyślałam: dobre dziecko, miłe dziecko, ale do ordynaryjnego życia stworzone, do zaścianka... Ja bo codziennie Bogu dziękuję za łaskę, jaką mnie dotknął, za zaszczyt! Szczęsny los wyniósł mnie ponad inne i na świeczniku postawił... Cóż stąd, że chwilowo na wielu rzeczach nam zbywa? Fraszka to wobec wspomnienia zażytych splendorów, którym podobne czekają na nas już rychło. Wróci się wszystko z dokładem... Obaczysz wtedy!... Gdy wspomnę, jak Jejmość Carowa wjeżdżała do Moskwy! W złocistej kolasie, w dziesięć tarantów sprzężonej! Koniuszowie wiedli konie pieszo; alabartnicy z obu stron; dwudziestu czterech hajduków w kabaciech czerwonych i pludrach zielonych aksamitnych... Z tyłu szła druga kareta, także złocista, w osiem białych ogierów... ja w niej jechałam — ja! sama jedna! Woźnice i hajduki w ferezjach czerwonych atłasowych. Szor na koniach aksamitny, w złoto oprawny... Za tą karetą trzecia, w której panie Tarłowa i Chmielecka... Brożek złocisty, czerwonym aksamitem futrowany; konie jabłkowite, szor z aksamitu zielonego... Znowu brożek w konie kare... Boże! gdy sobie to wspomnę! Jest co pamiętać! A podarki!... Klejnot Neptuna na sześćdziesiąt tysięcy złotych szacowany! Czara hiacyntowa! Ptak wielki z diamentami i rubinami! Zegar złocisty ze sztukami! Pereł cztery tysiące! Pereł wielkich jak gałki muszkatołowe — kopa! Złotogłowiu, teletu, aksamitu, sztuk osiemnaście! Diana na złotym jeleniu! Manele diamentowe! Misy złote!... pięć półmisków wielkich, złotych!...

Wyliczała z lubością, przymykając oczy, w czarownym obrazie tracąc poczucie troski obecnej. Za nią, na ścianie, cień jej rozczapierzony, dziwaczny, chwiał się i trząsł, niby szydercze widmo rzeczywistości...

Drzwi się otworzyły. Kasztelan przemyski wychodził, kłaniając się nisko carowej.

— Nic więcej, Wasza Wysokość? — zapytał jeszcze od progu.

— Nic więcej — odparła wyniośle z głębi izby. — Niech Król Jegomość ustąpi nam Krakowa, to Car Jegomość ustąpi mu Moskwy...

— Ostatnie to słowo Waszej Wysokości?

— Ostatnie.

— Jak wola! — Pokiwał głową ze szczerą litością. — Jeśliby wszakże szczęśliwszy namysł przyszedł, racz Wasza Wysokość dać znać do mojej kwatery... Cztery, pięć dni jeszcze się zabawię... Czołem, pani miecznikowo! Bodajeście nigdy gorzko uporu swego nie pożałowały!... Zły ja koniec przewiduję, srogi koniec. Et, i mówić szkoda... Chodźmy, mości towarzyszu!

Wyszedł z Sebastianem. Pani Kazanowska wsunęła się nieśmiało do izby. Zmieniła dogasające łuczywo na nowe. Odwrócona do niej plecami carowa, wychuchawszy w zasnutej mrozem szybie maleńkie, czyste kółko, patrzyła z natężeniem za odchodzącymi. Na majdanie jasno było od miesiąca, jak w dzień. Długie, szafirowe, niezwykle ostre i głębokie cienie kładły się skrzepłe na śniegu. Pan Stadnicki oddalał się szybko, gestykulując energicznie ręką. Już wszedł do dworca księcia Rożyńskiego. Już nie powróci tu więcej...

Nie odrywała oczu od maleńkiej krągłej szybki, jak gdyby w nadziei, że wbrew wszelkiej możliwości, przyjdzie znów namawiać ją do powrotu serdecznym, poważnym swym głosem. Przyjaciel dobry... Zarumieniła się mimo woli na wspomnienie wyzywających, grubiańskich słów, którymi odpowiedziała na jego troskliwość. Onaż to mówiła? Ona?! Nie po raz pierwszy w życiu zaciężyła jej udręka męcząca dwoistość własnej natury, nieposkromiony demon pychy, władnący nią, narzucający słowa i myśli przeciwne. Znienawidziła go, zapragnęła zniszczyć, upokorzyć, wyzwolić się od niego, a wyzwoliwszy, wyrwać się

z tego piekła. Och, ani kasztelan, ani nikt nie mógł znać setnej części jej niedoli, upokorzeń, hańby, nędzy, żrącej tęsknoty do swoich. Wracać do domu?... Wydało się jej to mirażem złotym, tak pięknym, że aż niepodobnym... A przecie oto powrócić mogła... Od niej tylko zależało...

Obejrzała się za siebie. Pani Kazanowska stała przy drugim oknie, gdzie odskrobawszy paznokciem w kącie szyby czysty skrawek, patrzyła równie uparcie na majdan. Odwróciła głowę, poczuwszy na sobie wzrok pani. Spojrzały na się uważnie, badawczo, przeniknęły wzajemnie do głębi. Ujrzały nagle własne wyniszczenie, obdarcie, nie dającą się ukrywać nędzę. Po raz pierwszy urojone majaki powodzenia i wielkości, podsuwane przez upór i próżność, stanęły przed ich oczami we właściwej lichocie i nieistotności. Serca skrzepły, ścisnęły się przeczuciem okrutnego końca, który im wróżył przyjaciel. Pilnie dotychczas obserwujące oficjalny ceremoniał stosunków, — padły sobie naraz w ramiona, szlochając.

— Wracajmy, Wasza Wysokość! — szepnęła przez łzy pani Kazanowska.

— Wracajmy — powtórzyła jak echo carowa, — do domu... do matki... do domu!...

— Trza posłać do kasztelana?...

— Zaraz do niego napiszę, że...

Urwała, bo w tejże chwili nieludzki wrzask buchnął za ścianą. Pachołek wyleciał z głównego wejścia na majdan, wrzeszcząc wniebogłosy.

— Jezu! Jezu! Co znowu? — jęczała miecznikowa, trzęsąc się jak w febrze.

— Nic to... cichaj waćpani... Hosudar pewno pachoła nabił, więc wrzeszczy...

— Nie! Patrz Wasza Wysokość! Ludzie zewsząd biegą!

Jakoż majdan przed dworcem zaroił się ludźmi. Towarzysze, kozacy, bojary, ciury obozowe, biegli, gestykulując

i krzycząc. Drzwi szarpnięte ustąpiły, i razem z mroźnym powiewem kilku towarzyszy wpadło do izby.

— Gdzie car?! — krzyczeli, jeden przez drugiego.

— Gdzie wor?!

Maryna wysunęła się naprzód.

- Czego tu waszmościowie chcecie?

Odkryli głowy, zmieszani.

— Nie masz cara!

— Car zbiegł!

— Car zbiegł! — krzyczeli inni, nadbiegając.

Dworzec zapełnił się tłumem. Rozgorączkowani żołnierze przetrząsali domostwo od piwnic do strychu. Zasapani bojarzy klęli co wlezie. Andronow podszedł wściekły do carowej.

— Gdzie car? gadaj!

— Jak ty się, chamie, odzywasz do Hosudaryni?!... Won stąd! — świsnęła nienawistnie.

Zarechotał obelżywie szydliwym śmiechem.

— Hosudaryni! — powtórzył. — Twój hosudar, twój mużyk, udrał! Udiraj i ty... Nu! udiraj!...

Mierzyła go oczyma z zimną pogardą, jak gada. Nienawiść i duma buchnęły z niej jak płomień, ogarnęły całą, zawładnęły. Poczuła, że choćby śmierć miała ją spotkać za godzinę, nie ustąpi, nie zrezygnuje. Pomści swe upokorzenia. Nastąpi im na gardła.

— Won! — powtórzyła krótko.

— Smotri, kakaja!... Swołocz! sama won!

Zadźwięczały śmiałe, twarde kroki. Wszedł do izby Zarudzki, ataman kozacki. Odrzucił na bok Andronowa i zwrócił się do pozostałych:

— Panowie towarzysze! tu go nie masz! Białogłowy niepokoicie, miast biec za nim w pogoń!!

— W pogoń! — powtórzyli żołnierze chórem.

— W konie! w konie! Jeszcze nie zdążył daleko ujechać!...

Wyszli z pośpiechem, tłocząc się we drzwiach. Stojąca nieruchomo carowa zwróciła ku Zarudzkiemu pałającą jeszcze od wzruszenia twarz.

— Co się stało, mości atamanie?

— Car uciekł, Wasza Wysokość!

— Uciekł? Dokąd? po co?

— Bih jeho znaje... Pod łubami w saniach się skrył, i wyjechał.

— Po co? — powtórzyła, nie rozumiejąc.

— Pewnikiem zląkł się, że poseł królewski całe wojsko do króla namówi i jego pojmać każe... Moskwicin zdradę widzi wszędy...

— Uciekł, nie ma go — stwierdziła. W głosie jej było oburzenie, i ulga zarazem. Spojrzała na zerkającego ku niej spode łba Andronowa, i twarz jej zlodowaciała ponownie.

— Czy wojsko iście przejdzie na stronę królewską? — zapytała.

Bez słowa, zauważywszy jej wzrok, Zarudzki wypchnął Andronowa i zamknął drzwi.

— Większość, zapewne — rzekł spokojnie. — Kniaź już przeszedł ze swoimi. Pan starosta uświatski jeszcze się waha... Bojary, jak ten oto... — ukazał na drzwi z pogardą.

— Czyli wszyscy — wyszeptała, starając się zachować obojętny wyraz.

— Wszyscy?! — zaprzeczył gorąco. — Wasza Wysokość! ja zostaję i moi kozacy... My nie zawiedziem...

Siedziała nieruchomo przy stole, patrząc z roztargnieniem, jak pani Kazanowska drżącymi z przebytego wrażenia rękami wtyka dwa nowe łuczywa w szpary. Przy tej czynności miecznikowa raz po raz oglądała się nieznacznie na carową, rada przypomnieć niedawną decyzję. Ucieczka cara zdawała się ją potwierdzać, lecz twarda, po-

sępna twarz wojewodzianki nie zdradzała ni śladu poprzedniego wzruszenia.

— Cóż teraz począć? — rzekła jak gdyby do siebie.

Ataman Zarudzki patrzył na nią z uwielbieniem, zachwytem, miłością. Patrzył, i napatrzyć się nie mógł. Nie widział ostrych, wychudłych rysów, zniszczonych rąk i twarzy, w oczach mając ją taką, jaką ujrzał niegdyś po raz pierwszy, w białej, srebrzystej sukni i wieńcu białych róż woskowych na czarnych warkoczach.

— Co począć? — powtórzył półgłosem. — Wasza Wysokość, oprzeć się na moich siłach...

— Bóg zapłać — rzekła obojętnie. — Rozpędziłeś tę hołotę, atamanie; dziękuję... Drugi to już raz salwujesz nasz spokój...

— Innego celu ni pragnienia w życiu nie mam — szepnął.

Odmienny niż zwykle dźwięk głosu sprawił, że spojrzała nań uważnie. Spojrzała, i spuściła nagle oczy. Spłonęła, odmłodniała cudnym, nieświadomym, pełnym zakłopotania dziewczęcym uśmiechem, który przeobraził, rozjaśnił pogardliwą maskę jej twarzy. Z nieznanym nigdy dotąd onieśmieleniem podniosła znów długie rzęsy, — ogarnęła go spojrzeniem... Stał blady, z kurczowo ściągniętymi brwiami. Pięknie wykrojone wargi skrzywił boleśnie namiętny półuśmiech... Z beznadziejnym gestem straceńca pochylił się do jej kolan.

— Wasza Wysokość — zaczął głucho.

Milczała, pierwszy raz w życiu zmieszana. Rozsadzająca piersi atamana straszliwa siła miłości i żądzy, ujawniona niespodzianie, zdumiała ją, omroczyła... On zaś obejrzał się, a widząc, że miecznikowa wyszła, zapewne aby sprawdzić osobiście nieobecność Hosudara, jął mówić szybko, urywanie, na poły przytomnie:

— Wasza Wysokość! ja twój rab, sługa, zaprzedana dusza... Wasza Wysokość... na śmierć za zuchwalstwo

skarz! Katu daj... ale zwól mówić! Tyle czasu!... Nikt nie znał, milczałem... ale dość! Nigdy więcej... Powiesz, śmierć sobie zadam sam, ale wpierw zwól mówić... Słuchaj!... Miłuję cię!... miłuję, odkądem cię pierwszy raz zobaczył w Samborze. Życie oddam, duszę, krew... Wasza Wysokość! słuchaj! tamten zbieżał... wor pohany! Już go nie ma... Sława Bohu! Carową będziesz sama! Ja carstwo twoje zawojuję... wojsko mam... Mogę mieć więcej... Zechcesz, skrzyknę całą Sicz. Powiodę cię do Moskwy... Zdzierżę wszystkim... Panować będziesz... Wasza Wysokość! panować sama!... Ja twój rab, u twoich nóg przysięgę... Nie chcę nic, jeno byś się zwoliła miłować... Carowo, hołubko... daruj...

Milczała, ciągle oszołomiona gradem słów, żużlem gorącym lecących wprost z serca. Zdawało jej się, że widzi słowa te, czerwone, lepkie, padające wokoło niej jak płatki róż damasceńskich w wirydarzyku matczynym. Czuła, że powinna przerwać ten potok zaklęć, podnieść zimno głowę i odprawić zuchwałego sługę. Jak niegdyś, niegdyś, dzieckiem nieledwie, odprawiła Osmólskiego, tego samego, co zginął później w Moskwie w jej obronie... Tak należało uczynić i teraz... Czuła to, lecz nie znajdowała w sobie siły, by ten gest krótki uczynić. Coś gięło się w niej, łamało, nieśmiałe wznosiło głowę. Zagłuszona, zabita kobiecość błagała z głębi o litość nad sobą. — Nieświadomie przemyślnym wybiegiem odroczyła na moment decyzję co do stanowiska, jakie należało zająć wobec wybuchu młodego atamana.

— W Samborześ mnie waćpan widział? — zagadnęła, jak gdyby w tym właśnie było sedno sprawy.

— W Samborze — szeptał, — w ten wieczór, kiedyś się z carewiczem zwieńczyła...

— W orszaku carewicza byłeś waść?

Zawahał się przez chwilę, stropiony.

— W orszaku Wiśniowieckich — rzekł krótko. Drżał,

by nie pytała go dalej. Nie śmiał wyznać, że jego to, oberwańca, Iwaśka z Zarudów, podglądającego przez okno do sali, przegnała wówczas z galerii jak psa.

— Wasza Wysokość! — podjął gorąco, — pierwszy i ostatni raz ośmieliłem się o beznadziejnym moim afekcie prawić. Nie dowie się nigdy nikt!... Carowo moja... pani moja... rządź mną jak chcesz, rozkazuj!... Zechcesz, na brata rodzonego skoczę... Z całym światem walczyć będę... Jeno mnie od siebie nie goń...

— Isto, podjąłbyś się waść walki z Szujskimi? — zapytała, nie patrząc na niego.

Twarz mu spłonęła szczęściem i szaleństwem.

— Z Szujskimi, z Filaretem, z królem polskim, z wszystkimi! — zakrzyknął. — Zdzierżę! obaczysz Wasza Wysokość! Zawojuję cały świat! Nie ulęknę się nikogo... Kozaki mnie miłują. Skrzyknę ich, wiela będzie potrza... Zawojujem Moskwę, Polskę. Na tronie cię złotym posadzę... Jak ikonę ustroję... Carowo, duszo ty moja!...

Urwał, łapiąc dech, bo miecznikowa wracała. Lękliwe, niespokojne oczy wpiła w twarz carowej. Snuła się po izbie bezszelestnie, niby wielka, czarna ćma, dygotała z obawy i niecierpliwości zarazem.

— Wasza Wysokość — wyjąkała wreszcie, niezdolna pohamować się dłużej, — czy Wasza Wysokość raczy kazać przywołać pachołka?

Maryna spojrzała na nią pytająco.

— Pachołka, co by list zaniósł...

— List? — zapytała carowa zdumiona.

— List do pana kasztelana... w sprawie... — Nie dokończyła, pokorne, błagalne oczy wznosząc na pociemniałą nagle z gniewu twarz carowej.

— Nic nie wiem o żadnym liście — przerwała Maryna z naciskiem. — Pan kasztelan — zwróciła się do Zarudzkiego — proponował mi wyjazd do Polski. Wierę,

byłoby im to po myśli... Ale srodze się zawiódł, bo raczej zginę niźli wyjadę...

Spojrzała na miecznikową i oczy jej złagodniały.

— Jejmość ochmistrzyni może jechać, jeśli wola — zauważyła, — nie będę mieć o to rankoru nijakiego... Pospolite jest u powszechności przekładanie bezpieczeństwa i spokoju nad wielkie zamysły i cele, udziałem jeno wybranych będące... Tak mniemam, że kogo Pan Bóg raz na świeczniku osadził, świecić musi — powtórzyła słowa wyrzeczone niedawno do kasztelana.

Pani Kazanowska wyszła cicho do sąsiedniej izby i upadła bezsilnie na ławę. Śpiczaste, wąskie jej plecy drżały, jak gdyby wstrzymywała łkanie. W zapadłej piersi wrzała walka między pogardą dla tego, co uważała za swą słabość, a żalem nieutulonym... — Kogo Pan Bóg na świeczniku osadzi, świecić musi; słusznie, słusznie — powtarzała bezmyślnie; — kogo Pan Bóg na świeczniku osadzi... Pospólstwo niech dba o spokój... wybranym gloria, chociażby drogo kupiona, przystoi. — Na pociechę jęła przywoływać na myśl ulubione wspomnienia niezapomnianego wjazdu do Moskwy, bez mała trzy lata temu... Oto kareta złocista... jedna... druga... trzecia... W pierwszej carowa, w drugiej ona... chwieją się kity wplecione w farbowane na purpurowo grzywy koni... Szor aksamitny zielony... Droga wysłana materią niepodłą... Choć myśl zbuntowana wracała uparcie do jakiejś prostej powózki, co by zapadłym traktem wiozła ją ku Polsce, ku Nieborogom rodzinnym, —powoli działał niezawodny haszysz wspomnień zadowolonej próżności. Otarła oczy, poprawiła zmięty kornet, wyprostowała się ceremonialnie. Pogardziła samą sobą za minioną małoduszność, właściwą pospólstwu... Tak! pospólstwu... U niej już się nie powtórzy...

— Pan starosta uświatski chcą widzieć Jejmość Carową! — krzyknął nagle ode drzwi pachołek.

Zerwała się szybko z miejsca, by zameldować odwiedziny swojej pani. Ataman Zarudzki stał nieruchomo, pogrążony w milczącym jakimś zachwyceniu. Na odgłos kroków wyprostował się, przeciągnął ręką po czole błędnym ruchem, i wyszedł bez słowa.

W sieni minął się z panem Sapiehą, który skinął mu głową z wielkopańską niedbałością.

— Jejmość Carowo — zaczął swobodnie starosta, powitawszy, — miłościwy małżonek, jako słyszę, zbiegł. Krzyżyk na drogę!... Przyszedłem spytać otwarcie, co w takowych cyrkumstancjach Wasza Wysokość chcesz czynić.

— Ja nie zbiegnę — rzekła wyniośle.

Spojrzał na nią z badawczym uznaniem. Miała wypieki na twarzy, zdecydowane usta, i bystre, stanowcze oczy. Choć znał ją z dawna, spodziewał się tym razem ujrzeć ją rozkołataną, strwożoną ucieczką cara, przejściem Rożyńskiego, — bezbronną i szukającą opieki. Widoczny jej animusz i determinacja zaimponowały mu, ujęły jego, męstwo nade wszystko ceniące, serce. Ucieszył się w duszy, że taką będzie miał planów swych wspólniczkę.

— Admiruję najgoręcej fantazję iście kawalerską Waszej Wysokości i siłę ducha ekstraordynaryjną, a w białogłowie zgoła niewidzianą — rzekł szczerze.

Spojrzał na nią znowu, i zdziwił się, pierwszy raz bowiem wydała mu się ładną, kobiecą. Było w niej coś nowego, odmiennego, — zapewne radość z wyzwolenia się od rzekomego małżonka.

— Admiruję całym sercem — powtórzył, — jako przyjaciel życzliwy jednak, rad bym wiedział, co Wasza Wysokość chcesz czynić?

— Na Moskwę iść — odparła, jakby zdziwiona pytaniem.

Wydął usta, spoglądając na nią bokiem. Podobała mu się coraz to więcej.

— Na Moskwę... ale jak?... Wasza Wysokość sama, na czele takiej imprezy? Z kim? Przyszedłem pokonferować otworzyście, choć pod najtajniejszą dyskrecją: Masz Wasza Wysokość istotną chęć upierać się przy walce?

— Przy moich prawach... — skorygowała dumnie.

— Tak jest — skłonił głowę; — w tym propozycie wspólnictwo chętnie mogę ofiarować... Wasza Wysokość masz prawa i tytuł, formalny, zaprzysiężony; ja mam eksperiencję i siłę, bez której nie zdziała nikt nic... Razem będziem walczyć o tron moskiewski, by wspólnie na nim zasiadać...

Patrzyła nań chłodno, przenikliwie, nic nie mówiąc.

— Inaczej rzekłszy — podjął, nie tracąc pewności siebie pan Sapieha, — mam zaszczyt i śmiałość prosić o rękę Waszej Wysokości, jako wdowy po carze Dymitrze, któren zabit w Moskwie, w maju 1606 roku — podkreślił wyraźnie, — gwarantując, że ją na tronie carskim posadzę...

— Miłą mi jest chęć waszmości — odparła sucho, — przecież do takowego wspólnictwa przyczyny nie widzę, do małżeństwa tym bardziej...

Nie zrażony bynajmniej, począł ją przekonywać, tłumaczyć. Mówił długo. Mówił jak statysta, jak wódz, jak biegły polityk, a przede wszystkim jak orzeł drapieżnik, kąsany żądzą sławy i władania. Roztaczał przed nią projekty działań, obliczał siły swoje i nieprzyjaciela, z płonącymi oczami rozgrywał batalie, wchodził w święte mury Moskwy, brał razem z nią w posiadanie niezmierzony kraj...

Nie przerywając, zamyślona słuchała, nie tyle tego, co mówił, jak własnych rozpierzchłych myśli. Oto w przeciągu godziny dwóch ludzi kolejno przyszło jej ofiarowywać to, czego pragnęła i żądała, — tron. Którego wybrać? Na którym się oprzeć? Zbyt mądra była i trzeźwa, by nie widzieć jasno, że pewność Zarudzkiego oparta była głów-

nie na osobistym jego męstwie i zapale, gdy Sapieha posiadał ponad to jeniusz strategiczny, olbrzymie stosunki, długoletnie doświadczenie wodza, i fortunę udzielnemu księstwu równą. W wyborze zatem między nimi dwoma nie należało wahać się ni chwili. Czemuż Sapieha nie przyszedł wcześniej! Choć jasno widziała różnicę, czuła, że nie zdoła zabić tego, co się w jej sercu zrodziło przed chwilą. Nie, nie, — za nic! Przenigdy oczy Sapiehy nie spojrzą na nią wzrokiem miłosnym tamtego... Jest mu równie obojętna, jak była pierwszemu mężowi, kochankowi pięknej Kseni Godunównej; jak plugawemu chłopu pijanicy, — narzędziem, i niczem więcej... — Podniosła głowę, rozdymając cienkie nozdrza.

— Raz jeszcze uprzejmy dank składam za dobre chęci waścine — rzekła, — wszakże powtarzam, że wolę walczyć o należny mi tron sama...

Spojrzał na nią osłupiały.

— Wasza Wysokość sama?! Przeciw całej Moskwie? przeciw królowi? Gdzie siły?!

— Dam sobie radę — odparła wymijająco.

— W jaki sposób?! kto pójdzie z Waszą Wysokością?!

— Kozacy zostaną przy mnie...

Pan Sapieha umilkł i skoro się pożegnał. Prawda zaświtała mu w głowie.

— Byłbym Jazonem, to pewna — myślał, wychodząc, — ale Medea zawiodła... Głupia baba! Z tym kozakiem daleko nie zajedzie... Gładka gęba i pięść same nie wystarczą.

Odprawił pachołka z końmi, nawymyślawszy mu wprzódy dla ulżenia sobie, i dość kwaśny ruszył naprzeciw, do kwatery pana Stadnickiego, zgłosić swą gotowość działania wespół z Królem Jegomością.

ROZDZIAŁ XII

W BOJU

— Całe nieźle ufortyfikowali ten ostrożek — zauważył hetman, objeżdżając Carowe Zajmiszcze.

Wokoło, na szerokim błoniu, wrzała praca. Piechota z pacholikami sypała gródki, na stu ludzi każdy, mające objąć pierścieniem twierdzę. Poza wojskiem leżał, migocąc do słońca, olbrzymi staw, przecięty szeroką groblą, miejscem onegdajszej zaciętej bitwy. Ciurowie uwijali się na niej, zbierając ostatnie trupy moskiewskie, które pan hetman po chrześcijańsku, choć osobno od swoich, pogrzebać rozkazał. — Jazda rozkładała obóz na dłuższy postój. Łączono łańcuchem wozy, zastawiano w przejściach kobylice. O wzięciu bowiem ostrożka szturmem nie było co marzyć, nie posiadając dział burzących. Zresztą Wałujew miał w twierdzy przeszło dziesięć tysięcy wojska, pan hetman niecałe osiem. Teraz dokonywał oględzin zewnętrznych twierdzy w towarzystwie panów rotmistrzów Bobowskiego, Firleja i Strusia, bratanka swego Adama, siostrzeńca Olesia Bałabana, i Sebastiana Pielsza.

— Tu las, i tu las — narzekał pan Żółkiewski; — warowny ostrożek! Trza jeszcze obaczyć, jakie jest podejście z tyłu.

— Tam jest trzęsawisko srogie, pod sam częstokół podchodzące — odezwał się Sebastian. — Widzieli my to, stojąc w Zajmiszczu temu dwa roki z pana Sapieżyńskimi wojskami...

— Waść byłeś w Carowym Zajmiszczu?— podchwy-

cił żywo hetman. — Przednio się zdarza. Powiadajże, jako tam jest?....

— Z przodu, od błonia, fosę mają potężną — objaśniał zwolna, jak zwykle, Sebastian. — Za fosą częstokół, druga fosa mniejsza, i znowu częstokół. Brama jedna od naszej strony. Warowna... Od bagna nikt nie podejdzie, nawet piechty, chybaby zimą na łyżach...

— Po poślednich deszczach rozgrzęzło pewno tym bardziej — zauważył rotmistrz Bobowski.

— Pewnikiem. Od lewej, w las, jest mała furteczka dla wycieczek. Pomnę, że czeladź chodziła tamtędy po drzewo. Zresztą siła się mogło zmienić, bo widzę, że ostrożek warowniejszy jest, niżli był wprzódy. Onych wieżów też nie było.

— Wałujew je musiał wznieść... Długoście tu stali z panem starostą uświatskim?

— Kilka niedziel, Wasza Dostojność.

— Tedy i drogi musisz znać, a przechody leśne. Trzymajże się nas, towarzyszu, nieraz bowiem przydadzą się nam te informacje.

Zawrócili ku obozowi. Hetman z rotmistrzami ruszył w przód, coś onym poufnie tłumacząc. Trzej pozostali jechali w milczeniu. Wesoły, gadatliwy Oleś Bałaban, rad zacząć rozmowę, spoglądał niecierpliwie to na Sebastiana, to na krewniaka, młodego Adama Żółkiewskiego, którego piękna, nieruchoma twarz wyrażała przygnębienie i obojętność zupełną. Przyczynę tego przygnębienia, ustawicznego smutku, który w przyszłości do samobójstwa nieszczęsnego młodziana miał pchnąć, znali z dawna wszyscy. Była nią miłość do ciotecznej siostry, cudnej urody Izabeli Daniłowiczównej, podskarbianki. Ni dziewczyna, ni ojce słyszeć o grzesznym, w tak bliskim pokrewieństwie, afekcie nie chcieli, i młody rycerz gorzał daremno, trapił się i wiądł.

Przebywając od pięciu miesięcy przy boku hetmana,

Sebastian miał czas dowiedzieć się tych szczegółów z opowiadań rozmownego Olesia. Nie pozbawiony zmysłu obserwacyjnego, zauważył zresztą sam znacznie wcześniej, że zarówno hetman jak stary rotmistrz Bobowski, Oleś Bałaban i inni, obchodzili się z Adamem Żółkiewskim niby z człowiekiem ciężko chorym, którego lada czym można urazić. Zarazem dostrzegł w tym współczuciu wyraźny odcień politowania i żalu, jak gdyby uważali niemoc duchową hetmanowego bratanka za rzecz nie marską, rycerza nie godną, nie przynoszącą zaszczytu bynajmniej. W poważnym wzroku hetmana, śledzącym badawczo, choć nieznacznie, obojętny krok, przygasłe oczy młodego desperata, widniała wyraźna nagana, której nie wyrażał jeno przez zbytnią swą dobroć. Podobnież z niechęcią kiwali głowami rotmistrze, szkodując niepoślednich zalet, marnujących się w melancholii nieszczęśliwego afektu.

Sebastian nie dziwił się zgoła tej milczącej ogólnej przyganie. Jemu samemu widok zdrowego, dzielnego rycerza przesuwającego się wśród życia i ludzi martwo, niby śnięta ryba, wydawał się przykrym, tym przykrzejszym, że ujrzał w nim kontrefekt samego siebie. Czyż, nie tak dawno jeszcze, nie zamykał się podobnie w rozmyślnej sennej tępocie, nie drżał przed lada piosenką lub słowem, niebacznie przeszłość wskrzeszającym? Czy nie truł świadomie swej duszy w gnijącej, podłej bezczynności? Czuł się winniejszym niż Adam, raz, że był starszym i dojrzalszym, po wtóre, że młody Żółkiewski, acz chodzący niby we śnie, nie uciekał przecież do szalbierzowego obozu, nie zaparł się uczciwości i honoru, milczącą obecnością nie akceptował łupiestw i gwałtów, stanowiących chleb codzienny najemnego towarzysza. — Wstyd palił czoło, gdy przypominał sobie czasy tam spędzone. W beznadziejnym opuszczeniu Adama oglądając, niby w zwierciadle, samego siebie, za-

pragnął wziąć się z udręką za bary, spojrzeć jej w oczy po męsku, pokonać i obezwładnić. Z radosnym zdziwieniem ujrzał, że samo to postanowienie stanowiło już pokaźną ulgę i ważny krok naprzód. Nie przestał wprawdzie tak samo cierpieć i tęsknić, lecz odzyskiwał powoli podstawowy, konieczny element bytu: szacunek dla samego siebie.

Obecnie, patrząc na ciemne oczy młodego rycerza, błądzące po falujących szczytach drzew z tępym, tak dobrze z własnych przeżyć znanym zatumanieniem, poczuł w sercu nagły przypływ litosnego braterstwa bólu. Rad by wziął cierpiącego za rękę, dzieje opowiedział, do walki ze zmorą miłości nakłonił. Lecz podnoszące się z głębi duszy uczucie zamarło na przywykłych do milczenia ustach, niezdolne wyrazić się w słowie.

— Jacyś konni jadą ku nam! — wykrzyknął naraz Bałaban, zaciekawiony.

Adam Żółkiewski oderwał powoli wzrok od dalekości boru, na których jak gdyby chciał zaczepić swoją tęsknotę.

— A jadą... — potwierdził obojętnie.

— Nasi chyba? Bo pancerni... Ale skądby jechali? Podjazdy niedawno wyszły...

Jakoż sześciu towarzyszy pancernych sunęło ku nim od lasu. Podjechali rysią. Na żołnierskich, wąsatych twarzach malowało się wyraźne zakłopotanie, nie licujące z ogorzałą srogością lic.

— Assanowicz jestem, herbu Stary Koń — rekomendował się pierwszy, wyjeżdżając naprzód, — to zaś są panowie Niewiadomski, Skumina i Wysokiński. Towarzysze sąśmy z chorągwi pana Zborowskiego.

— A... — rzekł krótko Bałaban, i zesztywniał.

— Radzi byśmy z panem hetmanem mówili — ciągnął niepewnie Assanowicz, — jeno nie wiemy...

— Zali zechce z waszmościami gadać! — roześmiał się Bałaban. — Proszę, proszę, poprowadzim do kwatery.

Ruszyli przodem, — pancerni za nimi.

— To takie syny, te Zborowszczyki — objaśniał półgłosem Oleś Sebastiana,—przy Szalbierzu jeszcze się trzymają, o milę stąd stoją... Onegdaj posyłał do nich pan hetman poselstwo, ku nam wzywając. To, mówię waści, kpinami, krzykami przyjęli, aż wstyd powtarzać. Takie gady! Ciekawość, czego chcą ninie... Już im tam pan hetman słodkiego lica nie ukaże, nie! Może wcale i gadać nie zechce.

Świsnął w powietrzu witką, którą konia od much oganiał.

— Nie śmiałem się odzywać — ciągnął, przybierając poważny wyraz, nie licujący z jego krągłą, uśmiechniętą twarzą, — ale od razu nie w smak mi było jegomościne poselstwo... Nie wiem, zali wiesz waść, że ten-ci Zborowski synalkiem ukochanym był infamisa, banity Samuela, którego nie za moich jeszcze lat, czasu króla Stefanowych rządów, ścięli... Że hetman jegomość stronę sprawiedliwości przeciw zbrodni trzymał i do ujęcia tego łotra dopomógł, straszna przeciw niemu w rodzie Zborowskich invidia... Zacięte to wrogi hetmanowe... Młody pewnikiem taki sam. Łacno było przewidzieć, że grubiaństwem na propozycje odpowie... Wspominałem o tym jegomości, któren mię sfukał i poselstwo słał; a ot, czyja się okazała racja...

Stanęli przed namiotem hetmańskim, w środku obozu stojącym.

— Wasza dostojność! — zawołał Bałaban, oddając konia pachołkowi, — towarzysze spod chorągwi pana Zborowskiego przyjechali!

Wbrew jego oczekiwaniom hetman wyszedł ze zwykłą spokojną pogodą na twarzy.

— Cóż waszmościów tutaj sprowadza? — zapytał przybyłych.

— Wasza Dostojność! — zaczął z determinacją Assanowicz, chyląc się do kolan pana Żółkiewskiego, — niewdzięcznie my przyjęli posłów Waszej Dostojności, z winy kilku powsinogów a krzykaczów, którzy tęgo potem oberwali, bo i do szabel między nami przyszło. Prosi pokornie pan rotmistrz Zborowski, byś Wasza Dostojność żalu żywić nie raczył, a ku sobie przymknąć pozwolił. Siła u nas ludzi rycerskich, dobrego serca i fantazji, którzy o potrzebie onegdajszej zasłyszawszy, płaczą prosto, iż w niej udziału nie mieli...

— Nic mi milszego jak takie poselstwo — uśmiechnął się hetman radośnie. — Niechże pan Zborowski ściąga ku nam, a rychło, bo nie wiadomo, czy za godzinę nowa się okazja nie zdarzy...

Padli mu do nóg, dziękując za wspaniałość, on zaś uściskał każdego z kolei, mówiąc:

— Jakże? dla prywatnej urazy ujmowałbym dobrego żołnierza Rzeczypospolitej?!

Odjeżdżali szczęśliwi, obiecując za dwie godziny nadciągnąć z chorągwią i taborami. Gdy hetman znikł w głębi namiotu, Oleś Bałaban zmarszczył się niechętnie.

— Przydać, przydadzą się, nie ma co gadać, bo nas garstka ino... Ale trza ich było choć dobrze zwymyślać! Toć sobie waćpan ani wyobrazić możesz, jak grubo posłów hetmańskich przyjęli... A jegomość od razu do nich niby ojciec!

— Jegomość zawdy tacy — przywtórzył Adam Żółkiewski. — Inny by nieraz zesromocił, od matki nałajał, a on jeno pisarza starożytnego zacytuje, albo jednym słowem tak skonfunduje człowieka, że nie wiesz gdzie oczy podziać...

— Drugiego takiego nie masz! — wykrzyknął rotmistrz Bobowski, dosłyszawszy koniec rozmowy. — Pan het-

man!... Nieraz, ruszając z domu, zdarzyło się zapomnieć tego, lub tamtego... Szkaplerzam kiedyś zabaczył — wyznał ze wstydem. — Ale jego książeczki nigdym nie ostawił! Trafiłoby się kiedy, by serce osłabło, to z niej nowej ochoty zaczerpnie...

— Książki? — zdziwił się Sebastian.

— Ejże? nie znasz waść? — Podsunął mu pod oczy małą, wytartą książczynę, w pergamin oprawną. — Patrzajże! Pan hetman to pisał, zaś Cezary w Krakowie w swojej oficynie drukował: *Pobudka do cnoty*... Rycerska rzecz. Maksymy tam znajdziesz waść, najbardziej struchlałe serce podnieść i zagrzać mogące.

Poślinił palce, przewracając z nabożeństwem ulubione kartki.

— „O Lakonowie! — czytał, — przeciwko azjatyckim narodom nie wstyd was zacnych dziełów..."

— Zacz Lakonowie? — otworzył oczy Sebastian.

— O dlaboga! — zniecierpliwił się staruszek, — toćże to figuralnie powiedziane jest; rzekomo o Lakonach, którzy z Leonidasem, wodzem swym, Kserksesa Persa zadzierżywali, ale wiadomo przedsię, co rozumieć... „O Lakonowie! — powtórzył, — przeciwko azjatyckim narodom nie wstyd was zacnych dziełów dziadów, pradziadów waszych?... Z dzieciństwa do tegośmy się ćwiczyli. Wstyd mnie napominać Lakony. Niech choć wszytek słońca wschód ciągnie na upadek nasz: trzymając w ręku broń, bezpieczniśmy są. Sromota Lakonom, ile zbrojnym, pytać się, jako mają bezpieczni być... Nie wiem, jeśli zwyciężyć możem, — to wiem, że zwyciężeni i pohańbieni być nie możem..."

Po chwili czytał dalej:

— „Jeśli czas przyszedł śmierci naszej, oszukiwa się, kto się jej boi. Głupia rzecz jest bać się tego, czego się schronić nie możesz..."

— Słuchajno waść, słuchaj jeszcze!

— „Sparta, ojczyzna nasza, nie obwiedziona jest mury... Nam trzeba za mur wystarczyć... Tu najpierwej potentat, co góry wywraca, natrafi czego wywrócić nie zdoła: cnoty naszej. Wszelkiemu mężowi sromotna rzecz uciekać. — Lakonowi o tym i rozmyślać"...

— Raczysz pożyczyć mi waszmość tej książki? — spytał nieśmiało Sebastian.

Ton jego głosu rozbroił starego rotmistrza.

— Z miłą chęcią! Jeno nie przed bitwą, bo nierad bym bez niej umierać... Sam pan hetman mi ją dał... Pan hetman!... I jeniusz, i uczony... Całą bibliotekę ze sobą wozi. Sprawiedliwie mówię, bom sam nieraz widział...

— Wiadomo! — roześmiał się Bałaban, — łacińskie pisma Cezara, Tucydydesowe, Herodotowe wspominki, francuza Commines, Reinolda Heidensteina i innych; nie zliczyć!

— Panowie rotmistrzowie na naradę! — krzyknął, przebiegając mimo, Wiesiołowski, pokojowiec hetmański.

— Stój Walek! Czy to podjazdy wróciły?

— Ano! jeńców przywiedli. Są pono ważne nowiny! — odkrzyknął Bałabanowi młody szlachcic, i pobiegł dalej.

Stary Bobowski wsunął książeczkę w zanadrze i ruszył do namiotu. Zewsząd ściągali śpiesznie pozostali rotmistrzowie: Kopyciński, Dunikowski, książę Porycki, książę Korecki, Kazanowski, Wasiczyński i inni. W namiocie hetman odprawiał łaskawie kilku jeńców, bojarskich synów, przywiedzionych przed chwilą przez podjazd rotmistrza Niewiarowskiego. Hetman pozwolił im wracać wolno, dokąd chcą. Odziani w jaskrawe, długie sarafany, stali oszołomieni, strwożeni, bo spodziewali się stryczka. Bijąc co moment pokłony, łypali wokół podejrzliwymi oczami. Łaskawość hetmańska zdawała im się kryć niewątpli-

wą zasadzkę. Gdy ich wyprowadzono, hetman zwrócił ku zebranym markotne nieco oblicze.

— Same ważne nowiny mamy, panowie... Wojska Dymitra Szujskiego idą śpiesznym pochodem Wałujewowi na odsiecz. Połączył się z nim Pontus de la Gardie, także Horn i musier de la Ville, któren nadciągnął już z Rżewa. Nocować dzisiaj mają o cztery mile stąd, pod Kłuszynem...

— Siła ich? — zagadnął Porycki

— Cudzoziemców osiem tysięcy. Przednie to pułki jak wiemy. Moskwy czterdzieści tysięcy... Chłopów, kobylice i sprzęt wiozących, ćma: dwadzieścia tysięcy; ale to hołota, której rachować nie warto... Będzie wszakże koło pięćdziesięciu tysięcy wojska dobrego... Jutro tu staną... Trza się naradzić, co czynić.

— Psiakrew! to Szujski z Pontusem się złączył?! — zaklął z cicha Kopyciński.

— A Francuz!... tego jeszcze brakowało!

— Podejdą tu, a Wałujew od tyłu na nas uderzy...

Zmilkli, patrząc w twarz hetmana wyczekująco. Lecz on nie kwapił się z wypowiedzeniem swego zdania, rad owszem wysłuchać w przód, coby myśleli.

— Ciężko zdzierżeć — szepnął Dunikowski. — I pod Kircholmem takiej przewagi nie było...

— Tu czekać na nich?... Może by ku nim się pomknąć? — spojrzał pan Struś w hetmanową twarz pałającymi oczami.

— Jak to? Wałujewa za plecami zostawiając? — ofuknął go Wasiczyński.

— Reta! reta! W obcym kraju! Pobiją nas, to wyginąć marnie przyjdzie! — biadał Dunikowski. (W ogniu przedni był żołnierz, lecz w radzie zawsze co najgorsze przewidywał).

— Częścią pójść, a część ostawić — zaryzykował Firlej.

— Nie ma co dzielić! — mruczał Wasiczyński; — tę garstkę? Ani tu, ani tam nic nie sprawisz...

— Chyba za groblę się cofnąć, bo bokiem w las się rzucić? — podsunął Dunikowski.

Milczący dotąd hetman zmarszczył brwi niechętnie.

— *Modus* by to był ani uczciwy, ani bezpieczny...

— Panu hetmanowi świat zmierzł, i rad by wojsko ze sobą zgubić — burknął z cicha Dunikowski do Kopycińskiego.

— A cóż ty, towarzyszu, myślisz? — zwrócił się nagle hetman ku Bobowskiemu.

— Ja? — zdziwił się stary rotmistrz, — ja tak, jak Wasza Dostojność...

— Jeszczem nic nie rzekł — uśmiechnął się pan Żółkiewski.

— Nie wadzi. Co Wasza Dostojność każesz, będzie dobrze...

Dziecinnie omal szczery i radosny uśmiech przewinął się pod mlecznym wąsem starego żołnierza, gdy zacytował półgłosem:

— „Nie wiem, zali zwyciężyć możem, — to wiem, że zwyciężeni i pohańbieni być nie możem"...

Wzrok pełen bezbrzeżnego uwielbienia i ufności wlepił w twarz wodza, który uśmiechnął się doń serdecznie.

— Pan Zborowski jedzie! — zajrzał do namiotu Bałaban.

— Chodźmy go witać — rzekł hetman, powstając. — Rychło ogłoszę moją decyzję waszmościom, tymczasem wojsko ma być w pogotowiu.

Chorągiew pana Aleksandra Zborowskiego wjeżdżała szumnie i strojnie. Piękna była i dobrze okryta. Pan Zborowski pozdrowił hetmana, dziękując za łaskawość i obiecując służbę nieleniwą.

— Trafi ci się do niej sposobność i to skorzej niż waćpan przypuszczasz — rzekł hetman.

Nagłym ruchem odchylił się i spojrzał przenikliwie w dumną, rasową, wichrowatą twarz młodego dowódcy. Znać w niej było jakiś przymus czy walkę wewnętrzną. Bez słowa, pan Żółkiewski przycisnął go do piersi i ucałował gorąco jak syna...

Za czym wezwawszy synowca Adama i rotmistrza Bobowskiego do pisania rozkazów, zamknął się z nimi w namiocie.

*

* *

Szósta dochodziła i żarkie lipcowe słońce wysoko jeszcze stało na niebie, gdy wysłańcy hetmanowi obiegli obóz, bez trąbki ni bębna roznosząc rozkazy. Wojsko miało natychmiast wychodzić pod Kłuszyn (Masz diable kaftan! wymyślił! — zaklął ze złością rotmistrz Dunikowski), porządkiem ściśle oznaczonym: Pana Strusiowa chorągiew pierwsza, Zborowskiego druga, Poryckiego trzecia, Kazanowskiego czwarta, dalej Dunikowskiego, Wasiczyńskiego, Kopycińskiego, Firleja, i inne. Piechoty ludzi dwieście, dwa czterokonne przednie falkonety i stara kolaska hetmańska. Tę ostatnią aby wzięto, wyprosił, wymodlił Bałaban.

— Głupiś, i tak do niej nie siędę — fukał na siostrzeńca hetman przy pisaniu rozkazów.

— Nie daj Boże nieszczęścia, Jegomość... co szkodzi jedna kolaska? Pochodu nie zadzierży — upierał się przy swoim Oleś. Widząc szczerą troskliwość chłopca, hetman ustąpił, niechętnie.

W obozie miały pozostać tabory, namioty, siedemset piechoty, nieco kozaków, trzy chorągwie jazdy, ciury i pacholiki, którym broń rozdano, przykazując szumieć i hałasować potężnie, by Wałujew domyślić się wymarszu wojska nie mógł. Komendę nad obozem w nieobecności hetmana sprawiać będzie pan Bobowski, żołnierz stary, doświadczony.

Czerwonozłocista zorza zalała skrzącą powodzią drzewa nad wojskiem w pochodzie, gdy kapelan, ksiądz Szymon Wybirek, przyjaciel hetmański, jadący w pierwszym szeregu, wzniósł oczy do nieba i stułę na szyję założył, szepcąc Anioł Pański. Widząc jego gest, rycerze żegnają się pobożnie, powtarzają półgłosem Pozdrowienie Anielskie. Biją się w piersi, chylą w pokorze głowy. Przodem, pobok kapelana, pan hetman jedzie zamyślony, tuż za nim obaj krewniacy, i Sebastian Pielsz, na swym kirgizie (podobnym w cieniu leśnym do stwora-niestwora), jako kałauz, drogi okoliczne znający. Zmierzch w puszczy szybko zapada. Gościniec wydłuża się ciemnym parowem. Bór-uroczysko, bór dziki, gada coś niezrozumiale. Miesiąc rogaty wypływa ponad głęboki jar drogi, przegląda się w błotnistych kałużach, rzucając w nie garści złota... Trzeszczą gałęzie, bo rycerstwo lasem objeżdża błotnistą drogę. Spod kopyt pryskają — świecąc ni to chochliki, błędne leśne duszki — robaczki świętojańskie, nierade, że im gody miłosne przerwano. Migocą w górze jak klejnoty nocy. Raz po raz wilgotna od rosy gałąź trzepnie z hałasem o hełm towarzysza. Gdy spod nóg porwie się spłoszony zwierz (nie rozpoznasz w mroku, jaki), szustnie wśród liści skokami szaraka, albo wyniesie się w górę polotnym wyrzutem nóg sarnich, — boczą się i chrapią konie. Z fukiem, tętentem, sapaniem, przelatuje w poprzek drogi wystraszone stado dzików. Chrząkają groźnie zajadłe maciory, zasłaniając sobą centkowane, niemrawe warchlaki. Z żelaznym chrzęstem strzelają w kielce odyńce. Giną w ostępie. Znów cisza. — Ryś przywarował w rozwidleniu drzewa. Nastawiwszy bacznie uszy ostro pendzlem sierści zakończone, patrzy w dół. Zdziwienie bije z płaskiej, kociej mordy drapieżnika: Cóż to za wojsko sunie dołem, jak wilcy cicho?... Na jakie ruszyli łowy?...

Hej! na wielkie, trudne łowy, — aż chyli się od namysłu i wagi głowa pana hetmana.

Północ już mija (wnioskują po miesiącu towarzysze), — gdy niespodziewana przeszkoda staje na drodze pochodu: Gościniec, zrazu tylko błotnisty, staje się lgnącą starzyną. Po przejściu pierwszych chorągwi, miasto drogi połyskuje matowo od księżyca rozchlapana, lepka, chwytająca maź. Bokiem gąszcz nieobjechany. Ciężkie falkonety grzęzną po osie. Grzęzną ich wozy, dźwigają trzy setki dziesięciofuntowych, pustolanych kul, opatrzonych tulejami. Piechota ścina kilka młodych buków, które kolejno podkłada pod koła. W mroku nocnym błyskają spiżowe, śliskie ciała dział, w łuskę karpiową misternie wyrobione. — Przednie to falkonety, długie, bezkomorowe, we Lwowie u Franka, dobrego ludwisarza, odlane. Jeden zwie się „Virgo", drugi „Pluto". Pan Więckowski, puszkarz zamiłowany, nachyla się nad nimi troskliwie, sam pomaga dźwigać szprychy, podtrzymuje ozdobne uszy, zwane delfinami, klnąc z cicha, ale siarczyście, bagnisko.

Wszyscy je klną na równi, bo marsz się opóźnia. Krótka letnia noc nasiąka już blaskiem opalowym. Czerń miesza się z bielą, srebrnieje, gdy we mgle przebłyskuje wreszcie koniec lasu, a wraz otwarta równina.

— Kłuszyn... — powiada ściszonym bezwiednie głosem Sebastian. — Nieraz my tu przyjeżdżali za furażem. Płotów na tym polu siła... Dwie małe derewnie przed nami... Nie derewnie to, ni chałupy, tylko klecie; już wtedy nikt w nich nie mieszkał...

Chorągwie ustawiają się, milcząc, pod lasem, w miarę jak wysuwają się z gąszczu. Pana Strusiowa pierwsza; Zborowskiego, Samuelowego syna, druga; księcia Porytckiego trzecia...

Wiatr poranny szumi w wielkich skrzydłach orlich, podrywa skóry u ramion. Stoją niewidoczni na tle boru, wytężając wzrok w dolinie. Świat bieleje szybko, wyłaniają się z mroku kształty, dalekości. Jak okiem zasięgnąć, rozciąga się obóz moskiewski. Rzędy zakobyleń giną we mgle.

Równina przecięta jest dwoma szeregami zwartych chróścianych płotów, zapewne dla ochrony pól przed dzikiem lub łosiem wzniesionych. Rozwalone chaty dwóch opuszczonych wiosek czernieją na przedzie. W głębi, z mlecznej mgły wynurza się ciemny, sporawy horodek. Obóz śpi. Ni ruchu, ni światła, ni ognia. Spadłszy teraz z góry znienacka, można by ucapić śpiących, aniby się spostrzegli. Błyszczą drapieżnie oczy rotmistrzów, chciwych runąć niby raróg na drzemiące kuropatwy. — Ba! gdyby wszyscy już wydostali się z lasu! Pana Kopycińskiego chorągiew dopiero wyjeżdża, Firlejowej jeszcze nie widać, — a o piechocie i falkonetach ani słychu.

— Mniejsza o falkonety, ale bez piechoty nie poradzim, bo musi wyrąbywać płoty — konstatuje hetman. — Trza czekać.

Stojąc niewidoczni, zlani w jedno z lasem, czekają niecierpliwie. Ksiądz Wybirek nuci półgłosem:

Witaj Królowo i Matko litości,
Żywocie duszy, nadziejo słodkości,
Do ciebie dzieci Jewine wołamy...

A rycerstwo podejmuje szeptem:

Rzewliwe głosy podniósłszy do nieba,
Teraz Rzeczniczko, teraz Cię potrzeba...

Półśpiew leci ku niebu wraz z szumem boru i świergotem rozbudzonych ptaków.

Nareszcie!... Westchnienie ulgi z wszystkich piersi wita ukazujące się z lasu ostatnie chorągwie. Za nimi wypada biegiem staplana w błocie po pachy piechota. Pan Ludwik Wejer, dowódca, łapiąc dech, melduje hetmanowi, że połowę ludzi zostawił przy falkonetach, które niebawem nadejdą, sam z połową przybieżawszy.

— Nie będziemy na nich czekać — mówi hetman. — Pchnij waść śpiesznie kilkunastu, by podpalili te budy. Strzelcy mogliby nam siła z nich szkodzić...

Sam chwyta do ręki buławę, wyjeżdża przed czoło chorągwi:

— Trąbić do spotkania!! — woła potężnie. W głębi szlachetnej swej duszy rad jest, że nie napadnie na śpiące.

Ksiądz Wybirek, kapelan, podnosi do góry wyciągnięty z zanadrza krzyż. Błogosławi nim długo wojsko, wszystkiemu razem i każdemu towarzyszowi z osobna. Błogosławi równinie, która za chwilę sfarbuje się hojnie krwią. Żarliwymi słowami prosi Boga, Pana Zastępów zwycięskich, by miłościwy był duszom, które los wojny przed trybunałem Jego dziś postawi... A skończywszy modlitwę, chowa krzyż, i ujmuje w garść szablę, którą włada nie gorzej niż drudzy.

Hetman kończy wydawać rozkazy, spokojnym, jasnym choć doniosłym głosem:

— Mości Zborowski na prawo! — Mości Struś na lewe skrzydło!... Pilno uważać na płoty! Dziurami kolejno wypadać!... Mospanowie! Ćma Moskwy, ale to nic! Nie pierwszyzna Polakowi stawać, przed wrogiem z większym sercem niżli siłą! Odwrotu nie masz! *Necessitas in loco, spes in oirtute, salus in victoria!*... Naprzód!!

Ostatnie słowa głuszą dźwięki surmów, długie, przeciągłe, krzepkie. Odbijają się echem o las, wracają zdwojone w równinę. Wraz na zmurszałych, grzybom nawisłym podobnych dachach chat opuszczonych wykwita biały dym, potem jasny płomień. Ogarnia je szybko, strzelając w górę z uciechy. W obozie moskiewskim, dopiero teraz przebudzonym, gwar. Wrzask... Niosą się przeraźliwe sygnały piszczałek. Na widok pędzących już z góry chorągwi, w nieładzie ustawiają się Dymitra Szujskiego pułki. Na łeb, na szyję, lecą strzelcy zawalać kobylicami wyrwy

w płotach. Za późno, bo pan Zborowski, dumny, promienny jak zorza, już jest ze swymi w obozie.

Z dala, na wzgórzu pod ufortyfikowanym horodkiem, wodzowie Dymitr Szujski, wyniosły Pontus de la Gardie i flegmatyczny Horn patrzą uważnie. Obaj cudzoziemcy stropieni są, że hetman zdołał zaskoczyć niespodzianie, niby fryców, starych jak oni żołnierzy, — lecz o wynik potyczki (trudnoż nazywać bitwą starcie z taką garstką!) najzupełniej spokojni. Patrzą ciekawie, jakby na teatrum.

— Żółkiewski zawsze był rezolut i ryzykant, ale dziś przeryzykował — uśmiecha się Horn.

— Ba, innego wyjścia nie miał.

— De la Ville żałować będzie, że zasłabł i w Pogorełoj ostał, dawno pragnąc z nim się zmierzyć...

— Swojego czasu, pod Wolmarem, w niewolę mnie biorąc, dał mi Żółkiewski własną szubę rysią — wspomina śmiejąc się, Pontus. — Ja mu dziś za to oddam sobolową; niech na moją niewdzięczność nie narzeka...

— Żółkiewskij!... cztob jewo... — postękuje kniaź Dymitr Szujski, opięty ciasno w atłasowy szafranowy chałat. Skośne moskiewskie oczy wytęża z niepokojem w stronę, gdzie wre walka.

— Chyba się Wasza Godność nie niepokoi? Wyprztyka on swój impet, zanim z połową naszych się zmierzy — i koniec. Ogarniem go wtedy i weźmiem jak swego.

— Zabawa czysta, nic więcej! — potwierdza Pontusowe słowa Horn.

Miast odpowiedzi, Dymitr stęka niewyraźnie, spluwa, żegna się kilka razy, i spluwa ponownie. Obaj cudzoziemscy wodzowie spoglądają na barbarzyńcę z pogardliwą wyższością.

W oddali chorągwie walą się na nieprzejrzaną czerń uszykowanego już moskiewskiego wojska, jak barwiste motyle na mrowisko. Straszliwym pędem przebijają się skróś armii. Jak za czółnem śmigłym woda, — zlewają się poza

nimi roztrącone szeregi. Więc wyrwawszy z gęstwy na pole, zwołują się, kupią, i sadzą w mrowie z powrotem...

Wespół ze Strusiowymi walczy Sebastian Pielsz, grzmocąc na prawo i lewo. Zrazu, gdy jeszcze stali popod lasem, onieśmielony był i zawstydzony swym brakiem wojennej wprawy. Toć to, po prawdzie, pierwsza jego wielka bitwa.

— Byłem prał mocno, to grunt — krzepił się w duchu; — nie harce to, gdzie człek na widoku wszystkich poczyna... śmiać się nikt nie będzie...

Onieśmielenie minęło, zaledwie ruszyli z furkotem skrzydeł, z krzykiem, skwirowi orlemu podobnym. Zamiotło nim uniesienie boju, poryw walki, śmiertelnego pędu sławy. Poczuł się naraz wolny i swobodny. Jak uciskający z dawna, ciasny, ciężki kaftan zrzucony nareszcie z pleców, — odpłynęły go wszystkie teorie, myśli, udręczenia. Niepomny na nic, walczył z furią rzetelną szlachcica. Roześmiał się w nim dziad, pradziad, dla których bój był rozkoszą. Parsknął, zarżał jak ogier, zakipiał. Niby mocne wino zaszumiała w głowie przemożna chęć, by porwać się z wrogiem za bary, — poczuć w rozwścieczonych łapach chrzęst przeciwnikowych kości, — zepchnąć go, zmiażdżyć, pokonać... Twardą stopą nastąpić na drgającą szyję, gasić płomienie zawziętych oczu jak świece, wtopić się w huragan boju, szczytną radość każdego serca prawdziwie męskiego, — czuć myśl i ramię płonące jednako... Dziedziczny, nieomylny instynkt, drzemiący dotąd gdzieś w głębi, wyczuwał naprzód cięcie przeciwnika, odparowywał je i atakował. Nieuczona, lecz kierowana nieświadomą siłą ręka zwijała się niezawodnym, szybkim jak skręt żmii ruchem. Z głuchym stękaniem drwala unosił koncerz oburącz, waląc nim w hełmy, naramienniki piechoty. Wilczaty jego kirgiz, monstrum szpetne i złe, kąsał na prawo i lewo. Nie kierowany, parł w przód z własnej woli, kwicząc i charcząc w obłędzie furii bojowej.

Spod lasu, bystrym wzrokiem ogarnia hetman plac boju. Kiedy, odbita o brzegi jakoby kamienne przedniej nieustępliwej moskiewskiej piechoty cofa się która chorągiew, rozpryska jak fala, — sam sadzi ku niej, zbiera, zwołuje, zagrzewa, na nowe wiedzie natarcie. Strusiowi potykali się już osiem razy! Poryccy, Zborowscy, dziesięć! Nie mają czym walczyć, połamawszy dawno kopie. Konie ustają, znużone. Słońce pali żywym żarem. Trzy godziny trwa już bój zapamiętały. Najgorzej, że płotu, mocno bronionego przez Pontusową piechotę, nijak nie można wyrąbać, ni owej piechoty, bezpiecznej za osłoną, ruszyć.

Lecz oto wynurzają się wreszcie z lasu falkonety. Na ramionach je prawie wyniosła piechota. Pędzą teraz w skok od lasu, z grzmotem kół zataczają łuk w miejsce, które wskaże hetman. Drygają niby z radości spiżowe, gładkie cielska. Na prawo „Virgo", panny wyobrażenie na lufie noszący, — na lewo niechybny „Pluto". Puszkarze drżą z niecierpliwości. Pan Więckowski mierzy długo, starannie. Pada pocisk jeden, drugi, — padają gęsto, celnie, prażąc bez miłosierdzia skrytą za płotem piechotę. Wystrzeliwszy jeszcze raz muszkiety, zmykają śpiesznie piechury. Wnet rąbią zaporę hetmańscy. Luką wyrwaną rzuca hetman odwód: świeżą, nietkniętą jeszcze chorągiew Kazanowskiego.

Zrywa się hufiec niby ptak z uwięzi. Ponoszą zniecierpliwione czekaniem, skąsane przez bąki pod lasem konie. Ponosi zapał rycerzy, od czterech godzin patrzących bezczynnie na śmiertelne zmagania się swoich. Wpadają w ciżbę jak w wodę. Pierzcha rozbita Moskwa, nie strzymawszy ich natarcia. A oni sadzą na oślep dalej, by przed obozem cudzoziemskim zderzyć się z jazdą francuską nieobecnego Monsieur de la Ville. W wąskim szyku kornetowym nadjeżdżają truchtem Francuzi. Zmrużone oczy mierzą chłodno znad gładkiej lufy pistoletu. Sypie się palba jak groch. — Jak groch o ścianę, zaiste, bo Kazanow-

scy już ich roztrącili. Opadli z boków, wdarli się klinem do wnętrza, rozszczepili kornety na wióry. Zmieszani z wrogiem rozbitym wiążą się w walce zaciekłej. Zderzają się ze zgrzytem ostrza. Walczą Francuzi zaciekle, jak na rycerzy przystało, lecz brak im już tchu i sił. Cienka, jadowita szpada francuskiego *gentilhomme'a* pęka jak drzazga w zetknięciu z straszliwym koncerzem. Mdleje szczupła, w mankiecie koronkowym, dłoń. Wytworny szept: *Excusez!* — obowiązkowy przy zadaniu śmiertelnego ciosu, ginie bez echa w okrzyku: „Bij! zabij!"... Padają gęsto mężni panowie francuscy, niezdolni sprostać osiłkom o gnatach stalowych, spod Bochni, Lublina lub Płocka. Roztrąceni, zepchnięci, osuwają się na boki... Niepowstrzymana usaria prze dalej, ku oczekującej natarcia angielskiej dragonii Horna. Lśnią z dala złote hafty, barwią się kolety. O trzydzieści kroków, Anglicy palą z pistoletów, po czym uczonym manewrem, zwanym karakol, zawracają za tylne szeregi, by nabić powtórnie broń. Ryk śmiechu w polskich szeregach, sądzących że tył podają. Nim drugi szereg Angielczyków zdąży dać ognia, nim pierwszy nabije pistolce, już wali się im na karki lawina ludzi i koni. Rozpędza, miesza, gna przez obóz, aż pod sam horodek... Ze wzgórza wodzowie patrzą oszołomionymi oczami.

— Hospodi pomiłuj! — jęczy, żegnając się raz po raz, Dymitr Szujski.

Pontus i Horn spoglądają ponuro, oczom nie wierząc. Centrum ich wojska w rozsypce. Bronią się wprawdzie na skrzydłach strzelcy i piechota, lecz celne strzały falkonetów spychają ich nieustannie, chociaż zwolna, w las. Wprost ku wzgórzu pędzą bezładne, trwogą ogarnięte kupy Moskwy, zaciężników. Firlej, Kopyciński, Struś, siedzą im na szyjach. Lada chwila ogarną wzgórze, a z nim razem wodzów.

Nie przestając jęczeć, Dymitr z Golicynem zwołują u-

ciekających. Horodek jest dobrze zaopatrzony, ma osiemnaście dział, można się w nim bronić. Rozbita piechota chroni się za wały, kobylicami zawierając przejścia. Tymczasem Pontus i Horn samotrzeć cofają się w las, by, okrążywszy pole bitwy, dopaść swoich rezerw, — trzech tysięcy stojącego na uboczu, świeżego żołnierza.

Przeciw tym zaciężnym właśnie, niechając chwilowo horodka, w którym ukrzepia się Dymitr, — zwracają się polskie chorągwie. Lecz konie znużone ustają. Ręce utrudzone mdleją. Stają o kilkadziesiąt kroków naprzeciw wroga, patrząc weń groźnie wizjerami pogiętych przyłbic. Nabierają tchu.

Wspaniałe na oko zaciężne pułki piesze, z obieżyświatów całej Europy zebranych złożone, czują się dość niemrawo pod tym wzrokiem. Nie wiedzą co czynić. Atakować, czy czekać? W powietrzu dookoła czują klęskę. W ich oczach starto jazdę de la Ville i Horna. Za chwilę ciż sami pierzaści straceńcy runą i na nich. Któż ich wstrzyma? Rozkazów nikt nie wydaje... Trącają jeden drugiego niechętnie.

— Widzi mi się, że te pachołki zdałyby się na parol — mówi bystry obserwator Oleś Bałaban do rotmistrza Strusia, półszeptem, bo zachrypł całkiem z wysiłku.

— Kto wie, może by się i zdały?...

— Warto by do nich zagadać?

— Po jakiemu zagadasz waść? Tu żaden ludzkiej mowy nie rozumie.

— Ja potrafię — powiada rotmistrz Kopyciński; — i po szwedzku i po niemiecku umiem gadać. Jedźmy!

Podjeżdżają z Bałabanem tuż pod pierwszy szereg.

— *Kum! kum!* — woła groźnie rotmistrz, — zdajcie się juchy, albo spierzemy jak tamtych!

— *Kum! kum!* — powtarza zachrypłym głosem Bałaban, machając ręką.

Ogłupiałe rajtary patrzą w nich, nie rozumiejąc.

— Zarazy! udają, że nie słyszą! Przecie po ichniemu mówię — sierdzi się Kopyciński. — Nie chcecie *kum* — poczekajcie!

— Szkoda gęby psuć — woła rotmistrz Struś; — wracajcie zaraz.. Bij! zabij!

— Bij psiawiarów!!

Ostatnim, potężnym wysiłkiem zrywają się do ataku mdlejące chorągwie. Stękają kłute ostrogami konie. Jęczy ziemia. Już wzięli rozpęd, już walą. Lecz Szwedzi, jak gdyby teraz dopiero pojąwszy, czego żądali rotmistrze, podnoszą ręce do góry. Pierwsze szeregi, powiewając kapeluszami, zmykają chyżo na boki, bo towarzysze, choć podnieśli w górę szczątki kopii na znak zrozumienia, nie mogą wstrzymać impetu od razu.

— Namyślili się przecie, złodzieje — stwierdza z satysfakcją Kopyciński, osadzając konia.

Trąbiąc przeraźliwie, wysuwają się parlamentarze zaciężników. Oleś Bałaban wiedzie ich do hetmana, by z nimi warunki kapitulacji omówił. Między oczekującymi decyzji hetmańskiej wojskami zawiązuje się życzliwa rozmowa na migi.

Na tę chwilę właśnie Pontus de la Gardie i Horn wyjeżdżają z lasu. Widząc kapitulację, niedwuznacznie przyjacielski stosunek do wroga, dumny Szwed ryczy jak buhaj, bije po pysku oficjerów, płazuje szpadą żołnierzy, sam chce wieść do ataku. Daremnie! Żołnierze trwają przy swoim. Usuwają się zręcznie spod zasięgów jego gniewu; walczyć nie myślą. Grożą mu, że go związanego hetmańskim wydadzą. Flegmatyczny Horn, czerwony ze wstydu, stoi skamieniały. Pontus miota się bezsilnie, szlocha w rozpaczy, targa oburącz śpiczastą brodę, nie zważając, że patrzą na niego ciekawie stojący w pogotowiu o kilka kroków husarze.

Wraz i parlamentarze wracają, z umową już podpisaną. Machają nią w powietrzu zwycięsko, witani wesołym o-

krzykiem obu stron. Wylazłszy na ramiona kolegów, jeden z wysłańców odczytuje donośnie warunki: Kto chce, ma prawo odejść swobodnie z bronią w ręku, dawszy jeno parol, że przeciw Rzeczypospolitej walczyć w tej wojnie nie będzie. Kto woli, może nie mieszkając przejść w służbę do polskich szeregów...

Po krótkich deliberacjach przechodzą na żołd króla Zygmunta — Francuzi, Anglicy, Szkotowie i Hiszpanie. Z rycerskim pozdrowieniem, już jako koledzy, podjeżdżają ku polskim chorągwiom. Wiwaty grzmią zobopólnie. Posępny jak noc, blady jak trup, wyniosły Pontus de la Gardie daje parol, i zabierając z sobą Szwedów oraz Finlandczyków, odchodzi z Hornem na Nowogród.

— A mierzawcy; proklataja łatinskaja swołocz! — klnie naczelny wódz wojsk moskiewskich, kniaź Dymitr Szujski, patrząc z częstokołu gródka na kapitulację zaciężnych i odwrót niesławny Pontusa. Na myśl, że dotychczasowi sprzymierzeńcy gotowi teraz uderzyć na niego, traci serce do dalszej obrony. — Nieczystaja siła! — stwierdza, i wymyka się z wojskiem z horodka, zostawiając w pośpiechu działa. Olbrzymi obóz jest własnością polską...

Na pobojowisku hetman podnosi ręce do góry w niemym dziękczynieniu. Ksiądz Wybirek intonuje *Te Deum*... Towarzysze poją w potoku upadające ze znużenia konie. Sami przypadłszy ustami do wody, chlapią ją chciwie, żarłocznie, zanurzając w chłodnym nurcie utrudzone głowy. Hej! odpocząć, zrzucić rozprażony słońcem pancerz, legnąć na świeżej murawie!...

Nieskoro jeszcze, nieskoro!... Trza zebrać rannych, których siła, trzystu z górą, leży na placu, — a pogrześć tych, co polegli. Rannych układają w zdobycznych moskiewskich kolasach (więcej pono tych kolas a wozów, niż towarzyszów w chorągwiach). Układają ostrożnie, troskliwie. Żelazne łapy, straszliwe wrogowi, — by dźwignąć rozpłataną głowę przyjaciela, unieść zrąbane ramiona,

stają się miękkie, czułe, ostrożne, niby niewieście... Z głębi obozu, podobni przodownikom niosącym wieńce na okrężne, rotmistrzowie ciągną zdobyczne chorągwie... Więcej ich niźli pięćdziesiąt. Pan Aleksander Zborowski, Samuelów syn, w nienawiści do hetmana Żółkiewskiego od dziecka chowany, dźwiga największą, adamaszkową ze złotem. Z rozmachem, z szczęsnym junackim śmiechem, ciska ją pod nogi wodza, patrząc w twarz jego z miłością.

Prócz chorągwi wzięte są działa, olbrzymie tabory. Wzięta jest buława Dymitra Szujskiego, jego namiot i złota zastawa. Soboli, sreber i sukien na czterdzieści tysięcy rublów, albo więcej. Nie ma nawet czasu zliczyć, bo hetman nagli do pośpiechu.

— Skoro! skoro! — powtarza. — Trza wracać, bo nie wiada co z naszymi... A nuż Wałujew się spostrzegł?

Godzina ledwo czwarta po południu, gdy wyruszają z powrotem, okrutnie głodni, bo od wczorajszego odwieczerza nikt nic na ząb nie położył, — lecz szczęśliwi. Dzień jasny, więc nietrudno omijać błoto lasem. Konie łapczywie chwytają w przejściu soczyste liście, i żują. Środkiem błotnistego gościńca ciągną cudzoziemcy i niekończący się wąż zdobycznych taborów. Pan Więckowski, puszkarz, spogląda z czułością na swe falkonety, ręką pieściwie przesuwa po „Pannie".

— Usarze, wiadomo, mówić będą, że oni bitwę wygrali — monologuje sam do siebie, — a taki bez falkonetów nie daliby sobie rady... Toć widziałem, jak ich piechota psowała... Czołem nacierać nie mogli... Ale czy to jazda kiedy uzna? — kończy z goryczą.

Szumi nad głowami bór. Przedwieczornym, słodkim jak oddech dziecka powiewem chłodzi czarne, umęczone twarze. Pieści zapieczone usta. Rycerze jadą w milczącym skupieniu. Szczęsne utrudzenie w kościach po znoju zbożnym, walecznym. W sercach poczucie dokonania wielkiej

rzeczy. Świadomość wydarcia z siebie najwyższej sumy ludzkiego wysiłku — wiele można, i więcej niż można. Nawet wieczyście osmęcony Adam Żółkiewski, bratanek hetmanów, uśmiecha się prawie pogodnie, zbywszy na chwilę wspomnienia przeklętej zmory-miłości.

Pan hetman jedzie przodem na swym cisawym dzianecie. Zdjął kołpak z siwej głowy. Miękkie tchnienie puszczy muska wyniosłe, mądre czoło. Oczy sokole, głębokie, rzuca przed siebie daleko, niespokojny o tamtych, w obozie. Pośpieszyć trudno, bo konie ledwie, ledwie już idą, napojone wprawdzie po bitwie, lecz nie obroczone ni rozkulbaczone od wczoraj. Obraca się nagle za siebie:

— Hej, panowie! ma tam który mocniejszego konia?

— Ja — wysuwa się Sebastian na swoim kudłatym stworze.

— Rusz że waćpan przodem, dać znać panu Bobowskiemu, że wracamy. Niech nam wieczerze ładują.

— Według rozkazu!

Ścisnął kirgiza piętami. Zwierz łysnął złym okiem spod kudłatej grzywy i poszorował po błocie jak świeży. Niejeden z towarzyszy, podtrzymujący wodzami padającego na chrapy dzianeta, poglądał za nim z zazdrością.

Sebastian zaś sunął dobrym kłusem przez las, rad, prawie że szczęśliwy. Od szeregu lat nie czuł takiej, jak dziś, swobody umysłu, rześkości duszy, mimo okrutne utrudzenie ciała. Jak gdyby war bitwy zmył, spłukał z serca zastarzałe strupy. Hej, gdzie obóz tuszyński, gdzie obie zimy ostatnie? Gdzie jego udręki, zgryzoty! Jedzie oto jako rycerz, pierwszy zwiastun zwycięstwa, nie byle jakiego. Dotychczas z rzemiosła wojennego znał same porażki, klęski upokarzające, zawody i hańbę; walki ze swymi: Guzów, Janów! — łupiestwa i kontrybucje. Ukochanie rycerskich serc, Sława, objawiła mu się dzisiaj pierwszy raz. Zakwitł w radości tryumfu. Zrozumiał, że mógł się uśmiechać posępny Adam Żółkiewski...

Las się kończył. Wielki staw płonął w czerwieni zachodu. Rozłożony nad nim obóz skrzył się pośród kolumn dymów, bijących prosto w górę, na pogodę. Czerniało pierścieniem wałów Carowe Zajmiszcze. Spokój leżał nad całą doliną. Wałujew ani się spostrzegł...

Pan Bobowski, miotany niepokojem o hetmana, stał na wale pierwszego gródka, wytężając wzrok ku lasowi. Poznał nadjeżdżającego Sebastiana, i pobladł jak trup.

— Ha? — rzekł krótko.

— Wiktoria! — odparł Pielsz, zeskakując z konia.

— Wiktoria... — powtórzył stary rotmistrz. Przysiadł na wale i przeżegnał się.

— Dymitr Szujski zniesion i z niedobitkami w las dunął — mówił Sebastian, pierwszy raz w życiu nie czekając, aż go do opowiadania przymuszą. — Pontus de la Gardie i Horn, parol dawszy, na Nowogród poszli... Francuzy, Angliki i Szkoty do nas przystały... Taborów siła my wzięli... Chorągwi też i dobra różnego...

— Boże! Boże! — powtarzał pan Bobowski, trzęsąc się jak w febrze. — Naszych wiele padło?

— Legło stu z górą, a rannych wieziem ze trzystu... Duże straty, ale nie żal i umierać w takiej potrzebie... Falkonety bardzo dogodziły...

— Pan hetman nocuje w Kłuszynie?

— Gdzie zaś! Ino patrzeć jak tu będą... jeno że konie okrutnie zdrożone... Pan hetman pchnął mnie w przód, wiadomość dać i wieczerzę kazać pachołkom ładować...

— Wnet rozporządzę... Boże, mój Boże! Wiktoria!... Pan hetman!... Nie mówiłem waści?... Jeniusz!... Pamiętasz waść: „Niech choć wszystek słońca wschód ciągnie na upadek nasz...“? Tak ono jest... O Boże!!...

Nogi drżały pod nim ze wzruszenia, co widząc Sebastian ujął staruszka pod ramię, prowadząc go ku obozowi.

ROZDZIAŁ XIII

PRZYSIĘGA

Adam Żółkiewski, bratanek hetmanów, i Sebastian Pielsz siedzieli na wale wewnętrznym, otaczającym Carowe Zajmiszcze, — w tym samym miejscu, w którym przed dwoma laty Sebastian i jego ówcześni towarzysze słuchali opowiadania pana Haraburdy. Obaj rycerze pozostawieni byli chwilowo w twierdzy jako zakładnicy. Wałujew bowiem, powiadomiony przez hetmana o wczorajszej bitwie i zniesieniu armii Dymitra Szujskiego, wierzyć w tak gruby, jego zdaniem, podstęp nie chciał. Hetman przeto upoważnił go do wysłania kilku bojarów pod Kłuszyn, celem naocznego stwierdzenia wiadomości, synowca swego i Sebastiana jako rękojmię bezpieczeństwa powrotu bojarów ostawiając.

Siedzieli tu zatym od kilku godzin bezczynnie, obojętni na panujące wśród moskiewskiej załogi niepokój i zamieszanie. Strzelcy i piechota gęstym murem obstąpili wały, przyglądając się badawczo i podejrzliwie zdobytym wczoraj taborom, obozowi wojsk zaciężnych, i moskiewskim, tak jeszcze niedawno, działom, ustawionym rozmyślnie na miejscach widocznych. Sam wojewoda Wałujew przechodził raz po raz ze zmarszczoną brwią, przyciętą gniewnie wargą. Nie zwracając na to uwagi, obaj hetmańscy snuli odległą przędzę swoich myśli. Wyrwani niespodzianie spośród swoich, rzuceni w obcy tłum, jakoby zawieszeni w powietrzu, czuli bezwiednie rosnące pomiędzy nimi niby powinowactwo duchowe, — niezwykłą u obu chęć zwierzeń. Młody Żółkiewski, którego dusiła snadź za-

dawniona niemożność mówienia z kimś o swojej udręce, zaczął mówić pierwszy, zrazu wahająco, potem śmielej, czując instynktownie, że ten milczący, nieokrzesany prostak łacniej niż ktokolwiek inny znajdzie dla jego bólu zrozumienie. Półgłosem, ani spytawszy, czy Sebastian wie, kto jest owej zgryzoty przyczyną, opisywał swe uczucie, beznadziejne, od dziecka z nim wzrosłe, bez którego się nie pamiętał. Wyobrazić sobie nie mógł, jakim by był bez tej troski ustawicznej, — największej radości, jedynego szczęścia i najcięższego przekleństwa życia zarazem. Widząc w słuchaczu życzliwą uwagę, opowiadał z głuchym uniesieniem królewską jej urodę, zorzy wschodzącej podobną, — czar, co sprawia, że powietrze naokoło niej jest jak gdyby rozświetlone i promieniejące samą bliskością słodkiego cudu oblicza...

— A w śladach jej kwiaty rosną — przeleciało, nie wiedzieć skąd, przez głowę słuchającego. Zmarszczył czoło, sam sobie wydając się śmiesznym.

— Na co zda się rozpamiętywać, co niemożliwe jest i jakoby zamarłe? — zauważył twardo.

— Kiedyż właśnie że możliwe, jeno oni nie chcą! — wykrzyknął młody rycerz, podrywając się z miejsca. — Nie rodzeni my, jako byli Oświęcimowie! Do Rzymu pójść, Ojcu świętemu do nóg paść... — zezwoliłby bez ochyby!... Jużci, że zezwoliłby... nie chciałby mojej męki... Możliwe to jest; jeno ona mnie nie miłuje... ot co — nie miłuje;... zastawia się krewniactwem, w gruncie rada, że takowa przeszkoda istnieje... Na to zaś, że nie miłuje, rady ni ratunku nie masz...

— Nie masz — przywtórzył jak echo Sebastian, i cały dawny ból ocknął się w nim na nowo.

Spojrzał przed siebie, ku bramie. W pamięci zamajaczyły kojarzące się szybko obrazy: wozy z sianem... teorbaniści starosty... piosnka kłująca serce niby nożem... jakiś odległy, odległy wieczór miesięczny...

Zastanowił się nagle i zwrócił ku towarzyszowi.

— Powiadają — rzekł, — że jest na świecie strzyga, Latawica, takową daremną miłość wszczepiająca. Na miesiącu kajś pono żywie, rzeszotem srebrnym trzęsie... Czasem ku ziemi się spuszcza, co znać jakoby gwiazda leciała... Komu wtenczas w oczy zaświeci, będzie się trapił a trapił, miłując mocniej niż inni, a miłowanym nie będąc.

— Hej, zaświeciła mi ona chyba, gdym w kołysce leżał! Silna to musi być strzyga, skoro rady na nią nie ma...

— Jest pono jakieś zaklęcie — (Sebastian, mówiąc to, skurczył boleśnie twarz, bo tuż przed oczami zamajaczyła mu oświecona księżycem twarz Hanki, pół z śmiechem, pół z trwogą wymawiającej niezrozumiałe wyrazy). — Niebardzo ja w nie wierzę, bo słowa — wiatr. Ale można zmóc w sobie zmorę i powalić, byle się do tego krzepko wziąć... Ja zmogłem — dodał w myśli, i zastanowił się naraz, zali tak było istotnie. Ogarnęły go co do tego ważne wątpliwości. Było mu lżej, zapewne, ale nie dlatego, by zapomniał o cierpieniu, lecz że potrafił podnieść się i dźwigać je, idąc prosto.

— Szczęśliwym jużci człowiek nie będzie — ciągnął głośno, — ale zdoła żyć... Żyć zasię jest obowiązkiem...

— Żyć?! — roześmiał się gorzko młody Żółkiewski. — Każ, któremu granat obie nogi urwał, w tańce iść! Jakoże wyskoczy? I ja rad bym, ale nie mogę... nie mogę...! Nie raz, nie sto razy, powiedałem sobie to, co waćpan mówisz. Nic z tego...

— Mnie sfolgowało, gdym się z nieruchawości otrząsł, a roboty uczciwej jął!...

— Ja też nie siedzę z założonymi rękami — wzruszył ramieniem Żółkiewski.

Sebastian byłby chciał odpowiedzieć, że można wiele czynić zewnętrznie, duszą pozostając martwym i obcym działaniu, nieraz zaś w prostym odruchu mieści się ożyw-

czy, wyłoniony z serca wolą, dokonany w duchu czyn: — były to jednak rzeczy zbyt złożone, żeby je umiał wyrazić. Zamilkł. W głowie snuły się pojęcia jasne i proste, dopóki nie próbował przyoblec je w słowa, — jakieś głębokie prawa, twarde nakazy istnienia, nie wglądające w to, czy życie jest miłe komu, czy nie. Obowiązek nieustannego pochodu w przód, w przód, by nareszcie za tę cenę osiągnąć pokój z najuporczywszym, najzawziętszym wrogiem: sumieniem...

Przerwał rozmyślanie, bo olbrzymi, brodaty bojar stał przed nimi. Nadając z trudem obojętny wyraz ponurej, nienawistnej twarzy, oznajmił im, że wysłani do Kłuszyna bojarowie już wrócili. Na skutek ich relacji wojewoda Wałujew prosił hetmana o osobisty rozgowor, który odbyć się miał jeszcze dzisiaj. Obaj zakładnicy, zwolnieni, mogli wracać do obozu.

Nie dali sobie tego dwa razy powtarzać, ruszając żywo ku swoim.

*

* *

Pan hetman z wielką powagą i pompą, w asystencji wszystkich rotmistrzów, przyjął Wałujewa, który zjechał otoczony bogatą świtą bojarów. Na jego rozumnej, choć szpetnej twarzy nie było śladu uniżoności. Uprzejmie powitany przez hetmana, zasiadł pobok niego, zimnym wzrokiem odpowiadając na niechętne spojrzenia rotmistrzów.

— Posyłałeś Wasza Godność do Kłuszyna? — zagadnął hetman, gdy zamieniono zwyczajowe komplementa i powitania.

— Da, posyłał ja — skinął głową wojewoda.

Zapadło na chwilę milczenie.

— Myliliście się, Wasza Światłość — zaczął po chwili Wałujew poprawną polszczyzną, — że widok tego pola skłoni mnie do wydania twierdzy w wasze ręce...; choć trudny to do uwierzenia wypadek, nie nastraszy on stare-

go żołnierza... Obronimy się. Także kniaź Dymitr Szujski, chociaż uszedł, rychło zbierze rozprószone siły i powróci ze swoimi ruskimi wojskami, bez zdrajców zaciężników, którzy tej przegranej przyczyną... Z dnia na dzień fortuna się zmienia. Coby wszakże nie przyniosła, odwagi naszej w pokorę a lęk nie zamieni...

— Uchowaj Boże — odparł hetman, — bym podobnymi suspicjami uwłaczał Waszej Godności, znając jej chwalebne męstwo. Nie wierzę co prawda, by kniaź Dymitr Szujski zdołał nową armię rychło zebrać. Lecz mniejsza o to... Z radością przystałem na rozgowor, tusząc, iż jako przyjaciele go zakończym. Krew, nie tani to napitek; żal trwonić ją bez przyczyny... Zaś przyczyn do walki między nami nie masz...

— Kniaź Dymitr ucieczkę tylko symulował i niewątpliwie dziś, jutro, od drugiej strony uderzy — powtórzył uparcie Wałujew.

— Obaczym. Nie o tym jednak chciałem mówić. Kniaź Dymitr Szujski walczył o władztwo brata, o splendor swojego rodu, zaś Wasza Godność o dobro Moskwy-ojczyzny. Wielka jest w tym dyferencja. Zali zastanawiałeś się Wasza Godność, gdzie ono dobro, przy kim się znajduje?... Wrogami jesteśmy cara Wasyla, ale nie Moskwy. Nie idziemy na zabór ni szkodę, jeno by skończyć żałosny ten zamęt. Co najlepsi spośród was królewicza naszego Władysława carem życzą mieć, którego my wprowadzić i na tronie carskim utwierdzić chcemy...

Urwał, nasłuchując, bo w obozie rozległ się nagle głos trąb.

— Skoczno który, obacz co jest! — rzucił poza siebie.

Wiesiołowski wyskoczył i w mig wrócił, zadyszany.

— Jakieś posły jadą tu, Wasza Dostojność!

— Posły? — zadziwił się hetman.

— Tutejsze jakiesik, moskiewskie. Bogato jadą, musi

z obediencją... — objaśniał Wiesiołowski, roztwierając szeroko zasłony namiotu.

Jakoż z przeraźliwym dźwiękiem chrapliwych trąb moskiewskich ukazał się orszak kilkudziesięciu jeźdźców. Same bojary dumne i ocieckie syny. Lśniły jaskrawo kropierze, zwieszające się z zadów końskich aż ku ziemi. Mienił się szkarłatny lub bławy aksamit tułupów, chwiały frasobliwie w przód i w tył białe, rysie szłyki. Przodem ihumeni, odziani w złociste kapy, trzymający w ręku jaśniejące jak słońce ikony, otaczali białogłowego archimandrytę. Barwisto odziana czeladź prowadziła ich konie za wodze. O kilkanaście kroków przed namiotem zsiedli z koni, idąc pieszo ku hetmanowi. Archimandryta, siwy jak gołąb starzec, wznosił krzyż, żegnając nim raz po raz. Bojary biły pokłony, dotykając pyłu długimi brodami.

— My z monastyru i horoda Możajska — zaczął archimandryta, sędziwy Fiodor Błahiwy.

— My z Borysowa...

— Z Werei...

— Z Ruzy — podchwycili chórem pozostali, nie przestając bić pokłonów.

— Przyszli my — ciągnął stary duchowny — prosić o łaskę Waszej Światłości... Zdajemy się... Zdrady nie kryjem, zmiłowania prosim... Wczoraj wieczór sam kniaź Szujski do monastyru przybieżał. Powiada nam: Idźcie, dzieci, do hetmana, miłosierdzia prosić, bo nie wydzierżycie... oj, nie wydzierżycie!... Czortowa siła... (urwał, zasłaniając usta ręką, i obejrzał się niespokojnie w koło).

Zapominając gdzie był, wojewoda Wałujew poderwał się z miejsca.

— Kniaź Dymitr? — zakrzyknął niedowierzająco. Starzec zwrócił na niego łagodne, prostoduszne oczy.

— Kniaź Dymitr Szujski — powtórzył. — Wczoraj wieczorem... Bosy był, na chłopskiej szkapie, konia i butów w bagnie zbywszy... Kolasę z monastyru wziął i do

Moskwy ujechał... My całą noc nie spali. We dzwony na trwogę bili i radzili... A dzisiaj przyszli my pokłonić się Waszej Światłości, klucze grodu Możajska przynosząc...

— I Borysowa...

— Werei...

— Ruzy... — powtarzali za nim drudzy, wyciągając ku hetmanowi, na złocistych tacach, klucze czterech grodów.

— Cóż Wasza Godność na to? — zwrócił się hetman do nachmurzonego Wałujewa.

— Choćby tu z samej białokamiennej Moskwy tchórzostwo podłe klucze przyniosło i łaski prosiło — odparł wojewoda, spoglądając z niechęcią na posłów, — nie zdam Carowego Zajmiszcza, chyba kondycje należne, dobro ruskie warujące, otrzymawszy...

— Gad hardy — mruknął półgłosem książę Korecki, lecz urwał pod surowym wzrokiem hetmana.

— Jakież to kondycje? — spytał pan Żółkiewski spokojnie.

— Prawdę rzekliście, Wasza Światłość, że ważniejsze, niźli sława cara Wasila Szujskiego, dobro matki Moskwy i świętej cerkwi prawosławnej. Otworzyście rzekę: zdałby ja Carowe Zajmiszcze i na wierność carowi Władysławowi Zygmuntowiczowi z dobrej woli ochotnie zaprzysiągł, bym znał, że swobody cerkwi świętej, prawa i obyczaje moskiewskie, bez szwanku żadnego, jako są od wieków, ostaną...

— Da! da! My by też na cara Władysława Zygmuntowicza przysięgli — skwapliwie przywtórzyli oczekujący w milczeniu posłowie.

— By znał ja — ciągnął Wałujew, — że z przyjacielstwem szczerym idziecie, panowie Polaki, cara by z waszej ręki uznał i wziął... Mir między Polską a Moskwą niechajby był... Lepszy pokój niż wojna między sąsiadami...

Wszakże tylko pod gwarancją zachowania cerkiewnych i bojarskich praw...

— Gwarancji się temu synowi zachciewa — warknął znów któryś z rotmistrzów, i zmilkł, bo hetman rzekł w tejże chwili, z ogromną powagą w głosie:

— Zatem, gdybyś Wasza Godność zawarowane miał owe życzenia, najsłuszniejsze, troską o dobro ojczyzny dyktowane, które łacno pojmie każdy z nas, ludzi wolnych, kraj swój miłujących, — przeszedłbyś dobrowolnie na stronę miru wiecznego z Polską i na cara Władysława Zygmuntowicza zaprzysiągł?

— Tak jest! — odparł równie uroczyście wojewoda Wałujew, powstając. — Przysiągłby ja... Płacze Moskwa od dziesięciu lat i więcej, targana okrutną wojną. Boży gniew nad nami... Przepada Moskwa bez prawego pana... Nikt pewien życia, nikt mienia. Dziś te wojska, jutro drugie, a nędza coraz to sroższa... Gwarancje mając bezpieczeństwa i praw naszych, zdałby się nie tylko ja, ale cała Moskwa.

— Da! da! wojewoda praw! — przywtarzali, kiwając głowami, wysłańcy Możajska, Borysowa, Werei i Ruzy.

— Tedy słuchajcie, przesławny archimandryto, wojewodo Hrehory Fiodorowiczu Wałujewie, i wy, bojary dumne a ocieckie syny — rzekł pan hetman, wyjmując nagle krzyż z ręki stojącego za nim kapelana i powstając. — Słuchajcie bracia moskiewscy! Na ten święty, życiodawczy krzyż Pański ja, Stanisław Stanisławowicz Żółkiewski, Zygmunta króla polskiego i syna jego królewicza jegomości Władysława Zygmuntowicza hetman, przysięgam za wszystkie rycerstwo polskie i litewskie i za ludzi zaciężnych, którzy teraz ze mną hetmanem są, że z pokojem idziem w Moskwę, nie z wojną: jak przyjaciele, nie wrogi. Że nie będziem w niczym ludziom moskiewskim szkodzić, wiarę chrześcijańską należycie czcić będziem, ołtarzów bożych nie ruszym. Gdy zaś w Moskwie zasiędzie

hospodarem królewicz Władysław Zygmuntowicz, we wszystkim jako dawni rodowici hosudarowie rządzić będzie, wszelkie urzędy, prawa i zakony bojarów zachowując. Także dóbr i ojcowizn nikomu nie odbierze, ni cerkiewnych majątków nie ujmie. Sromoty, gwałtu ni swawoli nie dopuści. Na to wszystko ja, hetman, imieniem królewicza Władysława Zygmuntowicza i całego rycerstwa polskiego a litewskiego przysięgam, całując ten święty, życiodawczy Pański krzyż...

Stał z płonącymi oczami, ogromny, wzrokiem wybiegłszy daleko ponad głowy wpatrzonych weń, niby w tęczę, bojarów. Daleko — w kraj niezmierzony, bierny, cierpliwy, nieszczęsny. Zdało mu się, że przemawia do całej moskiewskiej ziemi, z wyciągniętymi ramiony niosąc jej mir serdeczny, litość szczerą i uszanowanie. Zapragnął, by słowa jego przysięgi rozbrzmiały po krańce, trafiły do najodleglejszego, zapadniętego w puszczach monasteru, do najlichszej, głuchej, niewolnej, o sobie samej nic nie wiedzącej derewni. Wzywał milcząco niebiosa na świadki czystości serca swojego, w którym nie było podstępu ni zdrady. Nic krom szczerego braterstwa.

Ochłonąwszy, obrócił się nieco, by oddać krzyż księdzu Wybirkowi. Mignęły mu twarze rotmistrzów, zgorszone, niechętne. Spuszczali oczy, nie śmiejąc zdradzać się z żywą naganą, wyzierającą aż nadto wyraźnie z ust pogardliwie skrzywionych, z wzniesionych szyderczo ramion. Nie taką, nie taką, ich zdaniem, winna być mowa zwycięzcy. Wśród gęstwy nachmurzonych lic, jedynie oczy starego Bobrowskiego patrzyły weń z pogodą ślepego zaufania, — Sebastiana Pielsza z uwielbieniem i uznaniem. Miłym mu był ten błysk, ledwo zachwycony w przelocie, bo zwrócił się znów ku bojarom.

Wojewoda Hrehory Fiodorowicz Wałujew wziął z kolei krzyż złocisty z rąk archimandryty i powoli, uroczyście, przysięgał na wierność królewiczowi Władysławowi Zyg-

muntowiczowi, twierdzę Carowe Zajmiszcze i wojska swoje na usługi jego oddając. Teraz podchodzili bojarzy przybyli z poselstwem, przysięgając na toż samo w imieniu swych grodów. Dokonawszy przysięgi, siadali z ulgą na ławach. Prostowali przygięte postury, spoglądali z większą niż wpierw godnością i swobodą. Nie zważając na zadąsane twarze swoich wojów, hetman, radosny, szczęśliwy, rozkazał przynieść kielichy.

ROZDZIAŁ XIV

MIR

Bojarowie Michaił Wasylewicz Bestużew i Hrehory Iwanowicz Uwarow, oraz Sebastian Pielsz, szli zwolna, rozmawiając przyjacielsko, ku Sebastianowej kwaterze, w Bielgorodzkiej dzielnicy położonej. Wrześniowe słońce grzało jeszcze niby latem, płonęło ustokrotnione w złocistych na tle błękitnego nieba kopułach cerkiewnych. Jak rozjarzone ogniska, zatlone nad rozrzuconym szeroko grodem, jaśniały sobory — Uspieńskij, Błagowieszczeńskij, a przede wszystkim Wasyla Błażennawo, przez Iwana Groźnego niedawno wzniesiony i wyzłocony. Blask, bijący od potężnych jego kopuł, zdawał się rozświecać miasto aż po ciemne Frołowskie Wrota i lepkie od krwi Łobnoje Miesto, skąd, z kamiennego wzniesienia, ogłaszano nowych carów i gdzie tracono zbrodniarzy. Świetlisty pył drgał nad niekończącymi się drogami świętej Moskwy. Gród był ogromny, dwadzieścia wiorst i więcej obwodu mający, lecz rozrzucony bezładnie Osobnymi murami obwiedzione Krymgród, czyli Kreml, i Kitajgród, siedziba kramarzy, — mniej warowne Bielgorod i Carogród, — stanowiły jakby tyleż poszczególnych grodów. Pomiędzy nimi leżały nędzniejsze dzielnice, drewnianymi parkanami otoczone: Skorodom, Słoboda, Zarzecze, i puste, lichym łabuziskiem zarośnięte nieużytki. Między Krymgrodem a resztą stolicy, tuż nad rzeką Moskwą, zieleniły się szerokie łęgi. Wzdłuż pylnych latem, a błotnistych jesienią gościńców, łączących w jedno rozsypane części miasta, stały nędzne

lepianki poddanych, lub dworce bojarów, za wysokim częstokołem skryte, warowną bramą od ulicy ogrodzone.

Na ulicach tych wrzał wyjątkowy ruch, z racji panującego w Moskwie zjazdu. Z szelestem zgrzytliwych płóz i brzękiem jechały co najprzedniejsze bojarynie, przywilej posiadające jazdy saniami, równie latem jak zimą. Z tyłu zdążały pieszo dziewki służebne, w barwiste sarafany przyodziane. Między zasuniętymi firankami sań migały twarze dostojnych niewiast, bielidłem i różem grubo pokryte, z wyskubanymi do czysta brwiami. Brwi drugie, nalepione lub wymalowane wysoko w połowie czoła, nadawały im wyraz znieruchomiałego zdziwienia. Wąskie płozy sań, orząc w piachu drogi, podnosiły tumany kurzu. Z mniejszą pompą, lecz swobodniej przejeżdżały żony bogatych kupców lub dworian, siedzące w kolemagach z surowych desek, bez kozła ni siedzenia, lecz złotogłowiem obitych. Nieokowane koła skrzypiały przeraźliwie. Wysoko nad głowami koni sterczące drugi były wyzłocone lisimi ogonami obwieszane. Woźnice szli obok pieszo, prowadząc konie za uździenice. Bojarowie, diaki dumne i dworianie przejeżdżali konno, każdy otoczony pieszą służbą, usuwającą z drogi pana okolniczych, strzelców, strapczych, i innych pomniejszych ludzi przykaznych.

Zazwyczaj od targowisk Bielgorodu i Kitajgrodu dolatywał aż tutaj wrzask i krzyk kramarzy, zachwalających swój towar. Gwar ten jednak ginął obecnie w nieustannym, tętniącym podźwięku pięciu tysięcy dzwonów, huczących bez przerwy nad Moskwą od dziesięciu dni. Rytmiczny ich grzmot przelewał się przez uszy, rozsadzał czaszkę, głuszył myśli i słowa. Czasem nad zlewisko dźwięków wybijały się wesołe, przenikliwe głosy pomniejszych dzwonów Błagowieszczeńskiego soboru, lub zahuczał niskim porykiem wielki potwór spiżowy, car-dzwon, Kołokoł, czterdzieści tysięcy pudów ważący. Ten nieprzerwany, uroczysty potop dźwięków głosił przyjęcie dobrowol-

ne przez ziemię moskiewską nowego cara, Władysława Zygmuntowicza.

Pośrodku Dziewiczego Pola pod miastem, na sztucznym wzniesieniu, stały dwa wspaniałe, jarzące od świateł i złota namioty o szeroko rozchylonych zasłonach. W jednym z nich hetman Żółkiewski przysięgał uroczyście przed dziesięciu dniami, imieniem królewicza obiecując dobre czasy Moskwie wrócić, i swobody jej należne uszanować. W drugim patriarcha Hermogen i bojary dumne przysięgali na wierność Władysławowi Zygmuntowiczowi, — po detronizacji Wasyla Szujskiego jedynemu panu i Hosudarowi. Obecnie tęż samą przysięgę składała kolejno cała ludność. Na placu panował ustawiczny tłok, przysięgało bowiem codziennie nie mniej czterech lub pięciu tysięcy ludzi.

W mieście trwał ścisk i wesoła wrzawa, a zarazem wzorowy porządek, którego bacznie doglądali naznaczeni przez hetmana setnicy. Za najmniejszą swawolę żołnierską naznaczano srogie kary. Białokamienna święta Moskwa, nie znająca od szeregu lat radości ni folgi, oddychała, swobodna, bezpieczna.

Bojarowie Bestużew i Uwarow szli obok Sebastiana, uprzejmość mu niezmierną przez to okazując, on bowiem pieszo, wracał do kwatery. Z tyłu służba prowadziła okryte bogatymi rzędami konie obu dygnitarzy.

— Czarownik to był, nic więcej — kończył opowiadanie o nieboszczyku Dymitrze Bestużew. — Cielęcinę jadał, po obiedzie nie sypiał, do łaźni nie chodził, wodą się święconą nie kropił...

— Et! — skrzywił się Uwarow, — może i nie czarownik, tyle że nie ruski człek...

— Milczelibyście lepiej, Hrehory Iwanowiczu; Stanisław Stanisławowicz też nie ruski człek, a kto o nim powie, że czarownik? Czestny, szczery człowiek... My nieraz i gadali — obejrzał się ostrożnie i zniżył głos do szeptu, —

że nie byłoby lepszego jak on hosudara... Święty Mikołaju cudotworny! sprawiedliwy on, otkrowienny...

— Wiera, drugiego takiego jak pan hetman nie ma...

— Pociszej, Sebastianie Andrejewiczu! pociszej!...

— Nie zda mi się wszakże, by przystał na carstwo...

— Na Boga! ciszej! — zakrzyknął Bestużew, prawie z rozpaczą.

— Dlaczego? — zapytał Pielsz, oglądając się zdziwiony.

— Święty Mikołaju! Nie przystoją takie pogwarki na dworze... I w domu, za wrotami, bezpiecznie nie gadać... Przyjdą takie grzeszne myśli, w głowie je zduś... Ty powiesz złego nie myśląc, a kto niebądź usłyszy, donos da...

— Eh! — roześmiał się Sebastian, — kto by tam donosił i komu? Cóż to? Zdania swego powiedzieć nie wolno?

— Nie wolno! — zakrzyknęli równocześnie, zgorszeni. — Na Cara? Na Hosudara? I myśleć inaczej niż przykazane nie wolno! — Umilkli, rozglądając się niespokojnie w koło. Sebastian wzruszył nieznacznie ramionami. Michaił Wasylewicz Bestużew wrócił do przerwanej opowieści o Dymitrze.

— Czarownik on był — zapewniał, — obmaniec, nieczysty bies. Przemienić się mógł w co chciał. A hardy! Prawi do niego raz Jurij Antonowicz: Wielki Kniaziu, zełgał ty!... A ten czort do niego z posochem: „Jak ty, swołocz, do Hosudara?! Głowy zdejmę! Wieszać będę!“ — Zasumowały się mocno bojary. Pytają: Jakoże do ciebie mówić, Wielki Kniaziu, kiedy zełżesz? — „Ja Hosudar, imperator — prawi rozstryga, — łgać nie będę“. — A taki łgał! każdemu łgał! Antychryst!

— Obcych, cudzych ludzi zwiódł — dodał Uwarow z niechęcią. — Litwę, Polaków... Darujcie Sebastianie Andrejewiczu; no, wy, co z hetmanem przyszli, a tamte rozpustniki, so wsiem inne ludzie... Z wami nam żyć, a z

tamtymi... Boh spasaj! Niemców rozmaitych, co najgorszych, także zwołał, z Niemczyny italskiej, francuskiej...

— O jakiej Niemczynie Wasza Godność mówisz? — zapytał Sebastian, zdziwiony.

— Da — objaśniał uczenie Uwarow, — jest Moskwa, Ruś święta, Bogu ulubiona; jest Litwa i Polsza i Tatarysobaki z Turkami; a w koło kręgiem Niemczyny: Niemczyna duńska, angielska, italska...

— To nacje osobne, nie Niemczyny są — uśmiechnął się mimo woli Pielsz.

Lecz Uwarow zatrzepał gwałtownie rękami:

— Da! da! wsie rowno! Co mnie do tego! Nie znaju, nie ponimaju... Car, wieliki Kniaź (dał Hospod zdrów był!), wie i znaje wsio...

— O Niemczynach i wszystkich nacjach wie pewnikiem, wszakże ruskich spraw a obyczajów będzie się dopiero od Waszych Godności uczył.

— Nu! wiadomo — głasnął się po brodzie bojar. — Jeno u nas gadka jest taka: nie znaju ja, znaje car... Dowolno dla ruskiego człeka. Nam zagraniczne umy niepotrzebne... Hospoda i Hosudara dzierżyś, a nowin do siebie nie dopuszczaj, bo łatwo w grzech ciężki popadniesz...

— Cudnie prawicie, Hrehory Iwanowiczu — zauważył z pewną złośliwością Bestużew, — aż dziw, bo wiadomo, żeście do nowin skorzy...

— Ja?! Michale Wasylewiczu! Ja?! — zakrzyknął Uwarow oburzony.

— Wy, Hrehory Iwanowiczu. Diak Wasyli Josipowicz słyszał, jak wy mówili: Swobody będziem mieć, jako polskie pany mają, w grodzie przy orężu chodzić, i świetlice białe bez osobliwego carskiego razrieszenia budować...

— Łżesz, Michale Wasylewiczu! Na co mnie polskie swobody?! Naplewat na ich swobodę! Ja bojar prawosławny, hosudarowy a boży rab, oręż dla mnie w grodzie niepotrzebny, ni biała świetlica...

— A taki wy, Hrehory Iwanowiczu, mówili — upierał się Bestużew.

— Milcz durak! zełgał ty!

— Sam durak!

Stanęli naprzeciw siebie, mierząc się iskrzącymi oczami i długie rękawy kosztownych sarafanów obciągając śpiesznie w dół, aż zakryły dłonie. Nim Sebastian zdążył pomiarkować, o co im chodzi, bili się już wzajem po pyskach, z głośnym klaskaniem jedwabiu. Mimo gniewu baczyli uważnie, by przeciwnika nie uderzyć gołą dłonią, co stanowiłoby despekt dla obu stron. Otyli byli obaj, a dzień gorący, przeto zmęczyli się szybko i stanęli, sapiąc.

— Zełgał ty, Michale Wasylewiczu! — powtórzył Uwarow groźnie.

— Nu, zełgał ja — przyznał Bestużew pogodnie, rozcierając obite jagody. Zawinęli z powrotem rękawy.

Dom kupca Aleksieja Jefimowicza, gdzie mieszkał Sebastian, był tuż, pożegnawszy zatem towarzysza, siedli na konie i ruszyli, rozmawiając przyjaźnie.

Sebastian otworzył skrzypiącą bramę dziedzińca. Podobnie jak wszystkie inne, dom był wzniesiony z nieociosanych belek, z maleńkimi okienkami, zasuwanymi od wewnątrz, w caliźnie pni wykrojonymi. Na dole mieściły się piekarnie i ciasne komórki czeladzi, wyżej — niewiele co większe świetlice. Kilkanaście masywnych, z gruba ociosanych schodów wiodło do tych paradnych komnat. Drugie schody, węższe, prowadziły od tyłu na białogłowską stronę domu, przytykającą do wznoszącej się osobno bani, czyli łaźni. Ponad dachem, korą brzozową obitym, górowała wieżyczka, dwa sążnie w kwadrat mająca, z wąskimi jak strzelnice okienkami, miejsce zażywania przez białogłowy wczasu w porze upałów, obrony w razie napaści. Była to również wygodna strażnica, w wypadkach pożaru lub rozruchów w grodzie.

W pierwszej izbie, dosyć mrocznej (bo małe, błonami

cielęcymi przesłonięte okna niewiele przepuszczały światła), gospodarz, Aleksiej Jefimowicz, popijał kwas chlebowy z glinianego kubka. Miał wielką brodę i szeroką, dobroduszną twarz, żadnym zagranicznym umem nie zmąconą; na sobie rozchełstany dla gorąca tułup i szytą w kogutki rubachę.

Powitał pogodnie Pielsza, zanim go jednak zdążył spytać o nowiny, rozległ się klekot kopyt na dziedzińcu.

— Gość k'wam, Sebastianie Andrejewiczu, przybył — zawołał wyjrzawszy gospodarz.

Wesołe kroki dźwięczały już na schodach. Błyskając białymi zębami w uśmiechu, wszedł Oleś Bałaban. Pochylił się nisko przed wiszącą w kącie ikoną i uprzejmie witał obydwóch.

— Jegomość pan hetman przysłał mnie do waści prosić go na cześć, jaką sprawia dziś dla bojarów na Dziewiczym Polu.

— Mnie?... na cześć — zadziwił się Sebastian, zmieszany tym wyróżnieniem...

— Z każdej chorągwi po kilku towarzyszy ma być... zresztą pan hetman osobliwie waści nawidzi.

— Mnie? — powtórzył Sebastian z jeszcze większym zdumieniem.

— No, waści! — śmiał się Bałaban. — Jegomość już taki jest... Nieraz i słowa z kim nie zamieni, a na wylot przejrzy i zna. Szczerze mówię, iż nawidzi waści. Sam mi powiedział co ino: A nie zabaczcie o Pielszu... Jak wasze zdrowie, Aleksiej Jefimowicz?

Drzwi skrzypnęły. Weszła gospodyni, niosąc na tacy misternie rzezanej kwas lepszy, jęczmienny, miodem zaprawiony, i kielichy. Podawała je nalane obu gościom, całując ich przy tym zlekka w policzek, zgodnie ze zwyczajem. Była to zażywna białogłowa, przyjemnego, choć różem i bielidłem zbrzydzonego lica. Na głowie miała czapkę wysoką złotogłowiową, bramikiem, bobrowym obwiedzioną.

Perłowe z gagatkami kolczyki, niezmiernie długie, do połowy piersi sięgające, obciągały jej uszy, dzwoniąc po wierzchu tabinowej sukni, szerokiej i długiej jak komża. Niewiasty rodów mieszczańskich bez porównania większej zażywały swobody, niżli żony i córki bojarskie, twarzy obcego mężczyzny nigdy nie oglądające, — więc przez uchylone drzwi w głębi zaglądały ciekawie rumiane twarze dwóch córek gospodarza, Katieczki i Kseńki. Mimo ciepła, nosiły obie czerwone śpiczaste czapki, futrem oszyte, spod których wysuwały się koło uszu dwa długie, rozstrzępione kosmyki włosów, zwane pieskami. Gdy jednak Bałaban strzelił ku nim okiem zbyt zalotnie, Aleksiej Jefimowicz zmarszczył brwi, a gospodyni, pokłoniwszy się nisko, wyszła, zawierając starannie drzwi za sobą. Bałaban westchnął nieznacznie.

— No, ogarnij się waść i przyjeżdżaj — rzekł do Sebastiana, uderzając go po ramieniu. — A włóż co masz najlepszego, bo nie byle to będzie parada... Ja jadę w przód, siła jeszcze mając do roboty.

Dokończył kielicha, pożegnał obu i wyszedł, chyląc się znów przed ikoną. Gospodarz spoglądał za nim z pełną niedowierzania uwagą.

— Aleksander Iwanowicz jakiej jest wiary? — zapytał nieśmiało, gdy kroki Olesia ucichły.

— Prawosławny.

— Nie może być! Wszyscy to mówią, że łacinniki ścierpieć u siebie prawosławnych nie mogą.

— A nieprawda; czego przykładem Bałaban, któren prawosławny jest, a przecie pan hetman miłuje go niby rodzonego syna. Wiela jest u nas familij z ruskich, które prawosławne ostały, a nikto się tym nie gańbi. Ja ni prawosławny, ni łacinnik, to widzę dobrze, jak rzecz jest...

— Wot... wot! — mruczał gospodarz. Otarł usta kosmatym wierzchem dłoni i odsunął z hałasem ławę od stołu. Westchnął potężnie, zamyślony.

— Ej, Sebastianie Andrejewiczu — rzekł nagle, — może dobry będzie Władysław Zygmuntowicz, ale Stanisław Stanisławowicz byłby lepszy!... Wot co... Niech on się carem objawi...

— Kto? — zapytał Sebastian, nie zrozumiawszy.

— Kto? Pan hetman! pan Żółkiewskij! Choroszij hosudar... Wsie by na niego z udowolstwem przysięgali... Co mu dla króla robotać! Puskaj, niech sam carem będzie... Skażitie mu to, panowie Polaki...

*

* *

Pan hetman siedział w namiocie swoim sam, pogrążony w myślach. — Brak odpowiedzi i jakiejkolwiek instrukcji od króla męczył go nieznośnie. Dziewięć niedziel z górą minęło od kłuszyńskiej potrzeby, a dotąd ni wiadomości, ni dyrektywy żadnej nie otrzymał. Liczni jego posłańcy tonęli w obozie królewskim, i nie powracali. Wypadki zaś nie chciały czekać opieszałej decyzji króla Zygmunta. Z chwilą gdy bojarowie sami postrzygli w mnichy cara Wasyla Szujskiego i poselstwo do hetmana wysłali, trzeba było albo tron carski imieniem królewicza Władysława przyjąć i Moskwę obsadzić, albo zezwolić na zdobycie jej przez Dymitra Szalbierza, który w tym czasie, dufny w pomoc Zarudzkiego, znów wypłynął na widownię. Bystrym umysłem ogarniając ważność dziejowego momentu, hetman wszedł do Moskwy, nie czekając na rozkazy, które nadchodzić nie chciały. Własnym przekonaniem wiedziony, budował na swoją rękę olbrzymie dzieło, przed wielkością którego sam korzył się i truchlał, niby przed cudem... Nie moje to mdłe ramiona dźwignęły — powtarzał sobie nieustannie, — jeno moc Boża obróciła tak niezmyślenie umysły tego narodu ku nam... Widząc w przedziwnym rozpędzie wypadków wyraźne rozkazanie Boże,

szedł w przód, wielki inkarnator Jagiellońskiej idei braterstwa narodów, idei zdolnej przeobrazić i odmienić Europę. A idąc, w szlachetnej swej duszy znajdował bez trudu postępowanie, jakiego chwila wymagała, słowa potrzebne, jedyne, które nieufną Moskwę przekonać mogły o jego szczerości i prawdzie.

Nie wprowadził wojska do stolicy, aż na prośby bojarów. Nie obsadził załogami oddających mu się z dobrawoli zamków. Sąd ustanowił sprawiedliwy, a surowszy dla swoich niżli dla miejscowych. Uszanował świętości ruskie, niezmierną wrażliwość ciemnego tłumu na punkcie swoich obrządków i zwyczajów. Ujednał sobie i dla swojej myśli pozyskał starego patriarchę, niechętnego zrazu, a z nim całe duchowieństwo. Zaprowadził w stolicy niewidziany od kilkudziesięciu lat bezpieczny spokój i ład. Jak pod Carowym Zajmiszczem spojrzeniem, tak teraz ramionami objął serdecznie Moskwę i przygarnął ku sobie. Ulitował się pierwszy jej ran nieustannie krwawiących, jej wieczystej ciemnoty i cierpliwej, pokornej niedoli. Przestały go razić grubość obyczajów tego ludu, dzikość jego, odkąd przyczyny ich zrozumiał. Z radosnym drżeniem przeczuwał koniec niedoli tej i barbarzyństwa, niknących w świetle dobrobytu i swobody. Myśl lotna obejmowała nieobeszłe moskiewskie ziemie, hen, aż po krańce nieznane, w nocy całorocznej brodzące. Z uczuciem braterskim wspomniał aż do owych ludów bajecznych, pogańskich, niedźwiedzie lub chochoły ze strużyn i słomy czczących, przemykających się zimą na płaskorogich renach ku Moskwie, by skórki gronostaja, sobola, lisa białego, na chleb suszony zamienić. Podnieść ich — uczłowieczyć, Boskiego Imienia nauczyć! Apostolskie dzieło rozszerzyć! Dziedziny ludzkości zwiększyć!...

Powstał z krzesła, porwany wielkością zamierzeń, lecz równocześnie, niby szarpnięty tym ruchem płaszcz, zimne

zwątpienie opadło mu na ramiona, gasząc uniesiony zapał. Zatruło myśli, wstrząsnęło szyderskim śmiechem:

— Ejże, hetmanie! nie skoro! nie skoro! Nie rozpędzaj swych koni tak szybko! Do Eskimosów ci śpieszno? Laponów?... A bliżej? Popatrzno bliżej! Koło własnej chaty... Na ziemi twojej rodzonej...

— Na mojej ziemi?...

— Popatrz, co się dzieje z Rusią? Spójrz, jako twoi rodacy braterstwa i polskiej złotej wolności ją uczą...

— Nie przypominaj! milcz!...

Zakołysał rozpaczliwie głową, jak gdyby pragnąc odegnać wspomnienie rzeczywistości bolesnej, dręczącej.

Ruś!... Ruś....

Kraj wielki, mocny, bogaty, o bogactwie i mocy swojej nic wiedzący, kraj bliski, rodzony, swój...

By jeszcze sto lat Jagiellonowie rządzili, nie ostałby cień różnicy między Polakiem a ruskim... Połączyłyby się, zlały w jedno, umysły i wiara. Cóż zaś dzisiaj? Oh, lepiej nie myśleć, nie myśleć!... Kraj oddany we władanie kilku satrapów, Wiśniowieckich, Ostrogskich, srogie samorządy tam wiodących. Obracają wolne ludzie w niewolniki... Ściągają żydów-pijawki. Puszczają im w arendę podatki, czynsze, mostowe. W dwójnasób, w trójnasób, wyciśnie je z biedoty żyd. Maluczko, cóż się ostanie z dotychczasowego braterstwa, pogodnego przenikania się, łączenia w jedno? — Nienawiść ostanie, tajna, trująca nienawiść bezsilnych, co kiedyś, kiedyś, wybuchnie. — Hej, położyć temu koniec, zanim zarzewie podkładane ślepymi rękami zadufanych w pysze ludzi rozgorzeje pożarem nad Rzecząpospolitą i zatrzęsie jej gmachem!...

Położyć kres...

— Jeno jak?!

Roześmiał się gorzko, boleśnie, do reszty z poprzednich marzeń otrzeźwiony. Znał swą niemoc. Samotny był zawsze i odosobniony, przyzwyczajony, że wszelkie poczy-

nania jego i myśli, nie poparte, nie zrozumiane przez nikogo, na zagładę są z góry skazane. Przecież oderwać się tych marzeń nie zdołał. Duszę byłby chętnie oddał, by do dusz rodaków trafić... Zawładnąć nimi. Przemówić do ich sumienia. Przymusić do zastanowienia, do wglądnięcia w samych siebie, harde, niespokojne duchy panów Herburtów, Zbaraskich, Stadnickich, — niczego krom swojej dumy i swobodnego zachcenia nie znające... Położyć koniec krzywdzie, uciskowi słabych, poddaństwu, niewoli kmiecej. Przyniewolić pysznych, wyniosłych junaków, by uszanowali w najlichszym swoim poddanym człowieka. Zakończyć krwawe walki między chrześcijańskimi narodami. Stworzyć wielkie braterstwo słowiańskie, w Chrobrowej myśli przed prawiekami poczęte. Zapobiec wojnom...

Wojnom...

Orzeł bitew, strategos genialny, jednym błyskawicznym rzutem rozstrzygający natarcia, wojownik chwałą stu zwycięstw okryty, któremu Chodkiewicz zazdrościł, — zatęsknił naraz żarliwie, gorąco, za Królestwem Bożym pokoju. Zapragnął widzieć zmierzch oręża, zmierzch sławy wojennej, której szkarłat zbyt drogo się przepłaca. Przenikliwymi oczami patrząc na wskroś ludzkich spraw, umiał dojrzeć za sławą polotną, grzmiącą radośnie na pobojowisku, nieuchronny posępny jej cień. Czujne ucho mając, poprzez zwycięski dźwięk surmów umiał dosłyszeć ciche skomlenie wlokącej się w pyle niedoli istnień, trafem w splot wojny porwanych, — istnień, co nie mają udziału w sławie ani korzyściach zwycięstwa, a na schylonych nisko głowach dźwigają przecie cały ciężar krzywd wojennych, nieszczęścia i łez...

I znowu poczuł się nagle z myślami tymi sam, sam jeden w całej Rzeczypospolitej. Kto go zrozumie? Kto pójdzie ku celom tym razem z nim? — Nikt...

— Nikt...

Czyż nikt?... W rozżalonej pamięci zabłysły jakieś oczy,

zaprzysięgłe w wierności, rozumiejące. Surowo patrzą spod głęboko wysklepionego czoła, ciasno przy wąskim nosie osadzone... Czyje?... Gdzie? — Nie mógł sobie żadną miarą przypomnieć.

— Ten szlachcic z Podgórza; jakże mu?... Pielsz — wspomniał wreszcie hetman. — Skarga go przejrzał...

Uśmiechnął się mimo woli na myśl, że przecież choć jeden...

Imć pan Rusowski, kredencerz, przerwał rozmyślania, przychodząc pytać o ostatnie dyspozycje do mającej się rychło rozpocząć uczty. Bankiet ów był przedmiotem szczególnych narad od dłuższego czasu. Pan hetman, zazwyczaj doskonale obojętny na gastronomiczne sprawy, interesował się tym razem osobiście dyspozycją potraw. Chciał bowiem, by uczta była zarazem wspaniała, a jednak przepychem i wymyślnością nieznanych dań Moskwy nie rażąca. Wielce to było nie w smak panu Rusowskiemu, który, wprost przeciwnie, pragnął popisać się i zaimponować kunsztem kulinarnym, — lecz hetman nie ustępował. Na stanowcze też jego żądanie, miast pieczeni tarnosolisem zaprawionej, z pinelami lub truflami, — kolosów złoconych z francuskiego ciasta, dragautów cukrowych, arkasów, łososiów w burgońskim winie gotowanych i kapłonów w alabrysie, miano dać po prostu jagnięta wędzone, mlekiem polane, ciasto z jajami i twarogiem, kurę na żółto w barszczu, kolana łabędzie w miodzie i płuca drobno siekane z jagłami, szafranem i pieprzem, — na wety zaś zwykłe głowy cukru, trąby powideł i ulubione bojarom laski cynamonu. Wzdrygał się na taki bankiet pan Rusowski, lecz nic nie zdołał uprosić. Teraz przychodził frasobliwy, zapytać, czy pan hetman pozwoli przynajmniej talerze przystojnie rozstawić.

— Nie — odparł żywo pan Żółkiewski; — gotowi pomyśleć, że im kontempt chcemy zadać... Bochny przed każdym miast talerza, jako u nich we zwyczaju.

— Nawet przed Waszą Dostojnością? — zapytał pan Rusowski żałośnie.

— Jużci że ekcepcji dla nikogo nie uczynim.

— *Deus misericordiae!* Całkiem na moskiewską modłę się przekabacamy! — westchnął z niechęcią imć Rusowski, wysuwając się szybko, bo Wiesiołowski meldował przybycie kniazia Fiodora Szeremeta i dumnego diaka Wasyla Telepniewa.

Weszli, chrzęszcząc kosztownymi, długimi szatami, kłaniając się nisko, lecz z godnością. Hetman witał ich uprzejmie.

— Przyszli my za bardzo ważnym dziełem — zaczął Telepniew powoli, siadając na ławie.

— Rad posłucham.

— Od królewicza nie ma jeszcze wiadomości? Kiedy przyjedzie? — przerwał żywo kniaź Szeremet.

— Nie ma — wyznał hetman z żalem.

— Dlaczego? Tyle czasu! — zaniepokoili się obaj.

— Prosta rzecz — tłumaczył hetman. — Król Jegomość bez Sejmu stanowić sam nie chce, ani i może. Ugodę naszą do Warszawy dla przedłożenia Stanom niechybnie przesłano, co musi zająć kęs czasu...

— Nu da, — uspokoił się kniaź. — Wot z czym my przyszli k'wam, Stanisławie Stanisławowiczu: Królewicza nie widno, klejnoty carskie, koronne, bez stróża. Bez opieki Monomachowa święta czapka i posoch i święte barmy... Niepokoimy się o nie... Straszno pomyśleć: jakibądź zmiennik może je skraść, wydać Dymitru-woru, czy innemu łżecu... Uradzili my z patriarchą, byście je wy, Stanisław Stanisławowicz, k'sobie wzięli i strzegli.

— Przecież klejnoty są w skarbcu — rzekł hetman, zdziwiony.

— Do skarbca różne ludzie chodzą — odparł diak Telepniew, gładząc brodę, — pokrewne Szujskich a Golicynów, a inne... Jedni na drugich się oglądają... Niepotrzeb-

ny stąd szum i niepokój. Zgodziliśmy się wszyscy, żeby u was były, a nikt nie będzie się trwożył...

— Żołnierska moja kwatera, nie do stróży takich skarbów sposobna.

— Karauł swój własny do skarbca dajcie, Stanisławie Stanisławowiczu. Hetmańskie klejmo połóżcie na drzwiach... Albo jeszcze lepiej, weźcie je tu, jeśli wola... Nam to zarówno, byle pod waszą opieką, a wszyscy będą spokojni — przekładał kniaź Szeremet. Hetman obiecał sprawę tę po uczcie raz jeszcze rozważyć i wraz z nimi zadecydować.

— Jakie szaty Wasza Dostojność każe sobie podać do uczty? — zapytał Wiesiołowski, gdy kniaź i diak wyszli po szeregu ukłonów.

— Altembasowy żupan i przedniejszą delię — odparł z roztargnieniem hetman i spojrzał ku wejściu, bo w tejże chwili Oleś Bałaban wpadł jak wicher do namiotu.

— Bojar Andronow list przywiózł od Króla Jegomości! — krzyknął.

— Daj!

Uchwycił nieco drżącą ręką, odprawiając zarazem skinieniem głowy Wiesiołowskiego i siostrzeńca. Wolał być z listem tym sam. Przełamał szybko pieczęcie:

„Uprzejmy, wielce nam miły!

„Niepomału zdziwieni nowinami, dochodzącymi nas od Waszej Uprzejmości, wyrozumieć nie możemy poczynań takowych, pełnych następstw szkodliwych dla Rzeczypospolitej. Zali nie *manu armata*, zbrojną siłą, zajmujem to władztwo, które nam Bóg zechciał oddać? Zali to Moskwie przystoi stawiać nam kondycje? Doszły nas wieści — oby nie szczere, — iż Wasza Uprzejmość zbytnio Moskwicinów rozdufalasz, unię z nimi forytując, a swobody, jakie Korona i Litwa posiadają, obiecując. Na takowe precedensa żadną miarą konsensu nie damy. Naród moskiewski zgoła niepodobny jest do naszego, i co płuży jednej

nacji, nie lza stosować do drugiej. Moskwa ślepego posłuszeństwa zwykła, w którym utwierdzać ją jeno będziemy, jako iż jedyna to modła przystojna dla narodu tak grubego a kłamliwego.

„Na koniec, dajemy wiedzieć Waszej Uprzejmości, iż po dojrzałych deliberacjach rezolwowali my królewicza w Moskwę nie posyłać. Zbyt młody on, by go na srogie termina, częstym udziałem władców tego kraju będące, narażać. Żywota miłego naszego dziecięcia nie chcąc na *pericula* pewne wystawiać, wiodąc go na tron, któren i tak prawem dziedzicznym w bardziej źrałych leciech mu przypadnie, polecamy i rozkazujemy Waszej Uprzejmości przysięgę od Moskwicinów na Nasze Królewskie, nie królewiczowe, imię przyjmować, — w żadne się obietnice ni ugody nie zabawiając. Wszelkie fawory bowiem od Naszej jeno łaskawości, po okazaniu przez tę nację winnej uległości i obediencji, zależą".

Upuścił list i trwał chwilę bez ruchu, bez słowa. Znając króla i „radę komorną", znając zawiść ku sobie panów Potockich, nie oczekiwał spod Smoleńska pochwał, — owszem, gniewu, nagany, dyskusji nad poszczególnymi punktami przesłanej do akceptu umowy... Ten list jednak gorszy był niż najczarniejsze jego przewidywania, podcinał nieodwołalnie, burzył od fundamentów wzniesiony przezeń gmach pokoju i zgody.

Zamienić królewicza na króla!... Uśmiechnął się z ironią na samą myśl tego żądania, wiedząc, jak imię Zygmunta znienawidzone jest w Moskwie, jak (nie bez racji) uchodzi za synonim ciasnego fanatyzmu i obcości. Żądać przysięgi na niego! Wolej od razu rzucić Moskwę, niechać wszystkiego i wyjeżdżać...

Przeczytał list po raz wtóry i zaplótł ręce żałośnie. W suchej treści dojrzał coś więcej niźli robotę niechętnych mu królewskich zauszników. Tu przede wszystkim tkwiła zasadnicza różnica, dzieląca jego zamysły od dążeń i pra-

gnień królewskich. On, hetman, chciał stworzyć Unię, dobrowolne zaślubiny narodu z narodem: Wolni z wolnymi, równi z równymi, — w myśl najszczytniejszych idei wolnego polskiego narodu. Zapewne, dzieło podobne wymagało pewnych ofiar ze strony Rzeczypospolitej, lecz jakaż ofiara byłaby zbyt wielka wobec ogromu zadania!

Król, obcy człowiek, o ciasnym umyśle, nie chciał tego dzieła, nie rozumiał go. Szczęśliwy, że może nareszcie dać upust swym dążeniom dynastycznym, w niezachwianym zrozumieniu, że narody są własnością władców, — chciał zagarnąć tron moskiewski prawem zaboru, nie unii — (od półtora roku stojąc pod jedną twierdzą), — osiąść na nim i, wzmocniony, sięgnąć po stracony szwedzki. Nie leżało bynajmniej w jego programie obdarowywać Moskwę wolnością ni swobodami. Nie o ten kraj mu chodziło, lecz o siebie...

— Wasza Dostojność! — wsunął nieśmiało głowę Wiesiołowski, — czas się sposobić do uczty, bo już bojary zjeżdżają...

— Do uczty? — drgnął hetman, jakby przebudzony. — Ano tak... do uczty, Wszakże za chwilę ma się odbyć cześć ku chwale wieczyście wzniesionego miru.

Wieczystego miru!...

Zatrząsł się w nagłej rozpaczy. — Co zrobić? Wyjść do gości z tym oto listem w dłoni? Odczytać go? Dobry by to był antypast!... Odwołać ucztę? — Za późno!

Rzucił dokoła wzrokiem z desperacją, darmo szukając tłumaczenia, wykrętu, sposobu, — gdy oczy jego padły naraz na niewielki, złożony kartelusz, wraz z listem królewskim przez Bałabana podany, którego w pierwszej chwili pośpiechu nie zauważył. Podniósł go skwapliwie. Niby dłoń przyjacielska podana w udręce, skrzepiło zwarte, krótkie pismo księdza Skargi.

„Radości serca mego zataić-em nie mógł... Błogosław

cię Pan Bóg i dom twój na wieki! Błogosławieni pokój czyniący... Chrystus z tobą, bracie mój..."

— Chrystus ze mną — powtórzył hetman; — większy od króla jegomości Król...

Ciepła otucha wśliznęła się w serce: Zygmunt da się jeszcze przekonać, uprosić... Uparty jest wprawdzie jak kozioł, przecie dowiedziawszy się, jak rzeczy stoją, musi sfolgować, zrozumieć... Musi ustąpić pod naporem Sejmu! Jużcić Sejm będzie za unią...

Z nagłą decyzją wsunął oba listy w zanadrze i krzyknął na Wiesiołowskiego, aby go przyszedł odziewać.

*

* *

W olbrzymie szopie z tarcic, kobiercami, strefami barwnymi i jedliną ustrojonej *ad hoc* na Dziewiczym Polu, duszno było i ciemno od wyziewów jadła, trunków i oddechów tysiąca ludzi bez mała. Smolne pochodnie pryskały, paląc się wzdłuż ścian. Przy długich stołach, na wąskich ławach, które trza było przekroczyć, by zasiąść, siedzieli na przemiany towarzysze i bojary. W półmroku szopy lśniły cenne materie, błyszczały klejnoty, miesięcznym światłem połyskiwały szyte perłami jarmułki. Wciągnięte w przygarbione ramiona głowy bojarów, ciężkie, otyłe karki, spływające długimi włosami, — ocierały się o ramiona polskich towarzyszy, trącały szerokie, dumnie wyniesione barki. Oczy skośne, azjatyckie, korne a podejrzliwe zarazem, patrzyły z bliska w zuchwałe źrenice, świadome, wolne, lęku nie znające, oczy sokołów bujawych. Dłoń żylasta, muskularna, od dziecka szabli i konia zwyczajna, spalona wichrami obczyzn dalekich, wyschła wśród niewczasów obozowych, sięgała do misy równocześnie z białą, sadłem oblaną, kosmatą dłonią bojara, co znał jego własny dworzec, próg cerkwi, łaźnię i pokłony. Umysły prężne, nieposłuszne, harde, którym nie nowina

była puścić się cwałem w poprzek Europy, wywracać wiary i trony, na własną rękę tajni wszechświata dociekać, — przykładały się pilnie do porozumienia z lękliwą, ciemną pokorą, drżącą przed każdym śmielszym, za grzech najcięższy poczytywanym odruchem.

Setka hajduków w barwie kręciła się bezustannie, rozlewając jednym i drugim wino, oraz przedni hetmański miód. Niezliczone misy, spiętrzone mięsiwem, stały szeregiem na stołach, stykając się krawędziami. Bojarzy czerpali z nich wprost rękami; Polacy, ochędożniej, sięgali wydobytą zza cholewy łyżką lub nożem, i jedli, podłożywszy pod mięso, na obrus, rozłupany bochen chleba. Kości trzeszczały w potężnych szczękach, wysysających z satysfakcją szpik jagnięcy. Niektórzy bojarowie zarzucili na cenne dołmany czamletowe ochronne chałaty, brody zaś pozasłaniali chustami. Większość jednak jadła chciwie, bez troski o ubiór: sos z mięsiwa spływał swobodnie po zwartym, nasyconym gąszczu brody na złotogłów szaty, ociekał wzdłuż palców, zastygając wewnątrz oszytego sobolem rękawa.

Głośne żarcie, pochrząkiwania i czkawka, oznaka łubego dosytu, głuszyły gwar skąpych rozmów. Siedzący między Bałabanem a Andronowem Sebastian, znudzony i zmęczony, spojrzał machinalnie w górę stołu i drgnął w niemiłym zdziwieniu na widok twarzy hetmana. W pomroku sali, wśród błękitnych posmug dymu, okolona siwizną, przeorana zmartwieniem, jaśniała ponad stołem łączącym dwa obce światy, jak boleściwy, zadumany miesiąc.

— Co jest panu hetmanowi? — trącił Bałabana; — widzi się srodze zatroskany.

— To prawda — przyznał Oleś, spoglądając ku wujowi badawczo. — Listy od Króla Jegomości przyszły; widno nic w nich uciesznego nie było... Pewno rekryminacje nowe a przygany...

— Przygany?! — powtórzył Sebastian z niedowierzaniem.

— A co waść myślisz? Król Jegomość zawdy na pana hetmanowe poczynania krzywy. Taka sprawiedliwość!... Dziś wszakże może się nam jeno zdało — dodał po chwili, bo równocześnie hetman powstał i zwykłym spokojnym ruchem musnąwszy wąsy, uniósł kołpaka, by wznieść zdrowie miłościwego cara, Władysława Zygmuntowicza:

Niech żyje!

— Niech żyje! — zagrzmiało w szopie. — Hospod daj, Hosudar zdorow był! Zdorowia żełajem!

Zahuczały trąby. Gdy przebrzmiały, hetman tym samym kielichem pił zdrowie Jego Świątobliwości Patriarchy i dumy bojarskiej zebranej. Wrzasnęła znów setnie kapela.

Uciszył ją ręką, zanim skończyła fanfarę, bo sędziwy kniaź Mścisławski, ostatni z Rurykowiczów, dźwigał się z trudem z ławy, chcąc przemówić. Oczy wszystkich biesiadników zwróciły się na starca, który, skłoniwszy się kilkakrotnie w pas hetmanowi, znieruchomiał poza stołem, dostojny, w srebrzystej bieli długiej brody i złotem tkanym dołmanie.

— Bolszoje spasibo, wam, Stanisławie Stanisławowiczu — zaczął donośnym i na podziw silnym głosem. — Rad ja, że dożył miru z Polską, z całej duszy rad... Lżej będzie... Ciężka była nasza bojarska dola, oj ciężka! Ciężka była dola całej Rusi... Wielki był car-imperator Iwan Wasylewicz, ale straszno srogi... Srogi był Borys Godunow, zmiennik przeklęty, jak wąż mądry, i zaufaniec jego Szymon Godunow krwiopijca, na bojarską krew zawzięty... Smutne były czasy najazdu panów Litwy, z panem wojewodą Mniszchem i Gryszką Otrepiewem, rozstrygą... Ani lżejsze walki bywszego cara Wasyla Szujskawo z Łżedymitrem-worem, z wojskami pana Sapiegi, kniazia Rożyńskawo i Zarudzkawo atamana... Ciężko było żyć... Obrzydłe

się stało w Moskwie imię polskie... Ale przyszli wy, panie hetmanie Stanisławie Stanisławowiczu Żółkiewski! Przyszło z wami dobre dzieło, prawo-zakon, mir boży i wolność... Prawicie nam, że wy są Polsza prawdziwa, istinna, korzenna, a tamto były złe ludzie, awanturniki, obmany, swojej jeno korzyści patrzące. My wam wierzymy, Stanisławie Stanisławowiczu. Powiadają, że Moskwa rzadko komu wierzy, że nieufna i zdradliwa... Tak nas nieszczęsna dola przyuczyła... Ale wam wierzym...

Urwał na chwilę, by zaczerpnąć tchu. Dwaj synowie ocieccy podtrzymywali go z szacunkiem pod łokcie, gdy stał srebrzysty i złoty, świętej ikonie podobny. Przedziwna słodycz zalała duszę hetmana. Tkwiący za pazuchą list królewski, wcinający się w serce nieustannie jak ostry puginał, zelżał nagle, odpłynął z pamięci, stał się czymś błahym, nieistotnym, nie mogącym w żadnym razie przeszkodzić wielkim wypadkom, święcącym się w ciszy sali.

— Wierzymy! — powtórzył z mocą kniaź Mścisławski. — Zdały się już na wasze hetmańskie słowo, Władysława Zygmuntowicza carem obierając, święta Moskwa matka, Nowogród Wielki, Ustiług, Perejasław, Czaranda, Jarosław, Wołogda, Biełoziero, — cała ziemia riazańska, Nowogród Niżni, Kołomna, Tuła, Sierpuchów i grody siewierskie; wszystkie grody na szlaku możajskim, wszystkie grody na szlaku archangielskim... Pierwszy to raz stara Moskwa zawierzyła po dobrej woli obcemu, ręce wyciągając po mir... K'wam ona idzie, Stanisławie Stanisławowiczu. Nie ku Polszy panów Lisowskich, Mniszchów, ni Rożyńskich, jeno ku tej, o której mówicie, że taka jest, jak wy...

Bez słowa, hetman objął starca w gorącym, serdecznym uścisku. Nieziemska, polatująca na wskroś wieków radość ogarnęła go jak płomień, uniosła. W oczach zabłysły łzy szczęścia... W nagłym porywie zewlókł z siebie pas bezcenny, opasał nim w dowód braterstwa kniazia Mścisław-

skiego. Wcisnął mu w rękę szablę-pamiątkę, dar króla Stefana. Pchnął co tchu Bałabana do swego namiotu, by z pokojowcami zniósł wszystkie, jakie jeno najdzie, misy, czary, stroje, trzęsienia, sepety, broń, — a gdy znieśli, szedł ku bojarom z pełnymi darów dłońmi, drżący z radości serdecznej. Widząc, że nie wystarczy, by wszystkich obdzielić, posłał powtórnie Olesia, teraz do panów rotmistrzów, prosząc, by mu użyczyli co mają ze swych zdobycznych splendorów, które ze skarbca żółkiewskiego z nawiązką odda. Hojną ręką rozdzielał znoszone śpiesznie precjoza, wieszając na brodatych szyjach złociste łańcuchy, kładąc na palce pierścienie, wtykając w ręce czary kryształowe, guzy i cenne zapięcia, — jednym pragnieniem objęty: by nikt nie odszedł bez zadatku jego miłości i polskiej wieczystej przyjaźni...

— Tych capów obdarowuje, a sobie to taki skąpy, że nawet piwa codziennie nie pija! Jak Boga kocham! A patrz waść: całą substancję dał im, tyle dobra! — mruczał niechętnie rotmistrz Dunikowski do siedzącego obok księcia Porzyckiego.

ROZDZIAŁ XV

OD NOWA

Sebastian wszedł na schody i zatrzymał się w pół kroku. Przeczucie, że w izbie zamkniętej czeka nań coś niespodziewane, niejasne, nie wiedzieć: dobre czy złe, — pchnęło go niby obuchem. Przeczucie to było tak silne, że wstrzymał oddech na moment. Przymknął oczy, przemógł się, i otworzył drzwi. Skrzypnęły głośno. Siedzący na ławie towarzysz usarski porwał się na ten skrzyp z radością:

— Sobek! Nareszcie! Gdzie łazisz?! Dyć czekam i czekam!

Chwycił go w objęcia, wybuchając gromkim śmiechem, obrócił w potężnych łapach, odsunął ku światłu, nie przestając gadać i śmiać się. Radosną, niefrasobliwą serdecznością zwalił się na niego jak młody legawiec, przygniótł uczuciem jak kłoda, zamglił, ogłuszył, obezwładnił.

...Pietrek! ...Pietrek! — huczało w głowie Sebastiana (nie wiedzieć: radością czy przerażeniem), podczas gdy usarz powtarzał:

— Sobek! dajże jeszcze gęby chłopie! Tyle lat! Aleś postarzał! Ba, postarzeliśwa oba!... Co się tak dziwisz?! O reta! Pod Sandomierzem widzieliśwa się ostatni raz... Cztery lata! Dajże gęby!

— Skądeś się wziął? — szepnął brat, omal nieśmiało.

— Umyślniem dla cię przyjechał! Pod Smoleńsk przyciągnęli my z panem hetmanem litewskim. Król Jegomość listy przez pana Gosiewskiego do Moskwy słał, tom uprosił, by mi razem jechać zezwolili. Dziś w południe

przyjechalim... Hetmanów pociot wskazał mi, gdzie twoja kwatera... Leciałech co tchu, nawet nie przekąsiwszy po drodze...

— Ugoszczę cię zaraz... czekaj...

— Nie dlatego przecież mówię — roześmiał się Pietrek. Ścisnął brata raz jeszcze, aż kości chrzęstnęły, i pogładził sumiastego wąsa.

Chłopisko było wielkie, ogorzałe, o zuchwałej wojackiej twarzy. Jeno oczy zostały te same co dawniej, wesołe, szczere jak woda... Wsparłszy się dłonią o biodro, wodził nimi za bratem. Sebastian krzątał się gorączkowo koło poczęstunku, rad, że może przy tym zajęciu zebrać rozpierzchnięte myśli.

— Co słychać doma? — wykrztusił z wysiłkiem, nalewając wina.

— Co?... Syna mamy! — roześmiał się radośnie Pietrek, stukając szklenicą. — Nie wiedziałeś?! Prawda! skąd mogłeś wiedzieć? Sobek my mu dali na imię... Matka i babka Sobcik go, albo Sobiesik, wołają... Prawdziwy biesik, taki zmyślny, a wesoły! Z gęby do Hanki ze wszystkim podobny... Zrobiła mu babka wałek z kitajki wypchany na głowę, boby sobie łepetynę dawno na szczęt rozbił. Wszędy wlezie, a prześcipny jakby miał trzy roki... Gada już; chodzić zaczął, jak mu dwunasty miesiąc szedł. — Pociecha z tym rakiem!...

— Pani matka? — zapytał cicho Sebastian.

— Posiwieli, przygarbieli, ale radzi małemu okrutnie; weselsi teraz niż dawniej... Świata za Sobciem nie widzą... Jeździli my tego lata do Hanczynej ojcowizny pod Sambor. Hanka aż się spłakała, swoje kąty oglądając... Piękna ziemia! pszeniczna! Nie jak na Czarnym Potoku... Pan pisarz samborski arendę wypłacił. Dobrze gospodarzy, owszem... Budynki u nas poprawiłem z tych pieniędzy; dziwiły się somsiady, że żonine grosze w twoje dziedzictwo kładę, ale my sobie przecież krzywdy nie zrobim... Dachy,

były całkiem kiepskie, trza było zrychtować... Groblę także nową... Przenieśliby my się do Pinian, bo i dwór tam grzeczniejszy, jeno pani matka skapieliby z żalu sami, a z Czarnego Potoku wyjechać nie chcą, twego powrotu wyglądając... Jak wrócisz, wnet ci ustąpim... Toćże i ty musisz się ożenić! Panien jest gwałt w okolicy; gładkie niektóre dziewuchy, aż miło. Stryj coraz to inną dla ciebie obiera...

— Co stryj?

— Zdrów stary, jak rydz; facecje po dawnemu prawi i nad Sobcikiem się trzęsie... Twojego wesela wygląda...

— Wesela... Kiedy ja tam wrócę!... Nie ostawiajcie pani matki samej, Pietruś...

— Wrócimy razem, wojnę zakończywszy; chyba już niedługo pociągnie? Bacz Sobek! zasmakowało ci rycerskie rzemiosło? A widzisz! Wiemy o waszych przewagach! Hej!...Całe towarzystwo płakało, że pod Kłuszynem nie było! Taka wiktoria! Cudnieście się sprawili... Jeno z moskiewskiej polityki waszego hetmana srodze u nas nieradzi...

— Nieradzi? — powtórzył Sebastian, otwierając szeroko oczy.

— Jużci że nie. Ni król, ni panowie, ni całe rycerstwo... Brać to brać, wojować to wojować, a nie bratać się z tą durną Moskwą... Za łby trzymać i patrzeć jeno, czy zdrady nowej nie szykuje.

— Nie gadaj! — żachnął się starszy, — tu wielkie rzeczy się tworzą... Boże, chrześcijańskie dzieło... Unię zrobić, zgodę zrobić, nie za wojną ustawicznie się oglądać. Ja za hetmana i jego zamysły w ogień bym wskoczył, wiesz?

— Et, unia z tym tałatajstwem — mruknął usarz. — Parkanem się od nich zagrodzić, żeby nawet nie załaziły... Co nam od nich potrza? skórek co nieco, i tyle... Wolej soboli się wyrzec, a tych capów plugawych nie widzieć.

— Odmienią się; pomyśl, wiele lat minęło, nim Litwa

zeszła się w jedno z Koroną?... Nie w parę niedziel przerobi się naród... Trza czekać...

— Wżdyć na co to komu potrzebne? — upierał się usarz.

— Potrzebne — odparł Sebastian z niezwykłą powagą w głosie, — by, pokój czyniąc, przyśpieszyć królestwo Boże na ziemi.

— Gadanie! Daj lepiej gęby za Kłuszyn... Wtedyście się nie bratali, jeno bili, i dobrze było. Zresztą, co mnie polityka!... Teraz trza mi wracać, bo nie wiem nawet, gdzie poselstwo zajechało, a jutro z rana przyjdź do mnie, albo ja zajdę do ciebie... Z niedzielę chyba zabawim; nagadamy się do syta... Co ci jeszcze rzec?... Aha! — zaczerwienił się i urwał, — nie wiem, zaliś słyszał, że my z Hanką wiarę zmienili i katolicki ślub brali... szumny ślub. Sobcik też po katolicku krzczony jest. Sądecki proboszcz go krzcił...

— Tak? Nie wiedziałem...

— Nie my jedni... zmieniła się okolica... Drużyna też przeszedł i Olszankę z powrotem od klasztoru trzyma... Socynus zdziadział ze wszystkim, Farnowski wyjechał...

— Wyjechał? dokąd?...

— Do Firlejowa, czy kajś indziej... Jedni gadają, że tam pomerł, inni że żyw jeszcze. Straszno ciebie oczekiwał! Woziłem mu odsypne, jak raz przed jego wyjazdem, to ze trzy razy mnie gabał: nie ma brata? kiedy wraca? — Ja mówię, że nie wiemy, on zasię znowu za moment: gdzie brat? kiedy powróci?... Powiadali, że gminę na ciebie chciał złożyć i urząd swój tobie niechać...

— Nie wiedziałem...

— Taszyccy młodzi takoż wiary odstąpili; nie ma już w Lusławicach ani szkoły, ani drukarni w Wenecji...

— Nie ma zboru ani szkoły...

— Jak Farnowskiego nie stało a Socynus na psy zeszedł, nie było już komu o gminę się troszczyć. Lubieniec-

ki jeden, co twardo się trzyma, nie zdzierży wszystkiemu... Władzy nikt nie chce brać, starszyną być, — każdy dość mając swoich kłopotów... Trza mi jechać... Oj, nagadamy się jeszcze! A pokój zawrą, wróciwa razem do domu. Radość to będzie! Zobaczysz tego małego. Powiedam ci, żeś takiego mądrego wciornastka nie widział... A już i drugiego zastanę, daj Boże szczęśliwie. Hanka tęga baba, to się i nie niepokoję... Pani matka wnukę by woleli, a ja syna...

— To z naszych kto ostał? — przerwał mu Sebastian.

— Lubieniecki... Jordanowie... Wiszowaty... Osterode w mieście siedzi i książki tłucze, ale mu nietęgo idzie... A wiesz — buchnął nagle śmiechem, — kto mu wtedy krotły zabrał, coście prawili, że biskup? Ucieszna historia! Ludzie za boki się brali... Zbójniki Kwoczki; myślały, że złoto jest w skrzyniach, i wzięły. Dziewka była z nimi węgierska, Paryshazówna, którą w lektyce nosiły... Ją biskupem kreowano!... Ładny biskup! Ani słowa! Potem tę dziewkę w Dunajcu utopiły, zaś skrzynie Osterodemu za okupem oddały, i tyle...

Uścisnął mocno brata i roześmiał się szeroko, odchodząc.

— Do jutra Sobek! do jutra!

— Do jutra — powtórzył Sebastian machinalnie, odprowadzając go do wrót.

Gdy Pietrek odjechał, z konia jeszcze przesyłając ręką pozdrowienia, wrócił do izby. — Pojedziewa razem — dźwięczało w uszach. Wskrzeszone słowami brata stanęły w oczach, jak żywe, wspomnienia: siwa głowa matki, roześmiana twarz Hanki, dom w cieniu lip, tak niegdyś umiłowany; stary stryj; góry rodzone... Zatęsknił za nimi, lecz wnet nasunęły się inne obrazy, przed którymi zamknął oczy.

Nie, nie powróci tam za nic...

Może kiedyś dopiero, po latach, po latach, gdy wszystko zatrze się, zbłękitnieje, zblednie...

Lusławice... koniec zboru...

W dziwnym uciszeniu serca nie czuł w sobie oburzenia ani gniewu, jeno głęboki, krwawiący żal. Także się wszystko zmieniło? — Nie wróci, za nic nie wróci! Nie będzie tego oglądał...

Naraz przypomniał sobie opowiadanie Pietrka o Osterodem, i drgnął. Ujrzał, jakby to było wczoraj, chwilę, w której zdecydował się jechać na stężycki zjazd i zbrojnie walczyć o wolność wyznania. Ten to moment złamał, skrzywił jego życie. Złamała się dola. By nie był wyjechał, Hanka byłaby jego... By nie był wyjechał, nie dopuściłby do powszechnego odstępstwa od zboru; byłby podtrzymał Lubienieckiego, przejął po Farnowskim władzę i strzegł gminy jak pies-stróż. Wszystko byłoby inaczej... Oczekiwał jego powrotu, wyglądał go stary przyjaciel, — gdy on pleśniał w bezczynności w Dymitra-wora obozie... Pociechą stałą bywała mu dotąd myśl, że owo postanowienie wyjazdu oparł na niezłomnych, przemyślanych gruntownie podstawach, a ot — śmiech pomyśleć! Błazeńska pomyłka! Dziewka zbójniczka, wzięta za biskupa, o życiu jego i losach zadecydowała!... Zatrząsł się cały z wewnętrznego bolesnego śmiechu. — Ot, czym są ludzkie pewniki i postanowienia! Nieskończony, ważki łańcuch przeżyć, wypadków, zmian, zdarzeń, zadzierżgnięty był o jedną, pocieszną w swojej głupocie, omyłkę! — Podniósł głowę i przez otwarte okienko wpatrzył się w zachodzące w paciepi ognistej słońce.

Nie, nie ta omyłka poczęła ciężkie ogniwa łańcucha! Fakta same przez się pozbawione są znaczenia, niezdolne niczego zmienić. Przyczyną był tylko on sam. On jedynym winowajcą. Pomstliwie zwróciło się przeciwko niemu sprzeniewierzenie się własnym zasadom. Skoro wierzył, że oręża używać nie wolno, nie trza się go było brać. Nie

masz imperatywu upoważniającego do zmiany przekonań, póki się wierzy w ich świętość. On pierwszy zdradził zbór i swoją prawdę, uprawnił odstępstwa drugich.

Słońce zapadło daleko za błotnistą rzeczkę Moskwę, a nagły mrok zalał izbę — i duszę jego zarazem.

*
* *

— Wasza Dostojność! Pan rotmistrz Zborowski zapytuje, gdzie mu Wasza Dostojność każą ninie spyżę dla koni brać? — meldował Sebastian Pielsz, stając na progu hetmańskiej kwatery.

Pan Żółkiewski odwrócił głowę, odkładając trzymaną w ręku książkę.

— Spyżę? — powtórzył. — Zborowszczycy brali ją dotąd w Krasnoje?

— W Słobodzie, Wasza Dostojność, ale już dłużej tygodnia nie starczy...

— Trza się będzie bojarów zapytać, gdzie tu zamożniejsze sioła, sprzedać bez straty mogące... Po prawdzie, nie ja to już, ale pan Gosiewski rozrządzi, od jutra komendę nad wojskami obejmując.

Spotkał znieruchomiały, zdumiony wzrok Sebastiana i dodał objaśniająco:

— Za trzy dni pod Smoleńsk jadę, wojsko tutaj ostawiając.

— Wasza Dostojność wyjeżdża! — powtórzył Sebastian prawie z przerażeniem.

— Trzeba... takie zaszły cyrkumstancje... Dawnom waści nie widział. Zbiedniałeś czegoś? Choroba jaka nawiedziła?

— Zgryzoty duszne cięły, stare bolączki, o których i mówić, Wasza Dostojność, nie warto...

— Dobrze ci widno dopiekły... Ale się broń, w kupę

zbierz, by cię jako Adama, któren *instar* nieboszczyka po świecie chodzi, nie zjadły...

Spojrzał na zmieszanego milczka z taką dobrocią, że ośmielony nią Sebastian wykrztusił:

— Wasza Dostojność! proszę wybaczyć zuchwalstwo... Ten wyjazd, nie będzie on na dobre... Wszystko Waszej Dostojności głową stoi; gdy jej zbraknie, urwie się; swawole poczną się, jako za tamtych... Pan Gosiewski wielki wojownik i dobry człowiek, ale Moskwa mu nie ufa, ani on jej...

— Hej! — odparł hetman z żalem, — nie nowiny mi tu prawisz. Sam się trwożę, by to, co zbliżeniem narodów być miało, rozdziału większego nie było przyczyną... Cóż wszakże na to poradzę?

— Nie odjeżdżaj Wasza Dostojność!

— Muszę.

Przymknął oczy, jak gdyby strwożony wizją proroczą pożaru Moskwy, rzezi, głodu, ciągnącego się przez wieki nienawistnego odwetu.

— Muszę — powtórzył. — Co tu dłużej skrywać: Król Jegomość roboty naszej nie akceptuje, królewicza dać nie chce; sam chcąc carować, na swoje imię każe przysięgę odbierać...

— Król! — wykrzyknął Sebastian. — Przenigdy się Moskwa nie zgodzi!

— Tłumacz że to... Oczywista że się nie zgodzi... Jeszcze przed ową ucztą, pierwszą o tym wiadomość przywiózł mi Andronow. Zmilczałem przed wszystkimi, myśląc: napiszę, przełożę, toć zrozumieją. Pisałem do króla, wszystkie racje przytaczając... Kamień by, zda się, zrozumiał... Nic nie wskórałem... Pan Gosiewski jeszcze surowsze rozkazy przywiózł... Dobrze się tam widno postarali, których lęk bierze, by mi zbytek sławy nie przypadł... Pojadę sam. Może żywym głosem co ubłagam, może nie za-

wrą się ze wszystkim uszy Króla Jegomości na moje perswazje....

— Boże! Boże! — powtarzał Sebastian. — Wasza Dostojność, toć król nie naród! Można do Sejmu apelować, Stanom przedłożyć. Zrozumieją... Toć tu nie o fraszki idzie. O wielkie, ogromne rzeczy! Jeszcze na tyle sumienia w nich stanie...

— To samo sobie myślałem: Sejm, Senat... Ninie straciłem nadzieję... Prócz do Króla Jegomości, pisałem do kanclerza, do podkomorzego i do kilku jeszcze senatorów. którzy pod Smoleńskiem są, by moją sprawę poparli. Ni jeden tego nie zrobił! Wszyscy przeciwni! Że to Smoleńszczyzny wypadałoby się zrzec... Że to naród k'naszemu niepodobny... To samo będzie i w Sejmie...

Sebastian chciał zaprzeczyć, lecz wspomniał słowa Pietrka i zamilkł.

— Nikogo za mną! — powtórzył hetman z rosnącą goryczą. — Jeden jedyny ksiądz Skarga, ale nikt jego głosu nie słucha... A przecież, jakeś rzekł słusznie, o wielkie rzeczy tu idzie. Od Jagiełłowych z Jadwigą zaślubin takie aspekty przed Rzecząpospolitą nie stały! Cóż stąd? Nie chcą o nich wiedzieć. Taka u nas moda w Polsce, że każdy zamysł, na dłuższą metę obliczony, trafia na sprzeciw powszechny. Przestałem się łudzić, by mnie naród poparł... Pomnisz co prawił na uczcie Mścisławski? Nie kłamałem mu, gdym mówił, że Polska i ja, to jedno. Żem reprezentant jest Polski prawdziwej... Bom tak wierzył... Pojadę jej szukać, kołatać. Może Bóg da, żem się nie omylił...

— Runie wszystko, gdy Wasza Dostojność odjedziesz...

— Runie wszystko jednako, gdy listy królewskie, do czegom obowiązany jest, ogłoszę...

Sebastian przestępował z nogi na nogę, mieniąc się na twarzy.

— Wasza Dostojność — rzekł z nagłą decyzją, — zbytnia to moja dufność chudopacholska, że przemawiał

śmiem, ale co rzekę, nie ja jeden myślę. Słyszałem kopa razy, od wiela... Mówiły o tym bojary, i Aleksiej Jefimowicz, mój gospodarz... Jedyna to rzecz!...

— Jakaż?

— Wasza Dostojność racz się sam carem ogłosić!

— Co?! — spytał hetman, obracając się ku niemu.

— Wasza Dostojność! carem! Moskwa... o Boże! oszalałaby z radości! Ni jednego sprzeciwu... I dobrze by było... Wasza Dostojność!...

Zachłysnął się z błagalnego uniesienia.

Pobłażliwy uśmiech spłynął po wargach hetmańskich.

— Żarty się ciebie trzymają, mój chłopcze. Dobry żart tynfa wart, ale nie pora ku nim...

— Wasza Dostojność! nie żartuję! Przysięgam na wszystkie najświętsze... Od Moskwy tom słyszał. I nieraz... Wobec uporu Króla Jegomości toćże to jedyne wyjście...

— Przestań — rzekł hetman prawie surowo. — Ja, pierwszy żołnierz Rzeczypospolitej, carem się proklamujący! Piękny by to był przykład! Nie widzę zresztą, jaka by stąd korzyść urosnąć mogła dla Rzeczypospolitej... Moskwa przystałaby, wiem... A co dalej? Unią by to nie było; przeciwnie... Nie darowaliby mi podobnego wywyższenia się nasi panowie... Polska, Moskwa, wrogami ostałyby po dawnemu. Anibym temu krajowi pożytku nie przyniósł, ani Ojczyźnie najmilszej. Dość o tym! Ani słuchać chcę... Powiedz waść lepiej, jakież to miałeś strapienia?

— Wstyd gadać! — żachnął się Sebastian. — Czymże one są przy trosce Waszej Dostojności?... Ot, samochcąc, bez niczyjej winy, spsowałem, zwichnąłem swoje życie...

— Życie zawdy czas zacząć od nowa...

— Ej, nie odnowi się ono!... Co przeszło, już nie powróci... Ciężko jest!... Ale żyć, ućciwie żyć, trzeba...

Skłonił się nisko, ze czcią głęboką, i wyszedł.

— Żyć ućciwie trzeba — powtórzył w myśli hetman. —

Tak jest, żyć! Pracę przez Pana nakazaną spełnić... Nie zbraknie jej. Wszędy jest rola czekająca zasiewu dobrego... Siewcy my, a plon Bóg zbierze, kiedy zechce, i kim zechce... Nie nam się o to kłopotać...

KONIEC

BIBLIOTEKA WOJSKOWA
REMBERTÓW
Szk. Wyszk. Piechoty

SŁOWNICZEK

WYRAZÓW PRZESTARZAŁYCH, GWAROWYCH I OBCYCH

alkiermes, syrup leczniczy.
almaria, szafa.
amelia, ładownica.
arkebuzery, żołnierze uzbrojeni w *arkebuzy*, pierwsze strzelby prochowe (wcześniejsze niż muszkiety).
bagnię, jagnię.
bajnkować, bankować, odkuwać duży słup soli w kopalni.
baran, try tiela, hołowu złomył, taj ty. Zaklęcie; dosłownie: baran i trzy cielęta złamały głowę, tak i ty (złam); — symbolicznie: zgiń, przepadnij!
barmy, część klejnotów koronkowych, używanych przy koronacji carów; rodzaj naszyjnika, a raczej napierśnika, wkładanego przez głowę na ramiona.
bombizina, żona księdza protestanckiego, ministra.
bryzy, bryże, kosztowne obszycia, koronki.
brzechun, pies, kundel zwykły (od *brzechać*, szczekać).
cigiędź, gęstwina młodego lasu.
ciota, ciotucha, wrona.
czamlet, tania tkanina.
czeczuga, rodzaj szabli.
dołman, rodzaj płaszcza.
duga, duha, część uprzęży na konia, używana na Rusi; obręcz nad karkiem konia.
dukwić, ślęczeć.
dywdyk, kosztowna tkanina wschodnia.
ekskuzować, usprawiedliwiać, tłumaczyć.
fiolka, wąska flaszeczka na leki kosztowne lub truciznę.

forkiet, widełki do podparcia luły muszkietu przy strzale.
frycygierna, kochanka szatana.
garus, zupa owocowa.
gąstolić, żalić się.
gid, plugastwo.
gidia, drągal, tyka.
gramatka, polewka z piwa i tartego chleba.
grądy, grunta wyżej położone, nie zalewane; *grądowe łąki*, suche łąki.
hładyszka, na Rusi, dzieżka.
indermach, tylna część domu, służąca na składy dla sklepu i t. p.
iściec, dłużnik.
kalauz, przewodnik.
kalkan, tarcza okrągła i wypukła.
kapalin, rodzaj hełmu.
kapry, nieoficjalna marynarka polska na Bałtyku, popierana przez Zygmunta Augusta.
karauł, straż.
karawaka, krzyż o dwu poprzecznicach, mający chronić od moru; nazwa od hiszpańskiego miasta Caravaca.
kłwać, kluć.
koczpergał, przezwisko: papla.
kolemaga, wóz pakowny, bryka.
kotwa, kotwica.
kozubalec, danina, składana w pewnych wypadkach przez żydów na rzecz proboszcza lub żaków.
krukwa, ożóg (i przezwisko).
lensownik, w kopalni kopacz najemny, ugodzony od ilości wydobytej soli czy rudy.
lepiecha, szuwar stawowy.
lepka, łepek, rodzaj hełmu.
limona, cytryna.
łyże, łyżwy, narty.
macloch, jaskinia, loch.

marcha, szkapa (i przezwisko).
męcherzyna, pęcherz (i przezwisko).
mielcuch, słodownia, browar.
nebulo (łac.), nicpoń, hultaj.
nieplaga, niechlujna.
„*No Popery*", „bez papieża"; hasło odszczepieńców szkockich.
obartlik, zakrętka u drzwi.
oblatować (o skardze), złożyć urzędową skargę w sądzie.
otkrowienny (rus.), szczery.
paciep, paciepia, ćma, topiel (światła).
picowny wóz, wóz z żywnością, furażem.
pierzeja, ścieżka przekopana w śniegu.
poćpiega, żona napędzona.
ponik, potok.
posoch, berło (carskie).
prekaucja, rękojmia.
rakarz, oprawca.
razrieszenie (rus.), zezwolenie.
roztrnożca, trwoniciel, marnotrawca.
samborz, brama kryta, z izbą wartowniczą na piętrze.
siestrzan, tram, podciąg poprzeczny pod belkami.
skonwinkować, zobowiązać, namówić.
snecha, snocha, synowa.
stergły, stężały, zesztywniały.
storzyć się, chełpić się.
suchodolnik, ziele, mające zastosowanie w czarownictwie.
szrotarze, cech, mający wyłączny przywilej transportu i przetaczania wina.
szurzyć, złościć się.
ślemię, belka.
śniat, pień drzewa.
śreż, stryż, pierwszy szron i lód.
tążyć, tęsknić.
tercjanna, febra co trzeci dzień powracająca.
toczenica, nakrycie głowy kobiece.

trapacować, trapić się.
tryszak, rodzaj gry w karty.
trzemcha, czeremcha.
wluić, wniknąć.
zeklłać, przełknąć.

SPIS ROZDZIAŁÓW

		str.
I.	Obrońcy prawa	5
II.	Sumienie Rzeczypospolitej	18
III.	Wiosna	32
IV.	Wygnanie	52
V.	Trzy korony	76
VI.	Bez domu	101
VII.	Latawica	121
VIII.	Medea	132
IX.	Kondotierzy	153
X.	Car i kanclerz	170
XI.	Ocknienie	179
XII.	W boju	208
XIII.	Przysięga	233
XIV.	Mir	243
XV.	Od nowa	265

ZOFIA KOSSAK

Nieznany kraj

(II wyd.) — cena zł. 7.—

Powieść Kossak-Szczuckiej, nagrodzona pierwszą nagrodą na Konkursie śląskim, wypełnia dotkliwą lukę w literaturze polskiej. Nikt nie był bardziej uprawniony do tego, by pokazać czytelnikowi polskiemu „nieznany kraj", tę ziemię tak nam bliską, a tak dotychczas obcą dla wielu. Powstaje z tej pięknej książki obraz Śląska w całym swym bogactwie, w całym przepychu barw. Historia tej ziemi, dzieje jej rozwoju, nieustraszona jej walka o czystość duszy narodowej — wszystko to znalazło w Kossak-Szczuckiej nie tylko sumiennego badacza i gorliwego rzecznika, lecz przede wszystkim współczujące serce, płomień miłości, ogarniającej tę ziemię od krańca do krańca.

Książka ta, zalecona do bibliotek szkolnych i żołnierskich, znaleźć się powinna w każdym polskim domu.

tejże autorki:

Pożoga	zł. 3.—
Beatum scelus	wyczerp.
Szukajcie przyjaciół	„ 2.50
Legnickie pole	„ 6.—
Szaleńcy Boży	„ 10.—
Wielcy i mali	„ 6.—

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ"

ZOFIA KOSSAK

LASKA JAKÓBOWA

Cena zł. 3.—

„Laska Jakóbowa" — to reportaż z wielkiego zlotu skautowego (Jamboree) odbytego w Holandii latem 1937 r. Tytuł zapożyczony został z godła zlotu, średniowiecznej żeglarskiej busoli o kształcie wieloramiennego krzyża, zwanej Jakobstaff — Laska Jakóbowa. Choć stanowiąca odrębną całość — książka ta jest organicznym przedłużeniem wydanych przed paru laty szkiców p. t. „Szukajcie przyjaciół", zawierających opis Jamboree 1933 r. Tu i tam widzimy wielkie międzynarodowe zbiorowisko chłopców całego świata, ożywionych ideą wspólnego braterstwa. Tu i tam w barwnych skrótach widzimy jak się kształtują wzajemne stosunki ras i narodów.

Powszechne braterstwo! — W „Szukajcie przyjaciół" cel ten zdawał się bliższym osiągnięcia, niż obecnie. Wielkie prądy niepokoju przebiegające świat nie oszczędzają skautingu, mącą beztroską swobodę młodzieży. Dziwnie trafnym staje się przypadkowo obrane godło: busola! Busola, znak jakże potrzebny dzisiaj.

Trafne, choć szkicowo nakreślone obrazki z przejazdu przez Niemcy, rzut oka na położenie polskich emigrantów w Holandii — dopełniają całości tej ciekawej i aktualnej książki.

Tejże autorki:

NIEZNANY KRAJ	zł. 7.—
BEATUM SCELUS	(wyczerpana)
POŻOGA	zł. 3.—
SZUKAJCIE PRZYJACIÓŁ	„ 2.50
LEGNICKIE POLE	„ 6.—
WIELCY I MALI	„ 5.—
SZALEŃCY BOŻY	„ 10.—
ZŁOTA WOLNOŚĆ (2 tomy)	„ 6.—

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ"

LAUREAT NAGRODY LITERACKIEJ PAL-u 1938 r.

JERZY ANDRZEJEWSKI

ŁAD SERCA

II WYDANIE

...Tegoroczną nagrodę uzyskał nareszcie młody autor, który na nią w pełni zasłużył.

JERZY ANDRZEJEWSKI należy do rzędu pisarzy zdolnych, kulturalnych, pracujących nad sobą, zdobywających własny światopogląd i technikę artystyczną. Znany z licznych artykułów w czasopismach literackich, zwrócił na siebie uwagę „Drogami nieuniknionymi".

W roku 1938 ukazała się jego powieść „ŁAD SERCA", znamienna dla czasów wzrastającej religijności.

Laureat Nagrody Młodych wykazał swoją dotychczasową pracą, że rozwija zdolności, pogłębia wiedzę, dojrzewa artystycznie.

„CZAS"

Niepopularna u nas Akademia Literatury dowiodła jednak dobrego gustu, ofiarowując w roku bieżącym „nagrodę młodych" JERZEMU ANDRZEJEWSKIEMU za jego piękną i dojrzałą książkę „ŁAD SERCA". Niewątpliwie w dorobku roku 1938 jest to jedna z najbardziej cennych pozycyj.

„Ład serca" jest trwałym wkładem do literatury. Jerzy Andrzejewski mimo młodego wieku należy niewątpliwie do pisarzy nie tylko obiecujących, lecz już realizujących pokładane w sobie po pierwszym tomie nowel nadzieje. Nagroda Akademii jest widomą oznaką jego ciężaru gatunkowego, jest jakby pasowaniem go na reprezentanta najlepszych wartości młodej literatury, której właściwie dotąd bardzo brakowało prozaików.

„SŁOWO" — WILNO

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „R Ó J"

JERZY OSTROWSKI

HISTORIE PRZEDHISTORYCZNE

Cena zł 5.—

Opowiadanie zawarte w tej książeczce wywodzą się z ducha Kiplingowskich „Takich sobie bajeczek". Kto przypomina sobie niesforną Taffi, piszącą na korze pierwszy na świecie list, ten spotka wielu znajomych w „Przedhistorycznych historiach". Nieznośny Cocopoco, samowolny Mozi czy uparty Hihik należą do tej samej rodziny.

Są to opowiadania wesołe, opowiadania żartobliwe, ale nie tylko śmiech mają na celu. Przedstawiają one walkę człowieka z przyrodą, z niebezpieczeństwem, z głodem i chłodem. Dają obrazy narodzin wynalazków, mających ułatwić i upiększyć człowiekowi życie. Historia wynalazków jest prawdziwszą historią ludzkości, niż historia wojen.

Czytając zabawne przygody wynalazków przedhistorycznych, śledzimy tę drogę. Od skępy wodnej — „mouzoli" od współczesnych fabryk, od motyki kamiennej do zegarka towarzyszyły pochodowi człowieka. Nie ma chyba chłopca, któryby w pewnym wieku nie lubił „majstrować" i któryby nie zachwycał się współczesnymi wynalazkami. Chłopiec ten dowie się z „Historyj", że wynalazkami wcale nie gorszymi od filmu czy radia były: łuk, tratwa, siekiera i garnek.

Przy sposobności zastanowi się nad zasadami powstawania wszelkich w ogóle wynalazków. Zrozumie, że tajemnicą powodzenia jest wytrwałość, niechęć do rutyny i odwaga myśli wobec oporu gromady. A skoro polubi Mhuma, Tapojkę i Przemysła, kto wie, czy sam nie zostanie w przyszłości wynalazcą.

Tegoż autora:

WIDŁY, WISŁY i SANU zł. 6.—

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ"

J. DĄBROWSKI i T. KWIATKOWSKI

JEDEN TRUDNY ROK

Cena zł. 3.—

Książka obrazuje życie dwóch drużyn harcerskich i jak to na wstępie zaznaczają dwaj młodociani jej autorzy, „ma zawartymi na swych kartach projektami służyć praktycznemu zrealizowaniu przez młodzież zadań harcerskich". Pisana została w maju 1937 r. w Piotrkowie Trybunalskim, poczym w Warszawie, Sierakowie, Łodzi, Poznaniu i Zakopanem, a przede wszystkim w Ośrodku Harcerskim w Górkach Wielkich na Śląsku, w symbolicznej „wieży", w harcerskiej i twórczej atmosferze, pod czujną i serdeczną opieką kierowników drużyny.

Autorom nie brak fantazji, bo są młodzi, bo wierzą w swe siły, bo ich pcha naprzód niezwalczona chęć zajrzenia w oczy niebezpieczeństwom i przeciwnościom. Przygody ich są istotnie niezwykłe, dokonywują się na granicy, na której życie zatraca swój sens realny, a staje się fantastyczną baśnią. Przeżywając jednak nieprawdopodobne przygody, dzielni chłopcy nie tracą z oczu celu głównego, wypisanego na harcerskim sztandarze, a celem tym jest praca na pożytek społeczeństwa, wykonana chętnie i sumiennie, z poczuciem twórczej jej wartości.

Zuzanna Rabska
„Kurier Warszawski"

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ"

